EDMUND JEZIERSKI

W OBCEJ SZKOLE

WARSZAWA 1917. ∞ NAKŁADEM KSIĘGARNI
I. RZEPECKIEGO. NOWY-ŚWIAT № 9.

4.3.34 693. 2,3 rh

W OBCEJ SZKOLE

EDMUND JEZIERSKI.

W OBCEJ SZKOLE

POWIEŚĆ Z NIEDAWNYCH CZASÓW
Z ILUSTRACJAMI E. BARTŁOMIEJCZYKA.

WARSZAWA 1917. ∞ NAKŁADEM KSIĘGARNI
I. RZEPECKIEGO. NOWY-ŚWIAT № 9.

Printed in Poland

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095894283

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung Warschau
den 23/X 1916. T.-N 3179. Dr. N 59.

DRUK W. PIEKARNIAKA, WARSZAWA, OKÓLNIK 5-a (ZA CYRKIEM).

I.

EGZAMIN.

W życiu Jurka Szumskiego miała zajść wielka zmiana. Miał stracić w pewnym stopniu wolność biegania i bawienia się samodzielnie, a natomiast zasiąść miał na ławie szkolnej, która w wyobraźni jego rysowała się, jak klatka więzienna, jak dom niewoli.

To wstrętne i niemiłe pojęcie łagodziła w części myśl, iż otrzyma czapkę mundurową z palmami, mundur z srebrnym galonem i błyszczącemi guzikami i długie spodnie, przedmiot tajemnych westchnień jego, będący jakby pasowaniem na dorosłego.

Zatruwał mu jednak radość z tego powodu przedsmak tego, co go czeka w szkole, zakosztowany w czasie wakacji, podczas lekcji ze zdolnym, lecz nader surowym korepetytorem, p. Michałem Milewskim, ośmioklasistą.

Przez cały szereg godzin, które można jednak było spędzić tak przyjemnie, biegając po ogrodzie lub na spacerze, wtłaczał on w niego tajniki wszelkich „udarenij", słów z literą „jat" i t. p. Ćwiczył go w pisaniu dyktand, robieniu zadań i czytania z prawidłowym akcentem w języku rosyjskim.

Praca to była żmudna i ciężka, najlepiej to rozumiał sam Jurek, zwłaszcza gdy nie mógł pojąć czego, ale w końcu doszedł do takiej doskonałości, iż wszystkim w domu impono-

wał znajomością mowy rosyjskiej, mowy, w której od czasu tego światło wiedzy miało spływać na niego.

Mała Jaga, trzyletnia siostrzyczka jego, szeroko otwierała usteczka, słuchając, jak on mówi po rusku; Małgosia, kucharka, wyrażała swe uznanie dla jego zdolności lingwistycznych określeniem, że mówi, jak „sołdat", a tatuś, nawet tatuś, nieraz nie rozumiał tego, co on mówił do niego...

Wzruszał tylko ramionami i dziwnie jakoś wzdychał, mówiąc:

— Za moich czasów w szkołach jeszcze uczono po polsku.

Czuł się więc Jurek wobec takich wyników dumny ze swej wiedzy, lecz niepokoiła go tylko myśl, czy stanąwszy wobec poważnych i surowych profesorów, nie zalęknie się i nie palnie jakiego byka...

I oto Jurek idzie z mamusią na egzamin. Idzie śmiało, nie trzymany nawet za rękę, a serduszko w piersi jakoś dziwnie mu kołacze, jakiś niepokój go dławi.

A nuż nie zda?... I ów mundur i ta czapka, a zwłaszcza te długie spodnie, odlecą het, w przestrzeń...

Podwórze gimnazjalne przepełnione już było przez rodziców uczni, mających stawać do egzaminu. Przyszli kandydaci do klasy wstępnej stali przy nich, zalęknieni, niepewni, trzymając w ręku zwinięty w rurkę papier z obsadzką i z pewnym podziwem patrzeli na uczni klas wyższych, mających poprawkę, a tymczasem w najlepsze dokazujących na podwórzu.

Wśród rodziców panuje cichy gwar rozmów. Choć nieznajomi, związani jedną troską, zwierzają się sobie z różnych wiadomości, a zwłaszcza z tego, ilu jest kandydatów, a ile miejsc w klasie wstępnej.

— Moja pani — mówiła do mamusi Jurka jakaś pani dość skromnie ubrana — stu trzydziestu kandydatów na czterdzieści miejsc... ilu to się obetnie... Dostaną się tylko ci, któ-

rzy są dobrze przygotowani, albo ci, których rodzice przedtem porozumieli się z profesorami.

— Nu, a co my mamy powiedzieć — wtrącił się do rozmowy jakiś starozakonny — naszych przyjmują tylko dziesięć procentów. Na cztery miejsca jest czterdziestu kandydatów... Co robić?...

Jurek słucha tego i coraz większy lęk przejmuje go, i podczas gdy mamusia rozmawia z rodzicami innych kandydatów, rozpatruje się wokoło.

Podwórze z kilkoma suchotniczemi drzewami, sprawia, zwłaszcza jako teren do wszelkiego rodzaju gier i zabaw, dość sympatyczne wrażenie. Za to mniej miłe wrażenie sprawia stojący przy bramie stróż gimnazjalny, stary, pomarszczony, w wytartym granatowym mundurze, zda się drzemiący na posterunku swoim, lecz prostujący odruchowo zgarbiony grzbiet na widok pojawiającego się w drzwiach którego z nauczycieli.

Był on z jednej strony przedmiotem zabiegów rodziców stających do egzaminów kandydatów, którzy zasięgali u niego wszelkiego rodzaju informacji, wsuwając mu przytem do ręki napiwki, chowane przez niego do kieszeni z zimną obojętnością, jako dań należną, z drugiej zaś ofiarą dowcipów i żartów wszystkich łobuziaków z klas średnich, zaczepiających go nieustannie.

— Iwan... Iwan... — wołał z kąta któryś — wypił piwa dzban...

— Chodzi też pijany — dodawał drugi — od rana aż do przemiany...

Na te domorosłe rymy otwierał stary stróż jedno oko i mruczał zachrypłym głosem:

— Nielzia gawaryć na polskim jazyku — lub też grożąc pięścią, wołał:

— Ja wam, łobuzy, pokażu... pójdę z żałobą do pana direktora!...

To nieposzanowanie osoby stróża budziło w Jurku zdumienie. Z opowieści kuzynów wyrobił sobie o nim pojęcie, że jest to strasznie groźna osoba, gdyż w zakres funkcji jego miało wchodzić zapoznawanie uczni z pewnym instrumentem, którym, według poety, Duch św. każe wszczepiać w dziatwę zamiłowanie do nauki i wielu innych rzeczy...

Rozmyślania Jurka przerwało ukazanie się na progu jednego z nauczycieli, w granatowym fraku, w ciemnych okularach i wielką ryżą brodą.

Głuchym basem, w języku urzędowym, zawiadomił on zebranych, że egzamin się zaczyna i wskazał klasę, do której egzaminowani mieli się udać.

Powoli, lękliwie, jakby to miało być miejscem tortur, wchodzili przyszli uczniowie do klasy, zajmując miejsca na ławach, rozkładając na porzniętych scyzorykami i zalanych atramentem pulpitach papier i obsadzki.

Rodzice ruchomą falą zajęli korytarz, by tam oczekiwać na wynik egzaminu.

Rozległa się wreszcie komenda: „wstać“ i do sali wszedł komplet egzaminujących, złożony z inspektora i dwóch nauczycieli.

Zajęli miejsca na katedrze, na której rozłożono cały stos papierów, stanowiących dokumenty uczniów i zaczęto kolejno wywoływać egzaminowanych.

Pierwszym był egzamin ustny z języka rosyjskiego.

Nauczyciel zadawał delikwentowi dwa, trzy szybkie zapytania, kazał przeczytać kawałek z książki, objaśnić, przyczem zwracał uwagę na akcent, poczem mówił:

— Dowolno (dosyć) — i egzaminowany wracał na miejsce, a inspektor stawiał znak w notatniku.

Egzamin szedł dość spiesznie. Byli nawet tacy uczniowie, którzy po pierwszem zapytaniu wracali na miejsce, otrzymując dobry stopień, a byli i tacy, choć odpowiadali bardzo

dobrze, iż otrzymywali dziwnym trafem niedostateczny stopień. Większość z nich była ubogo ubrana.

Nadeszła wreszcie kolej na Jurka. Z bijącem sercem wyszedł na środek i stanął przed nauczycielem. Zadał mu on parę pytań, na które starał się odpowiedzieć jaknajlepiej, gdy naraz inspektor spytał:

— Czem się zajmuje twój ojciec?

— Kupiec — odrzekł Jurek.

— Dobrze — rzekł inspektor, zamieniając jakieś spojrzenie porozumiewawcze z nauczycielem i nakazał Jurkowi wracać na miejsce. Strach zdjął chłopca na myśl, co to oznaczać może.

Skończono wreszcie egzamin i inspektor wyszedł z nauczycielami na naradę.

Zawrzało w klasie i na korytarzu jak w ulu. Rodzice oblegali chłopców, dopytując się o co ich pytano i jak odpowiadali, przyczem z jakąś zabobonną trwogą patrzono na drzwi, wiodące do kancelarji, w której toczyła się narada nad losami kandydatów, gdyż od wyniku egzaminu ustnego zależało dopuszczenie do dalszych egzaminów.

Trwała ona długo, tem większy niepokój budząc wśród rodziców. Wreszcie ukazał się nauczyciel, zaaferowany strasznie i rozległ się dzwonek. Chłopcy spiesznie cisnąć się do klasy zaczęli i zajmowali w niej miejsca.

Uroczysta cisza zapanowała wśród rodziców, gdy ukazał się inspektor z swoimi asystentami i zająwszy miejsce na katedrze, odczytywać zaczął nazwiska tych, którzy zdali. Była ich połowa zaledwie. Ci, którzy nazwisk swoich nie dosłyszeli, stali pobledli, przejęci trwogą, nie tyle może ze smutku, że uczyć się w gimnazjum nie będą, ile z obawy kary, jaka na nich spaść w domu miała.

Gradem się też sypnęły zapytania, gdy po wyjściu nauczycieli wypadli na korytarz...

— Zdałeś!... zdałeś?... rozlegało się ze wszystkich stron, poczem następowała odpowiedź albo płaczliwa, albo tryumfująca, zależnie od stanu rzeczy...

Rozległ się też płacz spazmatyczny paru matek, których synowie nie zdali, a towarzyszył im i płacz chłopców, którym niektórzy ojcowie zaraz na miejscu zaaplikowali doraźną karę...

— Ja tam byłem pewien, że mój zda,—dowodził z uśmiechem tryumfu jakiś opasły jegomość, z grubą złotą dewizką na wydatnym brzuszku: umówiłem się z profesorem Slepcowem, dał mu parę lekcji i dobra... Drogo bo drogo, bo aż po pięć rubli za godzinę, ale zdał...

— Tak... ale skąd brać tyle, — biadała jakaś kobiecina w zniszczonej sukni: człek się żyłuje do ostatka, odmawia sobie wszystkiego, byle dzieciaka do szkoły posyłać, a tu masz, nie zdaje... Czekaj, da ci tam ojciec w domu...

Na tę niezbyt ponętną obietnicę, chłopczyna wybuchnął nerwowym płaczem...

Jeden z ojców, którego syn również nie zdał, próbował zainterpelować w tej kwestji inspektora, gdy tenże ukazał się na korytarzu...

— Panie inspektorze, — rzekł po polsku: dla czego to mój nie zdał... był tak dobrze przygotowany...

Zmierzył inspektor dumnem spojrzeniem postać pytającego, ubraną w dość wyszarzaną surducinę i odrzekł po rosyjsku:

— Dlaczego?... pan się pyta?... dla tego, że ma niedobry akcent... my na to musimy zwracać uwagę... cała nauka odbywa się w języku państwowym, a wy, rodzice, nie współdziałacie w tem z nami... Ot, i pan do mnie, do inspektora, zwraca się w języku obcym... Żeby pan z synem w domu rozmawiał po rosyjsku, napewno by miał lepszy akcent i zdałby...

To rzekłszy, przeszedł dumnie, zamieniając grzeczne ukłony z tymi, których ubrania wskazywały pewną zamożność...

Jurek Szumski był na liście tych, którzy zdali... Wybiegł też uradowany do mamusi, lecz radość jego zmroził widok tylu płaczących biedaków... Krótko też odpowiedział na jej pytanie:

— Zdałeś?...

— Zdałem, — i wsunąwszy rękę w jej dłoń, rzekł:

— Chodźmy, mamusiu, do domu...

Lecz tymczasem podszedł do nich korepetytor, i jeden z dostawców p. Szumskiego, otyły kupiec, izraelita, i kłaniając się grzecznie, rzekł:

— Pani dobrodzika swojego synka do gimnazjum?... do wstępnej klasy?... i mój syn też zdaje... nieźle się uczy, bez nauki źle na świecie.

— I pan się nie boi ograniczeń procentowych? — spytała pani Szumska.

— Nie potrzebuję się ich bać — odrzekł kupiec — ja już zawczasu porozumiałem się z inspektorem... mój Boruch będzie przyjęty... I pani radzę, z życzliwości, posłać inspektorowi kosz wina... On to lubi... Zawsze lepiej mieć go dla siebie łaskawiej usposobionym...

— Dobrze, pomówię z mężem — rzekła pani Szumska — dziękuję za radę — i pożegnawszy się z kupcem, skierowała się do domu.

Przez drogę Jurek rozmyślał nad wrażeniami, jakie w nim budził ten pierwszy dzień pobytu w szkole. Szczególnie zastanawiało go to, dla czego inaczej zwracał się inspektor i nauczyciele do tych chłopców, których odzież wskazywała pewną zamożność, niż do tych, którzy biednie ubrani byli; dla czego ten pan, który płacił nauczycielowi po pięć rubli za godzinę i ten kupiec, który mówił, że porozumiał się z inspektorem, tak pewni byli, że synowie ich przyjęci zostaną do gimnazjum i dlaczego kupiec ów radził, ażeby tatuś posłał kosz wina inspektorowi.

Nie mógł jednak znaleźć na pytania te odpowiedzi, a gdy przyszedł do domu, gdy najbliżsi otoczyli go z zapytaniami, czy zdał, zapomniał o nich zupełnie.

Po południu zaś poszedł z mamusią do krawca, ażeby zamówić mundurek, i to do reszty rozproszyło te myśli jego.

W dwa dni potem odbył się egzamin piśmienny z rosyjskiego, przy którym odpadła znów znaczna część egzaminowanych.

Jurek, choć popełnił parę zmyłek, zdał go jednak, przyczem pan inspektor uśmiechał się do niego przychylnie, i, poklepawszy nawet po ramieniu, rzekł:

— Nu, maładiec!...

Nie mógł Janek wiedzieć, że na tą zmianę wpłynął w znacznym stopniu kosz dobrych win, posłanych w przeddzień przez tatusia...

Egzamin z arytmetyki poszedł również gładko, tak, że pozostał tylko egzamin z religji...

Do sali wszedł szybko ksiądz, nizki, szczupły, już niemłody, o rozumnej i dobrej twarzy, i przebiegłszy wzrokiem pełnym smutku po zebranych uczniach, odmówił cichym głosem modlitwę, poczem kolejno wywoływać zaczął nazwiska egzaminowanych według listy...

Zadawał pytania krótkie: pacierz, parę zasadniczych pytań z katechizmu, i wszystkim postawiwszy dobre stopnie, wyszedł...

Egzamin był skończony.

Wstępna klasa zapełniła się uczniami, mającymi od niej coraz wyżej piąć się po drabinie nauki...

Jurek Szumski wracał z egzaminu uradowany... Upragniona czapka z palmami, mundur i długie spodnie miały się stać faktami realnymi...

Tegoż jeszcze dnia został wyekwipowany ostatecznie.

Pod nożycami fryzjera padły bujne loki złoto blond, któremi się tak szczycił niegdyś.

Mamusi przytem z oczu łzy popłynęły i przytuliła go gorąco do serca... czego znów nie mógł zrozumieć.

Garniturek z krótkiemi spodeńkami zastąpiony został przez mundur, z wysokim kołnierzem, obszytym srebrnym galonem, z błyszczącemi guzikami, z czarnym „halstukiem“ wojskowym i długiemi, aż do ziemi spodniami.

Głowę zamiast kapelusza nakryła czapka granatowa z białemi wypustkami, z palmami, a plecy obciążył wielki tornister, wyładowany różnymi „Ruskimi Rieczami“, „zadacznikami“, gramatykami i kajetami.

Lęk go przejmował na myśl, iż wszystkie mądrości w tych książkach zawarte, będzie musiał wtłoczyć w swą głowę. To też nocy tej miał sen nader niespokojny, zwłaszcza, iż dnia tego miał już przedsmak tego, co go czeka w przyszłości.

Idąc ulicą Marszałkowską z mamusią, spotkał jakiegoś krępego jegomościa w mundurze, w czapce z kokardą, który zatrzymawszy go, spytał po rosyjsku:

— A ty dlaczego się nie kłaniasz?...

— Ależ... ależ... ja pana nie znam...

— Ty mnie nie znasz — zawołał gniewnym głosem spotkany — mnie, pomocnika kuratora, Ilję Mikołajewicza Zubrowa?... Jakim prawem śmiesz do mnie mówić tym obcym językiem?...

Gniewny ton nieznajomego podziałał tak na Jurka, że bez długiego namysłu rozpłakał się... Wdała się w to wreszcie mamusia i zdobywając się na ton możliwie uprzejmy, choć cała drżała z tłumionego oburzenia, rzekła:

— Pan daruje, synek mój dopiero dnia dzisiejszego przyjęty został do gimnazjum, nie miał więc czasu poznać całej zwierzchności szkolnej.

— Powinien ją znać — zawołał pomocnik kuratora — powinien znać i szanować... gdyż jeżeli od małego nie będziemy w nich wdrażać tego, to wyrosną z nich zbrodniarze. Cały po-

rządek państwowy i społeczny oparty jest na poszanowaniu władzy... Daruję mu to jednak na skutek prośby, lecz nie mogę mu darować tego, że na zapytanie moje odpowiedział w obcym języku, wiedząc, że tego nie wolno. Posiedzi za to dwie godziny w kozie, a i dla pani będzie to nauczką, ażeby pani z nim rozmawiała częściej językiem, w którym ma wykładane nauki, co tylko na korzyść mu wyjść może.

Nie pomogły nic prośby i tłomaczenia pani Szumskiej, obrażony dygnitarz zapisał imię i nazwisko Jurka, oraz klasę i gimnazjum, do którego uczęszczał i odszedł, rzucając zarazem ostatnią naukę:

— Jeżeli pani chce, żeby synowi było dobrze w gimnazjum, to niech pani dba więcej o to, żeby przejmował się nauką języka państwowego, a nie myślał o tym obcym języku...

Zasmucony wrócił Jurek do domu i mundur, czapka i długie spodnie straciły dla niego dużo na wartości.

W pierwszym dniu pobytu swego w gimnazjum, wyniósł już dwie nauki: pierwszą, że powinien bezwzględnie czcić i szanować swą zwierzchność, choćby jej nawet nie znał wcale, drugą, że język polski, którym w domu rozmawiano, jest językiem obcym, że powinien być usuniętym na plan drugi, przed językiem państwowym, rosyjskim...

Nauki te zasiały pierwsze ziarnko goryczy w sercu jego...

II.

W GIMNAZJUM.

Z pewnem uczuciem trwogi szedł dnia następnego do gimnazjum Jurek, lecz że dzień ten poświęcony był tylko nabożeństwu, na które całe gimnazjum udało się parami, jak żołnierze, do kościoła, nic więc ważnego nie zaszło.

Za to następnego dnia, gdy już pierwsza lekcja się rozpoczęła, wszedł do klasy inspektor i powitany przez uczni, wygłosił przemowę, w której kładąc nacisk na nieposzanowanie władzy, nakazywał kłaniać się napotkanym na ulicy dygnitarzom, i nie odpowiadać im, broń Boże, w innym języku, jak w urzędowym.

Na zakończenie zaś dodał:

— Szumski Jerzy za to, że przedwczoraj, przy spotkaniu, nie ukłonił się panu pomocnikowi kuratora, i że na zapytanie odpowiedział po polsku, pozostanie dziś na dwie godziny karceresu po lekcjach...

Na twarz Jurka uderzyły płomienie, zwłaszcza, gdy spostrzegł szydercze spojrzenia niektórych kolegów, lecz pomny na nauki mamusi, zaciął zęby i niczem nie zdradził swego żalu.

Inspektor groźnym wzrokiem zmierzył stojącą w ławkach przestraszoną gromadkę dzieciaków i rad z wywołanego wrażenia, wyszedł z klasy.

Miejsce jego na katedrze zajął Iwan Mitrofanowicz Slepcow, nauczyciel języka rosyjskiego, a przytem gospodarz klasowy. Nizki, zawiędły o twarzy pomarszczonej, otoczonej siwiejącym zarostem, z oczkami małemi krótkowidza, zakrytemi przez okulary, rozłożył dziennik i energicznie, krótko skomenderował:

— Malitwa...

Uczniowie wstali i jeden z drugorocznych monotonnie, jak nakręcona pozytywka, recytować zaczął po rosyjsku słowa modlitwy do Ducha Św. o pomoc w nauce. Po skończeniu jej wszyscy, jak na komendę usiedli, poczem profesor z dziennika odczytywać zaczął listę obecnych.

Rozlegały się odpowiedzi różnym głosem, przyczem wywoływani wstawali. Odpowiadano po rosyjsku, choć nieraz miękkie „jest"“, — przemieniało się w ustach chłopców w zwykłe, trywialne: „jeść“. Jeden z nich odpowiedział po polsku: „jestem“, za co wnet surowo skarcony został przez profesora.

Skończono wreszcie całą ceremonję, poczem rozpoczęła się lekcja. Odbywała się ona w sposób dość prosty. Nauczyciel z dziennika wywoływał nazwisko pierwszego lepszego ucznia, poczem tenże wychodził na środek klasy, przed katedrę, i wziąwszy do ręki wypisy rosyjskie, czytał z nich wskazany ustęp.

Iwan Mitrofanowicz Slepcow, z głową wspartą na ręku, zdawał się drzemać, lecz czujne ucho jego bacznie chwytało wszelkie uchybienia, zwłaszcza w zakresie akcentu. Zrazu poprawiał łagodnie, lecz gdy błąd powtarzał się, walił pięścią w katedrę i wołał po rosyjsku:

— A — z akcentem!... mówiłem ci to już, bałwanie jeden!...

Nic dziwnego też, że po takim epitecie, uczeń plątał się jeszcze bardziej, popełniał coraz więcej błędów, aż wreszcie zostawał odprawiony przez nauczyciela na miejsce, z dodatkiem nowego epitetu i złym stopniem w dzienniku.

Po wysłuchaniu w ten sposób kilku uczni, gdy godzina lekcji zbliżała się ku końcowi, Iwan Mitrofanowicz zadał na następną lekcję kawałek odtąd — dotąd, bez żadnego objaśnienia, i gdy rozległ się dzwonek na przerwę, zabrał dziennik i wyszedł.

Jurka w czasie przerwy otoczyli koledzy, niektórzy z wyrazami współczucia, inni znów z drwinami i żarcikami. Szczególnie zaś dokuczał mu jeden z drugorocznych, wysoki, barczysty blondyn, o dość tępym wyrazie szeroko rozlanej twarzy.

— Te, — wołał — a dój tam kozę porządnie... A nie płacz bardzo... Zostaw to na później, gdy Iwan zaznajamiać cię będzie z kaszą brzozową...

Gniewne uczucie wzbierało w piersi Jurka, zwłaszcza, gdy naigrawania te przekraczać zaczęły miarę... Porwał się z miejsca, z zaciśniętemi pięściami i rozpłomienioną twarzą zwracając się do prześladowcy, zawołał:

— Przestań... radzę ci... bo pójdę na skargę...

— Lizus, mamusin synek... pędź do pana dyrektora — wołał prześladowca Jurka.

Nie wiadomo do czego by doszło, gdyby nie rozległ się dzwonek, zwiastujący początek lekcji.

Uciszyło się powoli, chłopcy zajęli miejsca i po chwili do klasy wszedł profesor matematyki, Michaił Władisławowicz Kozłowskij.

Był to osobnik dość dobrej tuszy, wysoki, o siwej czuprynie, z niebieskiemi okularami na nosie, kryjącemi małe, przebiegłe oczki.

Należał on do liczby tych, którzy najgorliwiej prześladowali uczni za używanie języka polskiego, tępił go też wszelkimi sposobami, manifestując wszędzie, gdzie i jak tylko mógł rosyjskość swoją i prawosławie, choć, niestety, nieszczęsne „otczestwo“ Władisławowicz, zdradzało go na każdym kroku.

Najgorliwiej też ze wszystkich profesorów tropił i śledził uczniów na stancjach i w mieszkaniach prywatnych, węsząc wszędzie nielegalną literaturę, nieprawomyślność polityczną i t. p., z powodzeniem nieraz spełniając rolę agenta ochrany.

Spojrzenie oczu jego przejmowało na wskroś i na biednych uczniakach drżała skóra, gdy wyzywał ich do tablicy, celem objaśnienia jakiegokolwiek działania.

Wykład jego był prosty, zrozumiały, nawet dla mało pojętnych, lecz wymagania stawiał on wysokie. Najmniejszy błąd zaraz pociągał za sobą zły stopień, którego nawet najusilniejsze starania poprawić nie mogły, chyba, że ktoś umiał trafić do łask pana Kozłowskiego, lecz udawało się to tylko synom rodziców zamożniejszych.

Wszedłszy do klasy pan Kozłowskij przebiegł ją szybko spojrzeniem, poczem otworzywszy dziennik na chybił trafił, wyzwał pierwszego z brzegu ucznia. Los nadarzył, iż był nim Jurek Szumski. Podyktował mu zadanie, które miał rozwiązać na tablicy.

Wszystko szło gładko Jurkowi. Przeprowadzał wszystkie działania jak się należy, gdy naraz zaciął się przy cyfrze „czterdzieści“. W żaden sposób nie mógł przypomnieć sobie, jak nazywa się ona po rosyjsku. Paru drugorocznych podpowiadało mu ją, lecz niewprawny, nie obeznany jeszcze ze zwyczajami szkolnemi, nie umiał z tego skorzystać, i wreszcie, nie mogąc sobie dać rady, powiedział ją po polsku.

Jednocześnie jednak do uszu jego dobiegło dość wyraźnie podpowiedziane przez jednego z drugorocznych: „sorok“.

Uradowany powtórzył ją, lecz to wprawiło w istny szał gniewu pana Kozłowskiego.

— Dosyć!... — zawołał po rosyjsku — Szumski za to, że nie umie lekcji — pałkę, Wiadrowski za podpowiadanie — dwójkę ze sprawowania... Na miejsce...

Chciał Jurek protestować, oburzony tą niesprawiedliwością, gdyż przecież lekcję umiał dobrze, tylko co do nazwy liczby pomylił się, lecz ledwie wyrzekł pierwsze słowo, pan Kozłowski tupnął nogą i z gniewem zawołał:

— Ty jeszcze chcesz tu rozprawiać!... Siadaj, bo pałkę ci dam ze sprawowania...

Rad nie rad musiał się Jurek pogodzić z losem i wrócić na miejsce.

Dziwne jednak jakieś uczucie go ogarnęło... Szkoła, ta szkoła, do której niegdyś się rwał z takim zapałem, nie wydała mu się już tak ponętną... W pierwszym zaraz dniu pobytu w niej spotkały go dwie kary: koza i pałka, i za co?... za to, że użył języka polskiego...

Nie mogło się to pomieścić w jego krótko ostrzyżonej łepetynie, ażeby za użycie języka, którym w domu mówili i tatuś, i mamusia, i wszyscy, w szkole tak surowo karano...

Siedział też pogrążony w smutnych rozmyślaniach przez całą następną lekcję, którą zajęła kaligrafja, aż wreszcie Iwan uderzył w dzwonek na wielką pauzę.

Z wrzaskiem, jak stado jakie, wypadli wstępniacy na podwórze, by choć trochę rozprostować zmęczone ciągłem siedzeniem kości. Każdy niósł przytem śniadanie, by spożyć je na powietrzu.

Jurek pociągnął za innymi. Głowa go bolała, czuł jakieś zniechęcenie, jakiś żal nieokreślony, który go co chwila spazmem chwytał za gardło.

Naraz poczuł uderzenie w ramię i czyjś głos wesoły szepnął mu do ucha po polsku:

— Nie martw się... wszystko głupstwo... przyzwyczaisz się i do tego...

Obejrzał się, za nim stał Wiadrowski, ów kolega, który podpowiedział mu tą cyfrę fatalną.

Uścisnął mu rękę Jurek i jakoś poczuł się lepiej. Wiadrowski zaprowadził go w kąt dziedzińca, gdzie były złożone jakieś belki i gdzie nie dochodził krążący po podwórzu i podsłuchujący rozmowy uczniów jeden z nauczycieli.

— Siadaj — rzekł — i nie martw się... Prawda, nie jest to przyjemne, ale do tego trzeba się przyzwyczaić... Skąd się stary do ciebie dziś rano przyczepił?...

Opowiedział mu Jurek wczorajszą przygodę, a Wiadrowski pokręcił głową i rzekł:

— No... no... będą cię teraz pilnować... Ja się też raz wsypałem i teraz siedzę drugi rok... Ale to nic... Tylko ty nie pozwól tak stawiać się tym innym, zwłaszcza Wolffowi... To marna kreatura. Jak tylko ci co powie, to wal zaraz w zęby i wszystko będzie dobrze...

Jurek słuchał go i zaczął mu się zwierzać ze wszystkiego, lecz dzwonek, oznajmiający początek lekcji, przerwał te wynurzenia.

Ostatnia godzina zbiegła szybko i podczas gdy wszyscy wychodzić zaczęli do domów, Jurek pozostał w ławce.

— Trzymaj się mocno — rzekł mu cicho Wiadrowski, ściskając rękę.

Wyszli wszyscy. Jurek pozostał sam w klasie i wtedy dopiero zrobiło mu się dziwnie głupio. Wreszcie na progu sali ukazał się Iwan i łamaną gwarą swoją rzekł:

— Nu, popałsia, gołubczik... siedzi w karcerze, a na drugoj raz nie będziesz szaleć...

I mrucząc pod nosem zabrał się do sprzątania, prostując się tylko na widok inspektora, który przyszedł skontrolować, czy winowajca pozostał w klasie.

Jurek przesiedział te dwie godziny, pochylony nad książką, z której machinalnie powtarzał lekcje, zadane na dzień następny. Głodu nie czuł bardzo, gdyż pożerał go wstyd i lęk na myśl, co na to wszystko powie i mamusia i tatuś...

Czas mijał nadzwyczaj wolno. Na korytarzu rozlegała się wrzawa wychodzących z lekcji uczniów klas wyższych, a on siedział... siedział, pochylony nad gramatyką rosyjską...

Minęły wreszcie dwie godziny, gmach gimnazjum opustoszał zupełnie, a nikt się jakoś nie zjawiał, ażeby wypuścić go z kozy.

Czyżby zapomniano o nim?

Lęk go zdjął dziwny jakiś, że wypadnie mu siedzieć tak do rana i przejęty nim, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał, zwłaszcza, że głód dawał mu się porządnie we znaki.

Naraz pocichutku drzwi się otworzyły i zajrzał przez nie inspektor. Zobaczył płaczącego chłopca i tryumfujący uśmieszek wykrzywił usta jego. Podszedł do niego na palcach i kładąc rękę na ramieniu, rzekł miękkim głosem:

— Nu, nie płacz... nie płacz... a pamiętaj, ażebyś zawsze rozmawiał po rosyjsku... Idź teraz do domu.

Porwał się nieszczęsny Jurek, chwycił tornister z książkami, czapkę i nie zważając na nikogo, wybiegł z gimnazjum... Pędził, ile mu tylko sił sarczyło do domu i na drodze spotkał mamusię, która, zaniepokojona jego nieobecnością, biegła do gimnazjum, ażeby się dowiedzieć o jej przyczynie.

Wpadł jej w ramiona i rozpłakał się rzewnie.

— Mamusiu... mamusiu — powtarzał—jak to źle w tem gimnazjum...

I głosem przerywanym, nabrzmiałym przez łzy, opowiadał jej wszystkie przygody dnia tego.

— Biedactwo — szepnęła pani Szumska, gładząc go ręką po głowie, a w oczach jej błysnęły łzy.

Lecz spostrzegła, że zbytniem rozczuleniem nie należy zniechęcać do nauki syna, otarła je więc spiesznie i mówić zaczęła:

— Widzisz, mój kochany, nie może być w szkole tak, jak w domu... Tam niema mamusi, ażeby cię pieściła, tam nauczyciele są surowi i wymagający, trzeba się do nich zastosować, jeżeli chcesz skończyć gimnazjum...

Nie mogło się jednak w głowie Jurka pomieścić, za co tak surowe spotkały go kary i rzekł znów:

— Ależ, mamusiu, żeby tak surowo karano za to, żem parę słów po polsku powiedział?... Czyż to zbrodnia taka?...

Tu już nie wiedziała pani Szumska doprawdy co mu odpowiedzieć. Po chwilowym namyśle odrzekła wreszcie:

— Trudno, synku... takie prawo... Trzeba mu ulegać i być posłusznym...

— To ktoś strasznie zły wydał takie prawo — rozumował Jurek...

Po obiedzie zasiadł zaraz do lekcji, przyczem słyszał rozmowę tatusia z mamusią w gabinecie. Opowiadała mu ona widać przygody Jurka, gdyż tatuś coraz wykrzykiwał:

— Zbrodniarze... łotry...

A w nocy, gdy Jurek już spał, śnił mu się straszliwy pan Kozłowskij, w groźny sposób machający ową pałką i wbijający mu w głowę fatalne „sorok“.

III.

KOLEDZY.

Jurek uczęszcza do gimnazjum już tydzień cały. Powoli, choć z trudem, przyzwyczaił się do surowych przepisów i wymagań. Unikał jaknajstaranniej rozmowy po polsku, przynajmniej tak, ażeby podsłuchał go którykolwiek z nauczycieli.

Wyrobiło to w nim pewną mrukliwość, za którą też koledzy ochrzcili go nazwą „Mruka". Pomimo znacznej ich liczby, gdyż czterdziestu paru, poznajomił się bliżej z paroma tylko, a przedewszystkiem z Wiadrowskim. Z innymi stał na stopie etykietalnej grzeczności, niektórzy zaś zdradzali wręcz wrogie dlań usposobienie.

Szczególnie prześladował go ów blondyn drugoroczny, nazwiskiem Wolff, będący jednym z najgorszych uczniów w klasie, a przytem największym łobuzem.

Wszystko prawie uchodziło mu bezkarnie, gdyż, jak głosiły wieści, ojciec jego był właścicielem wielkiej restauracji, której stałym gościem bywał inspektor...

Trzymali się też od niego zdaleka inni koledzy, zwłaszcza należący do liczby lepszych uczni, do grupy których zaliczał się i Wiadrowski.

Ojciec jego był urzędnikiem jednej z instytucji prywatnych, średnio uposażony, nie mógł zabiegać, tak, jak inni o zdobycie względów nauczycieli... To też było powodem, iż pomimo zdolności i dobrej nauki, pozostawiony został na drugi rok...

Z innych kolegów Jurek wyróżnił tylko trzech, a mianowicie: Janka Kamińskiego, Tadzia Orwicza i Henia Zagórskiego.

Siedząc w pobliżu nich, zapoznał się z nimi, a że usposobienia ich zgadzały się z sobą, tworzyli jakoś dobrane towarzystwo.

Wogóle uczniowie w klasie dzielili się na trzy grupy: kowali vel lizusów, obojętnych i nygusów, jak się sami nazywali.

Do liczby kowali należeli ci, którzy dla zdobycia dobrego stopnia, dla zdobycia pochwały, kuli lekcje od a do zet, nie wnikając zupełnie w jej treść, a nadomiar wszystkiego przypodchlebiali się, jak mogli, nauczycielom, starając się wszelkimi sposobami zdobyć ich względy.

Lizusi ci ostentacyjnie rozmawiali po rosyjsku, biegali do nauczycieli ze skargami na tych, którzy między sobą rozmawiali po polsku i t. p.

Z pośród nich też przeważnie wyznaczano dyżurnych, to jest uczni, obowiązanych do przestrzegania czystości i porządku w klasie, a zwłaszcza do pilnowania kolegów, by zachowywali się przyzwoicie, a przedewszystkiem nie rozmawiali po polsku.

Stanowili oni, na szczęście, mniejszość w klasie, mniejszość, na którą pozostali koledzy spoglądali z pewnym odcieniem pogardy i lekceważenia.

Czynili to zwłaszcza obojętni, którzy, należąc do liczby dobrych uczni, pilnie słuchających lekcji i uczących się ich należycie, nie zabiegali zupełnie o względy nauczycieli, obojętnie traktowali wszystko, co mogło im te względy zjednać i pomiędzy sobą, ostrożnie, ażeby nie narazić się na karę, rozmawiali po polsku.

Na nich też najciężej zwalał się cały gniew profesorów, nie zważających wcale na dobrą naukę ich, a karzących ich za najmniejsze przewinienie, chyba, że rodzice ich należeli do liczby osób, z którymi należało się liczyć z różnych względów.

Trzecia wreszcie grupa, nygusów, stanowiła zupełne przeciwieństwo dwóch poprzednich. Ani się uczyli, ani sprawowali należycie, zdawało się, iż wszystkie wysiłki ich skierowane są do jaknajgorszej łobuzerki, do ignorowania wszystkie-

go, co choć odrobinę wspólnem było z nauką i z dobrem sprawowaniem.

Przywódzcą tej grupy był właśnie Wolff. Nie była ona liczną, lecz za to dobrze dobraną...

Poza temi trzema grupami, była jeszcze jedna, która trzymała się zdala od innych, byli to prawosławni i żydzi.

Pierwsi należeli do liczby specjalnie faworyzowanych, byli to przeważnie synowie nauczycieli i urzędników, a spełniali oni przytem funkcje lizusów, t. j. donosili o każdym objawie nieprawomyślnym kolegów władzom szkolnym.

Żydzi znów, w nielicznej grupie, dzięki ograniczeniom procentowym, trzymali się zdala od wszystkich, zbliżając się jednak więcej do prawosławnych i lizusów, niż do dwóch pozostałych grup.

Nic dziwnego też, że w tak różnorodnem środowisku, trudno się było zrazu zorjentować Jurkowi, który też w zupełności poddał się kierownictwu Wiadrowskiego, starszego od niego o dwa lata i więcej doświadczonego w życiu szkolnem.

Zaliczony też został odrazu do liczby obojętnych, choć nauczyciele otaczać go zaczęli pewnymi względami, zwłaszcza, gdy rozeszła się wieść o zamożności rodziców jego...

Odczuł to zaraz następnego dnia po odsiedzeniu owej kozy, gdy zawezwał go do siebie inspektor i łagodnym, ojcowskim niemal tonem, przemawiać zaczął:

— Mój kochanku... Zwróć uwagę na to, ażebyś jaknajwięcej mówił po rosyjsku... Mów tym językiem nietylko w szkole, z kolegami, ale i w domu... Pamiętaj, iż od tego zawisła cała przyszłość twoja, cały twój byt i że dzięki temu zdobędziesz sobie dobre stopnie, promocję, no i naszą przychylność... Czyż ci przyjemnie było siedzieć wczoraj w kozie?... I za co?... Za parę słów, powiedzianych w tym obcym języku?... A przecież podobnie surowe i surowsze nawet kary spotykać cię będą za każdym razem, gdy będziesz nieposłuszny przepisom... Czy rozumiesz mnie?...

— Rozumim... — odrzekł mu Jurek, choć Bogiem a prawdą, niewiele pojąć zdołał z tej powodzi słów, wypowiedzianych czysto wielkoruskim djalektem.

Pogłaskał go po głowie inspektor i rzekł na zakończenie:

— Spodziewam się, iż jeszcze gimnazjum nasze mieć będzie z ciebie pociechę...

Wyszedł z kancelarji oszołomiony tem wszystkiem i zaraz w czasie wielkiej pauzy zwierzył się ze wszystkiego Wiadrowskiemu. Wysłuchał go tenże, poczem rzekł:

— Toż samo opowiadał on i mnie i innym... Na gwałt chcą nas wszystkich zmusić do mówienia w domu po rosyjsku... Lecz to im się nie uda... Tatuś mój mówi, że naszą mowę ojczystą winniśmy pielęgnować jak skarb największy. I w domu nigdy inaczej nie mówi, jak po polsku, i daje mi tylko polskie książki do czytania...

Zapadły jakoś głęboko te słowa w duszę Jurka, który powoli uświadamiać sobie zaczął, iż w gimnazjum chcą mu wydrzeć skarb największy, jaki posiadał, mianowicie, język ojczysty, i skarbu tego bronić postanowił za wszelką cenę...

Zaczął też coraz gorliwiej uczęszczać na lekcje języka polskiego, nieobowiązującego, a wykładanego przez profesora Marzyńskiego. Był to mężczyzna lat średnich, wysoki, szczupły, zawiędły, o zamglonem spojrzeniu, pełnych zadumy i jakby tajonego bólu, oczu...

Wiedziano o nim, iż był człowiekiem głębokiej wiedzy, iż skończył uniwersytet i z zapałem oddał się historji, która stała się jedną z namiętności życia jego. Marzył o katedrze uniwersyteckiej, o studjach, prowadzonych w ciszy bibljotek, wśród różnych przestarzałych akt i dokumentów, z których wydobywał by na światło dzienne nowe fakty, nowe prawdy, oświetlające przeszłość narodu.

Lecz marzenia te nigdy się spełnić nie miały, nigdy nie miały wyjść ze sfery rojeń. Trudne warunki życiowe, a zwła-

szcza coraz bardziej zwiększająca się rodzina, zmusiły go do poszukiwania pracy zarobkowej... Znalazł ją początkowo, jako nauczyciel historji w szkołach męzkich, powodziło mu się tam nawet nieźle, czuł pewne zadowolenie duchowe, że umiłowaną wiedzę przelewać może w dusze młode i wrażliwe.

Niedługo to jednak trwało... Zachodzące w szkolnictwie reformy, miażdżące wszystko dawne, a wprowadzające nowy system wynaradawiający, pozbawiły go możności wykładania umiłowanego przedmiotu.

Odebrano mu lekcje historji, a oddano je jakiemuś przysłanemu z głębi Rosji, pedagogowi, który wykładał ją według podręcznika Iłowajskiego, zadając odtąd — dotąd...

A jemu, jemu, który dzięki swej wiedzy głębokiej mógł być chlubą każdego uniwersytetu, oddano lekcje języka polskiego, przedmiotu, który był nieobowiązującym w gimnazjum, od nauki którego zwalniano chłopców na pierwsze życzenie...

Przyjął je, przyjął z musu, nie mając nic innego do wyboru, ażeby tylko utrzymać rodzinę swoją. Prawda, i z tego obcego mu przedmiotu, dzięki głębokiej swej wiedzy i erudycji, umiałby uczynić przedmiot nader zajmujący i ponętny, lecz jednocześnie władze gimnazjalne nałożyły mu na usta knebel, polecając wykładać ów przedmiot według gramatyki polskiej, opracowanej w języku rosyjskim przez Michaiła Grubieckawo i wypisów polskich Dubrowskiego, wpajających w umysły dzieci, pod postacią języka polskiego, ducha i myśl rosyjską...

Ze zmianą przedmiotu, zmieniła się jednocześnie i postać profesora. Przygarbił się, postarzał, posiwiał, a oczy straciły dawny blask i żywość...

Sztywnie wchodził do klasy, sennym wzrokiem przebiegał po twarzach uczniów, a odczytawszy listę, wyzywał ich kolejno, wysłuchując lekcji... W obawie utraty jedynego zarobku, przestrzegał pilnie wszelkie przepisy gimnazjalne i karał

surowo wszystkich tych, którzy popełniali największą zbrodnię rozmawiania po polsku...

Zauważono jednak przytem pewną osobliwość, a mianowicie, iż donosicieli wysłuchiwał, oskarżonych karał, lecz następnie dla donosicieli był niesłychanie ostrym, wyzywał ich często do lekcji i stawiał złe stopnie, jakby choć w ten sposób chcąc napiętnować ich haniebne postępowanie...

To też nie cieszył się łaską u lizusów, z pośród których nawet niektórzy wcale na lekcje języka polskiego nie uczęszczali...

Za to nygusi otaczali go swoją sympatją, gdyż na jego lekcji dokazywać mogli dowoli, byle tylko nie przekroczyli zakreślonej, jakby tajemniczą umową, granicy. Wtedy podnosił głos i surowo karcił swawolników.

Mimo jednak tych wszystkich pozorów, przemawiających przeciw niemu, profesor Marzyński zdołał sobie zdobyć sympatję większości uczniów z pośród grupy obojętnych i sympatja ta trwała przez cały ciąg nauk w gimnazjum, od wstępnej klasy do ostatniej, w których wykładał język polski.

Oprócz profesora Marzyńskiego, Polakiem również był i nauczyciel rysunków, pan Filip Kański, młody jeszcze człowiek, naprawdę utalentowany, lecz ze zwichniętą karjerą przez nadużycie alkoholu...

Wykład jego był jasny, zrozumiały, przytem tchnął wielkiem umiłowaniem sztuki; zdarzało się nieraz, że rzucił uczniom swym jaki piękny szkic, lecz zaraz gasło to, ciemniało i zamieniało się w suchy, obowiązkowy wykład...

Wyłamywał się on nieraz z obowiązkowych przepisów gimnazjalnych, lekceważąc je sobie najwidoczniej, gdyż, jak mówiono, cieszył się protekcją paru wybitnych osobistości, których portrety malował, a nawet samego dyrektora, którego podobizna, jego pędzla, naturalnej wielkości, zdobiła kancelarję gimnazjalną.

Szereg profesorów wstępnej klasy uzupełniał herr Pa-

ulus, profesor kaligrafji, figurka dość pocieszna, wiecznie podrygująca, w peruce czarnej na łysej czaszce, zarozumiała wielce o swej sztuce i uważająca, iż kaligrafja jest jedną z najpierwszych nauk...

IV.

FATALNY DZIEŃ.

Sam Jurek, żeby go nie wiem jak badano, nie umiał by powiedzieć, jak się to stało...

Czy to był feralny dzień, jak mówiła stara niania Jagi, czy też taki dziwny zbieg okoliczności, ale rzeczywiście wypadki splotły się tak, że zakończyły się dla niego wielce nieprzyjemną katastrofą...

Oto stało się to tak:

Pewnego wieczoru styczniowego, wkrótce po ukończeniu świąt Bożego Narodzenia, siedział Jurek w pokoju swoim, zajęty odrabianiem lekcji. W pokoju było ciepło, zacisznie, lampa paliła się jasno, a przez podwójne okna ledwie że dobiegał brzęk dzwonków u sanek, pędzących ulicą...

Jurek, ukończywszy lekcję, wyciągnął się wygodnie na fotelu i z wielkiem zajęciem czytać zaczął Robinzona Kruzoe, pożyczonego w przeddzień od Wiadrowskiego.

Naraz w przedpokoju rozległ się dzwonek, dało się słyszeć otwieranie drzwi, zmięszane głosy, wreszcie na progu ukazała się Małgosia i rzekła:

— Paniczu... tam przyszedł jakiś moskal!...

Zerwał się Jurek, nie wiedząc, kto to być może i zdumiał się wielce, ujrzawszy na progu pana... Iwana Mitrofanowicza Slepcowa...

Do czasu tego wizyty profesorów omijały go jakoś szczęśliwie, choć słyszał, że odbywały się nieraz u kolegów...

Zdziwienie też jego wielkiem było, gdy ujrzał u siebie dość antypatyczną postać gospodarza klasowego, uśmiechniętego nader mile i spoglądającego łaskawie powierzch okularów.

Wizyta ta o tyle jeszcze była dla niego nieprzyjemną, że rodzice wieczoru tego udali się do teatru.

— Jak się masz? — przywitał go Slepcow — cóż porabiasz wieczorem w domu?...

I wyjąwszy z rąk jego książkę, spojrzał na jej tytuł, a wzruszywszy ramionami, mruknął:

— No... no... — poczem dodał — a pokaż no mi swoją bibliotekę... gdzie trzymasz książki szkolne?...

Poprowadził go tam Jurek, i z tajonem biciem serca otworzył drzwi szafki bibljotecznej... Widniały tam prawie same książki polskie, oprócz, ma się rozumieć, szkolnych... Na pierwszem miejscu umieszczone stały ładnie oprawne poezje Mickiewicza i wiele innych książek, darów tatusia, mamusi i rodziny.

Zaczął je przeglądać pan Slepcow i coraz przeciąglejsze gwizdanie rozlegało się z ust jego.

Spojrzał po ścianach pokoju, na których wisiały portrety Kościuszki, Mickiewicza, Sobieskiego i innych królów i bohaterów Polski, i ramiona jego wzruszyły się gwałtownie, a z ust wybiegło syczenie:

— Nu, i dziwić się, że tak słabo znasz język rosyjski, kiedy ciągle w takiem przebywasz otoczeniu... Ot, zamiast czytać dobre książki, jak Puszkina, Lermontowa, Żukowskiego, Kryłowa i innych wielkich pisarzy naszych z bibljoteki szkolnej, zawracasz sobie głowę temi bzdurstwami... I nic dziwnego, że szwankuje na tem język rosyjski... Ja nie wiem, co na to powie dyrektor, gdy przedstawię mu raport, ale wiadomem jest, iż uczeń nie powinien mieć żadnych książek w obcym języku, oprócz szkolnego. A tu pełna ich szafa... I te portrety buntowników na ścianach... No... no... sami twoi rodzice pchają cię do zguby, nie myśląc o przyszłości twojej...

Jurek słuchał oszołomiony. Chciał mu zaprzeczyć, bronić się, lecz nie mógł słów znaleźć na to, wreszcie prosił go, ażeby zaczekał na przyjście rodziców.

— Nie, mój kochany — odrzekł pan Slepcow — nie mam czasu, ażeby czekać, lecz poproś ojca, ażeby jutro rano przed lekcjami, zaszedł do mnie... do mieszkania...

Tu podał mu adres swój, na skrawku papieru wypisany.

Wyszedł, a w uszach Jurka dźwięczały słowa nauczyciela, jak uporczywe brzęczenie wielkiej muchy. Zdania jego wpijały się w mózg, wżerały, a wrażliwy umysł chłopca coraz gorsze wyciągał z nich konsekwencje i następstwa tej wizyty.

Zwłaszcza trwogą go przejmowało żądanie, ażeby tatuś z samego rana, jeszcze przed lekcjami, był u niego...

Dostał lekkiej gorączki i rozpłomieniony siedział, oczekując powrotu rodziców.

Przyszli wreszcie... Pani Szumska, zawiadomiona przez nianię o bytności jakiegoś moskala i dziwnym stanie Jurka, podążyła do niego...

Uradowany Jurek zarzucił matce ręce na szyję i głosem, przerywanym od łkania, opowiedział szczegółowo cały przebieg wizyty pana Slepcowa.

Przejęła się nią nie na żarty pani Szumska i pośpieszyła do męża, by opowiedzieć mu wszystko. Zafrasował się nią i pan Szumski, wreszcie rzekł:

— Zobaczymy jutro o co mu idzie... Pójdę do niego możebnie wcześnie, choć zdaje mi się, że idzie tu o posmarowanie...

Niezbyt dobrze spał tej nocy Jurek i choć go mamusia zatrzymywała, uparł się koniecznie iść do gimnazjum.

Na drodze spotkał tatusia, wracającego od pana Slepcowa. Przycisnął go gorąco do piersi i ucałowawszy serdecznie, rzekł:

— Idź, synku, idź, nie bój się niczego...

Nabrał też otuchy, i choć z pewną trwogą przechodził koło Iwana, podążył do klasy i zajął swoje miejsce...

Pierwsza lekcja była pana Slepcowa i serce Jurka ściskało się jakimś lękiem tajemniczym na myśl tego, co go spotkać może...

Lecz, o dziwo — pan Slepcow był dla niego nadzwyczaj uprzejmy, wyzwał go do lekcji, a nawet piątkę postawił po zadaniu paru błahych zapytań...

Z westchnieniem ulgi wrócił Jurek na miejsce i wszystko naraz wokoło niego poweselało... A więc tatuś zdołał ubłagać pana Slepcowa, kiedy nie był tak gniewny, jak wczoraj...

Zasiadł na miejscu, postanawiając na najbliższej pauzie opowiedzieć wszystko Wiadrowskiemu...

Lecz los zdarzył inaczej...

Podwórze gimnazjalne wysypane było grubym żwirem, którym chłopcy zabawiali się w czasie pauzy, używając go jako pociski.

Jurek, przebiegając przez podwórze, spostrzegł naraz Wiadrowskiego, stojącego na ganku, i nie namyślając się długo, rzucił żwirem w niego...

W tej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk na ganku... To krzyczał Fiedia Orłow, syn popa, wykładającego religję prawosławną, trafiony kamiuszczkiem przez Jurka.

Jurek zdrętwiał, nie wiedział sam co ma robić, a Fiedia, trzymając się za głowę, na której wyskoczył guz potężny, biegł do kancelarji, wrzeszcząc w niebogłosy:

— Szumskij ubił mienia!... Szumskij ubił mienia!...

Zbiegli się wnet do niego wszyscy profesorowie z inspektorem na czele, a ojciec—pop biegł do niego, jak olbrzymi jastrząb, z rozwianymi szeroko rękawami i połami odzieży.

Poszwankowanego zaprowadzono do kancelarji, dokąd wnet sprowadzono lekarza, a tymczasem Iwanowi wydano polecenie wyszukania winowajcy i odprowadzenia go do ciemnego pokoiku, służącego za skład różnych rupieci.

Fiedia leżał na kanapce w kancelarji, i choć lekarz zapewniał, iż po za nieznacznym guzem, stłuczenie żadnej większej szkody nie zrządziło, pop rozpaczliwie biadał nad synem, jako ofiarą męczeńską prześladowania wiernych sług cara przez Polaków, a dyrektor, inspektor i pozostali nauczyciele naradzali się nad tem, co zrobić z winowajcą...

Odzywały się głosy, ażeby natychmiast uwolnić go z gimnazjum z wilczym biletem, lecz łagodził je inspektor i pan Slepcow, wreszcie stanęło na tem, ażeby na dzień następny, na południe, zawezwać do gimnazjum ojca jego, i zażądać od niego ukarania przestępcy... rózgami...

Jurek oszołomiony tem wszystkiem, co zaszło, nie wiedząc co robić, siedział wtulony w kąt komórki, gdy zjawił się po niego pan Slepcow i wypuszczając, rzekł:

— Idź do domu, a jutro przyjdź razem z ojcem, — a gdy Jurek odchodził, rzekł mu szeptem: — a powiedz ojcu, żeby był spokojny... ja ciebie obronię...

Wrócił Jurek do domu zapłakany, zgorączkowany i z łkaniem, głosem zdławionym, opowiedział mamusi wszystko...

Przeraziła się tem nie na żarty... Udała się zaraz z nim razem do męża i opowiedziała mu wszystko.

Targnął gniewnie wąsa pan Szumski i rzekł:

— Nie, to już zanadto... Dopiero co dziś rano opłaciłem się jednemu, ażeby nie wszczynał skandalu z powodu książek polskich i portretów na ścianach, teraz znów nowa awantura...

— Czy ja, tatusiu, jestem temu choć cokolwiek winien?... — tłomaczył się Jurek...

— Tyś nie winien, synku — rzekł miękko pan Szumski — winien tylko system, winny warunki, w jakich los nam żyć każe, a ofiarą których ty i koledzy twoi padacie... Nie martw się, nie płacz... załatwi się to jakoś...

Uspokoił się Jurek powoli i przestał płakać. Udał się do swojego pokoiku i zdumiony został zmianą, jaka tam zaszła.

Znikły ze ściany portrety mężów Polsce zasłużonych, a miejsce ich zajęły jakieś sztychy nic nie mówiące... Znikły też i z biblioteki książki polskie, na których miejscu ziała pustka...

— Co to, mamusiu? — spytał Jurek.

— To tatuś, na skutek rozmowy z panem Slepcowem, uprzątnąć kazał, synku...

Noc tę niespokojnie spędził Jurek, a następnego dnia w południe, wędrował wraz z ojcem do gimnazjum. Pan Szumski był bardzo zły i gotów był na wszystko...

W kancelarji gimnazjalnej zastali już zebranych wszystkich profesorów, z dyrektorem na czele. Zasiadali oni naokoło wielkiego stołu, zielonem suknem zasłanego, z minami sędziów, pełnemi powagi i skupienia. Tuż przy inspektorze zasiadł „batiuszka“ Orłow z miną bolejącą.

Gdy wszedł pan Szumski z Jurkiem, powitano go skinieniem głowy i wskazano stojące na uboczu krzesło. Zajął je, a wtedy dyrektor zaczął przemowę...

W pełnych słodyczy słowach przedstawiać zaczął ciężką dolę nauczycieli rosyjskich, tych pionierów prawdziwego światła w kraju tak zacofanym, jak Polska, gdzie muszą znosić wszelkiego rodzaju prześladowania...

— I oto — kończył — wczoraj padł ofiarą takiego prześladowania syn naszego czcigodnego batiuszki Orłowa... Nieszczęśliwy, leży teraz na łożu boleści, cierpiąc za to, że ojciec jego dla dobra Rosji pracuje... Wina to wychowania rodziców, którzy dając dzieciom niestosowne książki do czytania oraz otaczając ich wizerunkami ludzi buntujących się przeciw wielkiej i świętej Rosji, budzą w ich sercach fatalny i szkodliwy fanatyzm narodowy, doprowadzający do takich właśnie czynów, jak wczorajszy... Przestępstwo to nie może pozostać bez kary... Winny winien ją ponieść, choćby dla przykładu, że zaś paru z profesorów wstawiało się za winowajcą ze względu na dotychczasowe dobre sprawowanie się jego, zdecydowa-

no zamiast wydaleniem z gimnazjum z wilczym biletem, ukarać go rózgami...

Skończył dyrektor swą tyradę, poczem zwracając się do pana Szumskiego, rzekł:

— Że zaś prawa gimnazjalne pozwalają karać rózgami uczniów tylko za zgodą rodziców, więc chcieliśmy zapytać się pana, panie Szumskij, czy pan się zgadza na to?...

Ojciec Jurka, który w czasie przemowy dyrektora bladł i czerwieniał z oburzenia, szarpiąc wąsy, odrzekł krótko:

— Nie... nie zgadzam się...

Oświadczenie to wywołało konsternację. Rozległy się okrzyki zdumienia, wreszcie dyrektor spytał:

— Ale dlaczego, panie Szumski?...

— Dlatego — odrzekł tenże — że panowie niewinny żart, wybryk, nieumyślną swawolę, podciągacie zaraz pod kategorję czynów politycznych... Syn mój wyznał mi wszystko i wierzę mu, gdyż nigdy mi jeszcze nie skłamał. Syna pana Orłowa uderzył niechcący, nieszkodliwie, z figlów... Nie widzę też powodu do surowego karania go, zwłaszcza, iż nigdy jeszcze dziecka mego nie biłem... Na naganę, i owszem, zgodzić się mogę, gdyż zasłużył na nią swym figlem, lecz na rózgi — nigdy... Wolę raczej odebrać go z gimnazjum... Przedtem jednak zwrócę się do ministerjum oświaty z prośbą o rozstrzygnięcie całej sprawy...

Ta spokojna, energiczna przemowa wywołała dziwne wrażenie. Nie spodziewano się widocznie jej i nie wiedziano, co zrobić z tym fantem. Zamieniano spojrzenia, wreszcie inspektor zaczął mówić:

— No... wie pan... takie postawienie kwestji zupełnie ją zmienia... Czyż nie lepiej będzie poświęcić ambicję i dać parę rózeg... przecież chłopcu nic się przez to nie stanie...

— Właśnie, że nie chcę narażać na szwank ambicji jego, nie zgodzę się na to stanowczo. O ile panowie nie cofną swej decyzji, dziś jeszcze zwracam się z prośbą do Petersburga.

Tu już dygnitarjat gimnazjalny nie wiedział, co ma czynić... Rozumieli dobrze, iż nałożona przez nich kara, nie była słuszną i czynili to raczej z chęcią upokorzenia ucznia-Polaka, dania przykładu innym, jak się mają zachowywać wobec protegowanych — prawosławnych...

Sądzili jednak, iż ojciec, w obawie wydalenia syna z gimnazjum, zgodzi się na nią, a tymczasem spotkali się nietylko z oporem, lecz i z groźbą, i to z groźbą poważną, gdyż wiedzieli, że pan Szumski posiadał rozległe stosunki i mógł zrobić swoje.

Zaczęli się wobec tego naradzać szeptem nad tem, co czynić, wreszcie dyrektor rzekł:

— Panie Szumski, pan daruje, lecz sprawa ta jest tak ważną, że naradzić się nad nią musimy sami... Może pan zechce wyjść do przyległego pokoju i poczekać tam na wynik naszej narady...

— I owszem, panie dyrektorze — rzekł pan Szumski i wyszedł.

Czekali dość długo, wreszcie ukazał się pan Slepcow, prosząc do kancelarji.

— Panie Szumski — rzekł dyrektor, gdy zajął miejsce — rada pedagogiczna, chcąc dowieść, iż tylko pobłażaniem i miłością pragnie zdobywać serca uczniów, zdecydowała się syna pańskiego ukarać tygodniem kozy, po godzinie dziennie... Kara ta służyć będzie dla niego uprzedzeniem, by zachowywał się grzeczniej i spokojniej na przyszłość...

— Dziękuję panom — wyrzekł krótko pan Szumski — syn mój jutro zgłosi się na lekcje i karę tą odbędzie...

To rzekłszy, zabrał z sobą Jurka i wyszedł z kancelarji.

W domu zaś miał długą z nim rozmowę na temat stosunków ogólnych i doradzał mu cierpliwość i wytrwałość, które stanowią jedną z najpotężniejszych broni Polaka w ucisku, jakim go gnębią Rosjanie.

V.

MAJÓWKA.

Nadszedł maj... przecudny, w pełnej krasie budzącej się do życia wiosny, maj, i w gimnazjum nowe zawrzało życie. Zmordowani zimą uczniacy, odżyll, lecz nie wpłynęło to bynajmniej dodatnio na ich chęć i zapał do nauki, przeciwnie nawet, pociągać ich zaczęły prześliczne, okryte świeżą zielenią zarośla podmiejskie, nęcić ich zaczęły łąki i place puste, na których tak idealnie szła gra w palanta, zbijaka, a nawet i w klipę...

Coraz też brakowało w każdej z klas, zwłaszcza młodszych, po paru chłopców, puszczających się na tak zw. wagary.

W wstępnej kalsie nygusi należeli do stale nieobecnych, pokazywali się z przywódzcą swoim, Wolffem, dwa, trzy razy na tydzień, a resztę dni spędzali, bujając po świeżem powietrzu.

Spokojniej też było w klasie, ciszej dzięki temu, tak że obojętni i kowale bez żadnych przeszkód mogli oddać się nauce.

Jurek Szumski, przybladły trochę, radował się wraz z innymi wiośnie, cieszył się, że skończy się nareszcie ta męka szkolna, że wyjedzie z mamusią na wieś, by odpocząć na świeżem powietrzu, by nabrać sił do dalszej nauki i pracy, a raczej męki gimnazjalnej.

A potrzebował tego gwałtownie, gdyż w ciągu zimy przeszedł poważną chorobę, która siły jego porządnie nadwyrężyła.

A stało się to tak: lekcji gimnastyki udzielał kapitan gwardji, Anatol Teofanowicz Durnow, rosły, tęgi, o nader wykwintnych manierach, o miłym uśmiechu, rozchylającym mu purpurowe usta, z poza których błyszczały białe, wilcze zęby.

Lecz te maniery, ten miły uśmiech były tylko pozorem, pod którym krył się zwykły, brutalny żołdak, traktujący uczonych przez niego chłopców, jak podwładnych mu żołnierzy...

Przy najmniejszem uchybieniu zasypywał ich gradem wymysłów, szarpał, a nawet i dawał kuksańce.

Gimnastyka odbywała się w dnie ciepłe na dworze, zimą zaś i w deszcz w wielkiej sali na dole, przyczem polegała zazwyczaj na marszach i zwrotach wojskowych.

Lecz pewnego dnia lutowego, gdy ziemię okrywała dość gruba warstwa topniejącego śniegu, kapitanowi Durnowowi przyszła fantazja odbycia gimnastyki na dworze... Nikt nie zaprotestował przeciw temu i biedni wstępniacy, wyprowadzeni na śnieg i błoto, przez całą godzinę maszerować musieli lub stać na zimnie i wilgoci...

Kulili się też nieboracy, jak mogli, przeziębli do szpiku kości, co znów w tak szalony gniew wprawiło i tak już gniewnego kapitana, że za karę urządził jeszcze jedną dodatkową godzinę gimnastyki.

Miało to ten skutek, że następnego dnia połowa uczni nie przyszła do gimnazjum, a druga połowa miała tak straszny kaszel i katar, że przez cały dzień nic innego słychać nie było, jak kichanie i kasłanie...

Jurek gimnastykę tę okupił dość drogo, gdyż parotygodniowem leżeniem w łóżku... Z zaziębienia wywiązało się zapalenie płuc, które nawet dość poważnie zagrażało życiu jego. Przezwyciężył jednak chorobę i w końcu marca wstał.

Odwiedzali go w czasie tym koledzy, zwłaszcza Wiadrowski, Orwicz, Kamiński i Zagórski, opowiadający mu wszystko, co się w szkole działo, przynoszący książki i zabawiający go, jak mogli i umieli.

Parokrotnie również zaglądał i pan Slepcow, ubolewający nad wątłem zdrowiem jego, pocieszający go, że wróci znów do gimnazjum, gdzie wszyscy na niego z tęsknotą czekają, a jednocześnie rozglądał się bacznie na wszystkie strony, czy nie dostrzeże czegoś nieprawomyślnego.

Zjawił się nawet i inspektor, przyjęty grzecznie choć zimno przez pana Szumskiego. W grzecznych, wykwintnych

słowach wyraził on ubolewanie swoje nad tem, co się stało, gdy zaś pan Szumski zauważył, że podobne eksperymenty są zbyt niebezpieczne dla tak małych chłopców, odrzekł:

— Panie łaskawy... Władze nasze wiedzą, co czynią... Wszakżeż z tych małych chłopców wyrosną w przyszłości mężowie, żołnierze, obrońcy ojczyzny... Trzeba ich zahartować do tego, przyzwyczaić, by, gdy ojczyzna ich powoła, gotowi byli stanąć w szeregach. Na tem też opiera się cały nasz obecny system wychowania, ażeby z nich przygotować dobrych żołnierzy na przyszłość...

Chciał mu zaprzeczyć pan Szumski, chciał odrzec, że nie wszyscy będą żołnierzami, że przecież nie można całego życia społecznego wcisnąć w ciasne ramki koszarowe, tak, jak to czyni rząd rosyjski, lecz dał spokój, wiedząc dobrze, iż próżną było by to pracą.

Zamienił też tylko kilka zdań obojętnych, a inspektor, pogładziwszy po głowie Jurka, wyraziwszy nadzieję, że wyzdrowieje on wkrótce, odszedł.

Powoli dźwigał się Jurek z choroby, aż wreszcie, gdy rozbłysły pierwsze promienie wiosennego słońca, wrócił do gimnazjum.

Szedł tam z ciężkiem westchnieniem, jak do dusznej dławiącej klatki, z której niema nadziei wyrwania się na szerszy, jaśniejszy horyzont...

Należał do liczby lepszych uczni w klasie. Nauka, dzięki pomocy pana Milewskiego, szła mu dość łatwo, to też nie ulegało wątpliwości, że otrzyma promocję do klasy pierwszej.

Gdy nadszedł maj, liczył na palcach dnie, które mu jeszcze pozostały do wakacji, w głębi duszy nieraz zazdroszcząc tym z nygusów, którzy wymykali się na wagary.

Ach, z jaką rozkoszą wymknął by się i on z dusznych ścian klasy, gdzie od siedzenia na twardej ławie tak bolały i plecy i głowa; pomknął by hen, na dalekie pola i łany, do

zielonych lasów, by pobiegać, potarzać się na trawie, wciągnąć w płuca świeże, orzeźwiające powietrze.

Lecz pojęcia etyczne, zaszczepione w domu, nie pozwalały mu na to... wiedział, że to jest złe, że tego czynić nie należy.

W gimnazjum wogóle życie szło w jakiemś tempie przyspieszonem, żywszem, czuć było zbliżające się egzaminy, a po nich wakacje, z takiem upragnieniem oczekiwane przez rzeszę uczniowską.

Naraz rozbiegła się po całem gimnazjum wieść elektryzująca, wieść, wprowadzająca zamęt w gromadkę uczniowską, że w połowie maja ma się odbyć majówka...

Była to nowość, wprowadzona z nakazu kuratora okręgu naukowego, a przywitana z radością przez uczniaków, radych, że choć jeden dzień spędzą swobodnie na łonie natury, w zaciszu leśnem.

Rozprawiano o tem przez parę dni, aż nareszcie pewnego dnia ogłoszono we wszystkich klasach, że każdy z uczniów winien przynieść rubla składki na koszta majówki, a w oznaczonym dniu stawić się w gimnazjum, z tornistrem na plecach, w którym znajdować się winien talerz, łyżka, nóż, widelec i szklanka.

Ożywienie wielkie zapanowało w gimnazjum, a w dniu oznaczonym stawili się wszyscy, nie było dnia tego ani amatorów wagarów, ani chorych na główkę lub paluszek, chyba tylko naprawdę obłożnie chorzy pozostali w domu...

Na podwórzu gimnazjalnem stała już orkiestra wojskowa, stały wozy żołnierskie z prowiantem, oraz szereg powozów dla dygnitarzy gimnazjalnych i ich rodzin, gdyż majówce całej miano nadać charakter familijny, rodzinny.

Kapitan Durnow krzątał się po podwórzu, przy pomocy feldfebli ustawiając uczni w szeregach, czwórkami, według klas.

Stanęli wreszcie wszyscy. Pop Orłow odczytał modlitwę, której wszyscy profesorowie wysłuchali w nabożnem skupieniu... Syn jego, Fiedia, stanął na czele z rozwiniętym sztandarem o barwach narodowych rosyjskich, tuż zaraz za postępującą na przodzie orkiestrą.

Zagrzmiały wreszcie tony hymnu „Boże caria chrani", podchwycone na znak nauczyciela śpiewu, przez setki gardeł uczniowskich i pochód cały ruszył w ordynku ulicami miasta, w stronę Bielan.

Przechodnie zatrzymywali się na ulicach, patrząc na ten kroczący tryumfalnie pochód... pochód młodzieży polskiej, śpiewającej hymn narodowy rosyjski na cześć cara — kata narodu polskiego...

Niejedno serce ścisnęło się boleśnie, myśląc, co to za plon wznijdzie z tego ziarna, którego uprawą gorliwie zajmowali się pedagogowie-patrjoci rosyjscy...

Lecz ktoby uważniej wpatrzył się w twarze idących, jak żołnierze chłopców, napewno doznał by pociechy... Widniała w niektórych z nich jakaś determinacja, jakaś zaciekłość, znać po nich było, iż czynią to z nakazu, z musu, że nie sprawia im żadnej przyjemności to defilowanie przez ulice miasta ze śpiewem znienawidzonego hymnu... Ci nie śpiewali go... szli prosto, równo, ze wzrokiem utkwionym w dal, jak niewolnicy, lecz niewolnicy, w umysłach których kiełkuje już myśl o jaknajprędszem zrzuceniu kajdan niewoli.

Z nich siewcy rosyjscy pociechy mieć nie będą, plon, jaki z nich wzejdzie, chwastem będzie w ich ogrodzie rusyfikacyjnym, a za to przepięknym kwiatem w pustym, głuchym ogrodzie narodowym, o ile ich nie zwarzy przedwcześnie mroźny powiew północy.

Szli tak szeregami, a orkiestra po odegraniu hymnu, coraz to inne skoczne wygrywała marsze.

Jurek Szumski, uradowany tą nowością, maszerował w szeregu, myśląc zawczasu o przyjemnościach, jakie go cze-

kały w pięknym lasku bielańskim, znanym mu z wycieczek, odbywanych z rodzicami.

Minęli wreszcie ponure mury cytadeli, patrzącej groźnie na rozścielające się u stóp jej miasto paszczami wycelowanych na nie dział.

Szli drogą, wijącą się przecudnie nad brzegiem Wisły, aż wreszcie minąwszy biały kościołek OO. Kamedułów, z pomnikiem Staszyca, znaleźli się na obszernej polanie.

Tam zatrzymano się...

Wyładowano wozy, rozłożono obozowisko i wszyscy wygodnie rozłożyli się na trawie, by wypocząć po dalekiej drodze.

Lecz chłopcy nie wypoczywali długo. Znęceni względną wolnością, w jakiej się znaleźli, rozbiegli się po lesie, używając, ile się dało, biegając, zabawiając się w przeróżne gry.

Nie długo jednak cieszyli się tą wolnością...

W krótkim czasie rozległ się sygnał trąbką, przyzywający ich na polanę. Wdrożeni do karności, zbiegli się wszyscy i przekonali się, że przybyli nowi goście...

Przy dyrektorze, otoczeni gronem pochylonych w służalczych ukłonach nauczycieli, stali: wszechwładny kurator okręgu naukowego, Aleksandr Lwowicz Apuchtin i pomocnik jego, Ilja Michajłowicz Zubrow.

Rozmawiali oni o czemś z ożywieniem z dyrektorem i inspektorem, podczas gdy kapitan Durnow z feldfeblami i gospodarzami klasowymi, zajęci byli ustawianiem w szeregach wszystkich klas. Dokonali wreszcie swego i przed szeregi wystąpił nizki, krępy, o sumiastych wąsach i krzczastych brwiach, groźny kurator...

— Zdrawstwujtie rebiata!... — zawołał chrapliwym głosem.

— Zdrawja żełajem waszemu prewoschoditielstwu! — odpowiedzieli uczniowie i klasa za klasą, żołnierskim marszem przechodzić przed nim zaczęła...

A on, wsparty pod boki, patrzał na nich z pewną dumą, jak wódz małej armji, pokornej na każde jego skinienie, której był władzcą i panem nieograniczonym.

Zaczęły się potem różne zwroty i ewolucje wojskowe, któremi kapitan Durnow popisywał się przed potentatem, ażeby zdobyć sobie pochwałę jego.

Trwało to dość długo... Apuchtin głośno wyrażał uznanie swoje, z czego kwitły zadowoleniem twarze dyrektora, inspektora i kapitana, lecz z czego bynajmniej nie byli zadowoleni uczniowie, którym czas, przeznaczony, ich zdaniem, na baraszkowanie po lesie, zabierano niepotrzebnemi ćwiczeniami. Przytem głód dokuczał im srodze...

Skończono wreszcie... z westchnieniem ulgi rozproszyli się uczniowie po lesie, spoglądając z utęsknieniem na kotły, w których gotowało się jedzenie...

Ci, którzy byli przezorniejsi i zabrali z domu pewne zapasy jedzenia, posilali się niemi, dzieląc się z kolegami.

Wreszcie dygnitarze odjechali, odprowadzeni przez gnących się w ukłonach potentatów gimnazjalnych i szary tłum nauczycielski, i wtedy dopiero zaczęła się zabawa w pełnem znaczeniu tego słowa...

Na murawie zasiedli rzędami uczniowie, trzymając przed sobą talerze, w które kucharz wielką warząchwią nalewał z kotła kapuśniak żołnierski, niezbyt ponętny i smaczny, lecz za to chciwie połykany przez wygłodniałe żołądki uczniowskie. Kawałki mięsa z kartoflami i herbata z chlebem stanowiły dopełnienie tej uczty...

Za to przy wielkim stole, obstawionym ławami i krzesłami, a który obsiedli wszyscy nauczyciele z rodzinami, wrzała zabawa w całej pełni...

Tam podawano nie kapuśniak, lecz wytworny drób pieczony, z jarzynkami, sałatkami, przekąski, a przedewszyst-

kiem wystawiono całe baterje butelek z wódkami, likierami, koniakami i winami...

Nie darmo przecież p. Slepcow od paru dni obchodził rodziców zamożniejszych uczni, pod różnemi pretekstami namawiając ich do udzielenia składki na majówkę...

Stąd też powstała ta obfitość i wykwint, ten bezmiar trunków...

Nie żałowano sobie niczego... Kieliszek wychylano po kieliszku, szklankę po szklance, aż wreszcie humory poróżowiały tak dalece, że ściskać się serdecznie poczęto, oświadczając się z miłością wzajemną.

Panie z rodzin nauczycielskich w niczem nie ustępowały mężom, nie żałując i sobie trunków...

Wyszła też na jaw i szeroka natura rosyjska, wyrażająca się tłuczeniem kieliszków i szklanek, a wreszcie i pustych butelek...

P. Slepcow, gdy orkiestra zagrała kozaka, puścił się w tany, a towarzyszył mu jeden z nauczycieli z wyższych klas, p. Woskobojnikow...

Uczniowie z podziwem przyglądali się tym produkcjom tanecznym tak zwykle poważnych pedagogów, gdy dyrektor, niemniej od innych podpiły, zwrócił się do nich i zawołał:

— Nu, chłopcy, zaśpiewajcie!...

I fałszywym głosem zaintonował:

„Ach, kak po matuszkie!... po Wołgie!...

Znalazła się wnet gromadka lizusów, która śpiew ten podchwyciła, i wnet rozbrzmiała w lesie hulaszcza pieśń rosyjska, śpiewana piskliwymi głosami chłopców i fałszywymi, przepitymi głosami nauczycieli.

Tymczasem inni uczniowie korzystali z wolności i rozeszli się po lesie gromadkami, rozmawiając o różnych rzeczach, lub zabawiając się w różne gry.

Jurek, Wiadrowski, Orwicz i paru innych kolegów skręcili aż nad brzeg Wisły, i tam, rozłożywszy się nad wysokim,

urwistym brzegu, gawędzili o różnych rzeczach, gdy naraz do uszu ich dobiegł ów śpiew chóralny...

Zamilkli, przysłuchując się jemu, wreszcie Wiadrowski zauważył:

— Ot, popili się, jak bydło, a teraz wyją...

— Zaśpiewajmy i my cokolwiek, — zaproponował Jurek, a myśl tą gorąco podchwycili koledzy jego...

I po chwili, na brzegu Wisły, rozbrzmiała chóralna, młodzieńczemi głosami śpiewana pieśń nabożna...

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze...

I płynęła wdal, unoszona przez szemrzące z cicha fale, odbijając się donośnem echem o ciemną ścianę lasu.

A w ślad za nią poszła druga pieśń, wesoła, wojacka...

Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
Stoi ułan na pikiecie...

I szły jedna pieśń za drugą, śpiewane przez rozochoconych chłopców, nie przeczuwających, że obserwowani są przez niepożądanego świadka ich nielojalności.

Oto p. Slepcow, któremu trunki, dość obficie wchłaniane, zakręciły nieźle w głowie, odłączył się od dygnitarjatu profesorskiego, i poszedł na spacer, by przewietrzyć się trochę, by nabrać sił do dalszej libacji.

Posuwając się naprzód dość chwiejnie na nogach, podsunął się aż do wybrzeża rzeki, gdzie do uszu jego dobiegł chóralny śpiew młodzieńczych głosów.

Zamąconą wyobraźnię jego uderzyło to, iż nuta pieśni tych była znacznie różną od tych, jakie śpiewano przy stole profesorskim, że nie była ona tak hulaszczą, jak np. „Hej, po matuszkie, po Wołgie, biełyj sielezień pływiot“...

I słowa były jakieś inne, nie w urzędowej mowie, a w tej znienawidzonej, wypędzonej raz na zawsze z murów gimnazjalnych, obcej...

Zawrzał na to straszliwem oburzeniem obrażonego uczucia patrjotycznego czcigodny pedagog, i postanowił ująć winowajców, by stawić ich przed sąd i uzyskać za tak straszliwe przestępstwo surową karę...

Że zaś zacny pedagog był straszliwym krótkowidzem, a okulary jakoś odmawiały mu posłuszeństwa, zdecydował podsunąć się do nich niepostrzeżenie, by wypadłszy znienacka, ująć wszystkich i przed wysokie forum dyrektorskie i inspektorskie po wymiar sprawiedliwości zaprowadzić.

W wykonaniu tego planu padł na czworaki i ostrożnie, powoli, posuwać się naprzód zaczął, by spaść na nich znienacka... Na nieszczęście, gdy już niedaleko winowajców się znajdował, zaczepił głową o gałęź krzaku, która mu zdarła z nosa okular, a jednocześnie nastąpił nogą na suchy patyk, który się z trzaskiem złamał...

Ten trzask ostrzegł małych przestępców, którzy momentalnie śpiewać przestali...

Zrozumiał wtedy p. Slepcow, że nadeszła chwila działania, i zapominając o okularach, wypadł z krzaków, i jak lew na zdobycz rzucił się na skupioną gromadkę chłopców.

Ci jednak nie czekali,aż on ich schwyta, i w jednej chwili rozproszyli się na wszystkie strony, a p. Slepcow, biegnąc czemprędzej, by ich schwytać, nie spostrzegł zupełnie, dzięki brakowi okularów, iż brzeg w tem miejscu był urwisty.

Jedna chwila, i rozległ się plusk wody, oraz przeraźliwy, przejmujący wrzask p. Slepcowa.

Na szczęście, w miejscu tym woda płytką była, to też p. Slepcow, otrzeźwiony nagłą, zimną kąpielą, mógł z łatwością wydostać się z niej, rozpaczliwym głosem wzywając pomocy...

Nikt się jednak na ratunek mu nie zjawiał a nawet, wydało mu się, iż w pobliżu, z po za krzaków, dobiegają do niego ciche, lecz pełne radości śmiechy...

To jeszcze więcej podnieciło gniew jego.

Zaczął kląć i wymyślać w sposób prawdziwie rosyjski, wzywając przytem coraz głośniej pomocy.

Sytuacja jego była o tyle przykrą, iż stał po piersi w wodzie, porywany wciąż przez fale, a na brzeg nie mógł się wydostać, dzięki urwistości jego... Posunąć dalej bał się, ażeby nie natrafić na głębię.

Wytrzeźwiał też odrazu, i rozpaczliwie rozglądał się wokoło, zionąc coraz straszliwsze przekleństwa.

Aż wreszcie krzyk jego posłyszał któryś z uczniów klasy wyższej, i przybiegłszy na brzeg, aż ręce załamał, widząc czcigodnego pedagoga w takiej opresji.

Nie mógł mu jednak wiele pomódz, i tłumiąc śmiech, pobiegł czemprędzej na polanę, gdzie się wszyscy zabawiali, by sprowadzić pomoc.

Gromem też spadła na rozbawione grono wiadomość o przygodzie profesora Slepcowa... Dyrektor, dobrze już podpiły, z trudem ją zrozumiał, poczem, zawoławszy:

— Radi Boga... Spasajtie... — pomknął ku brzegowi rzeki.

Za nim pobiegli wszyscy, krzycząc, lamentując, a najwięcej wrzawy narobiła żona p. Slepcowa, nizka, gruba rosjanka, nie mniej upojona trunkami od innych.

— O mój mąż!... mój gołąbek!... utonie, nieborak, i co ja pocznę bez niego!... biadała, patrząc na stojącego w wodzie Slepcowa.

I całe grono stało z wrzaskiem na brzegu, popychając się, tłocząc, do czego dopomagali jeszcze więcej zbiegający się z różnych stron uczniowie, lecz o ratunku nikt nie myślał, pomimo błagalnych wezwań Slepcowa.

Dopiero dwaj żołnierze z orkiestry zabrali się energicznie do tego, i wydobyli z zimnej wody kostniejącego już pedagoga...

Przeniesiono go na polankę, gdzie przedewszystkiem zaczęto rozgrzewać nieszczęsnego topielca gorącą herbatą z rumem, że zaś nie było na zmianę ubrania, każdy z pedagogów pożyczył mu jakąś część garderoby...

Wreszcie ułożono go pod drzewami, na pożyczonej z poblizkiej karczmy pościeli, otulono pierzynami, napojono rumem, a odzież jego rozwieszono na sznurze, przeciągniętym między drzewami, by wyschła.

Epizod ten nie przerwał wcale zabawy... Przeciwnie, dał nawet powód całemu gronu pedagogicznemu do nowych libacji za zdrowie cudownie ocalonego pedagoga... Dopytywano go się o powód tej katastrofy, opowiadał ją, lecz zmęczony umysł dyrektora i inspektora nie wiele mógł z tej opowieści zrozumieć.

— Rozpatrzymy to jutro, — zakonkludował dyrektor, wracając do zastawionego stołu.

Za to uczniowie, rozproszeni po lesie, opowiadali sobie ze śmiechem całą tą przygodę, komentując ją w przeróżny sposób. Prawdziwi winowajcy zaś zachowywali o niej grobowe milczenie.

Zmierzch już zapadał, gdy rozległa się trąbka, wzywająca wszystkich do powrotu.

Ściągnęli wszyscy powoli na polanę, gdzie kapitan Durnow biegał, jak opętany, ustawiając wszystkich w szeregi.

Wreszcie ustawił się cały pochód i z orkiestrą na czele ruszył do miasta.

Na opróżnionych z prowiantów wozach wracało ciało pedagogiczne gimnazyum, w stanie budzącym litość... Rozlegały się też z nich śpiewy hulaszcze, w jakich znajdowała ujście szeroka rosyjska natura...

Noc już była, gdy weszła do miasta zmęczona tą ma-

jówką gromada uczniów, ze śpiewem pieśni narodowych rosyjskich na ustach...

Słuchali ich spotykani na drodze ludzie, a z wyrazem podziwu kiwali głowami, na widok rozbawionych pedagogów.

VII.

PRZYJACIELE.

Wakacje minęły błyskawicznie, żegnane przez Jurka i wielu, wielu kolegów westchnieniem szczerego żalu... Lecz cóż czynić... Wszystko na tym świecie mija, minęły też złote dni wolności, dnie, w których nie trzeba było dźwigać na plecach tornistra, wypchanego różnego rodzaju „uczebnikami“ i „zadacznikami“, ani medytować nad tem, jaki wyraz pisze się przez „jat“ lub znak miękki, a co najważniejsze, oglądać się bacznie na wszystkie strony, czy nie podsuwa się który z pedagogów, by podsłuchać uczniów, czy nie rozmawiają czasem wygnanym nazawsze z gimnazjum językiem polskim...

Hej, krwawiło się tam srodze niejedno serce sztubackie, gdy przyszło rzucać wesołe zabawy, swobodne igrzyska na łonie natury, a srogi los nakazywał wracać do miasta, do dusznych murów gimnazjalnych...

Lecz trudno, mus to mus, obowiązek, a choć przykry i bolesny, polskie dziecię do niego przywykać musi...

Jurek Szumski, już pierwszoklasista, po całoletnim pobycie na wsi, na letniem mieszkaniu, wracał do gimnazjum nie tak chętnie, jak szedł do niego przed rokiem...

Nie nęciła go już czapka i długie spodnie, a inne rozkosze zdołał już poznać dostatecznie...

Więcej daleko obchodzili go koledzy, z którymi zasiadać miał na szkolnej ławie, oraz nauczyciele, pod których kierunkiem miał pozostawać...

Cieszyło go wielce to, iż rozstał się z panem Slepcowem, zwłaszcza, iż owo zajście na majówce nie dawało mu spokoju.

Prowadzono wtedy śledztwo energiczne, ażeby wykryć owych śpiewaków, lecz nic nie ujawniono, gdyż ani jeden z chłopców nie zdradził ani siebie, ani kolegów...

W klasie pierwszej gospodarzem klasowym był Wasilij Siergiejewicz Woskobojnikow, nizki, szczupły, o ściągłej twarzy, zakończonej rzadką, koźlą bródką ryżego koloru.

Krążyły o nim wieści po całem gimnazjum, iż mimo młodego wieku w zdolności śledzenia nieprawomyślnych uczniów przechodził najstarszych i najwytrawniejszych pedagogów.

Chodził też, jakby skradając się, kociemi, niedosłyszalnemi krokami, tak, że umiał niespodziewanie zjawić się w miejscu, w którem najmniej go się spodziewano...

Inne wieści, ze źródeł prywatnych, głosiły, iż przed rozpoczęciem działalności pedagogicznej, służył w jakimś urzędzie policyjnym w Rosji, i za specjalne usługi tam oddane, został mianowany nauczycielem gimnazjum w Warszawie, przyczem podobno miał on zleconą sekretnie takąż samą funkcję...

Liczyli się też z nim wszyscy pedagodzy, a nawet dyrektor i inspektor.

W gronie kolegów nie wielkie zaszły zmiany, paru przybyło nowych i drugorocznych, paru ubyło. Wiadrowski i inni koledzy przeszli z nim razem, choć w szeregach promowanych znaleźli się i Wolff i znaczny zastęp nygusów, których rodzice należeli do zamożniejszych...

Jurek rozglądał się po klasie, starał się poznać nowych kolegów, z których do jednego zwłaszcza szczególną odrazu poczuł antypatję...

Był to chłopiec może trzynastoletni, krępy, nizki, o twarzy brzydkiej, dziobatej, o cerze ziemistej, o włosach czarnych, szorstkich, grubych i jakby tłuszczem posmarowanych. Oczy małe, czarne, okolone były czerwonemi obwódkami,

a ręce brudne z czarnemi obwódkami przy paznokciach, sprawiały odpychające wrażenie. Do tego ubiór jego był zniszczony, snać reperowany wielokrotnie.

Na domiar wszystkiego pan Woskobojnikow umieścił go w ławce tuż za Jurkiem, tak, że ciągle czuł na sobie wzrok jego...

Paweł Kulesza, gdyż tak się zwał ów uczeń, przyjęty został świeżo, na skutek usilnych starań jakiejś wpływowej osobistości. Nie należał on do liczby najlepszych uczniów, gdyż był dość tępy, a przytem trochę niedosłyszał, lekcje też wykuwał starannie, nie wiele rozumiejąc z wykładu nauczycieli.

Szczególnie ciężko szła mu łacina, której zawiłych gramatycznych subtelności nie wiele rozumiał.

Wykładający ją, prof. Kopernicki, wielce zamiłowany w swym przedmiocie, a przytem nader wymagający od uczni, wyróżnił go też wkrótce i najczęściej ze wszystkich wyzywał do lekcji, jakby w ten sposób chcąc utrwalić naukę tę w głowie jego.

Minęło parę tygodni od rozpoczęcia lekcji, a antypatja Jurka do Kuleszy rosła z dniem każdym... Cichy, spokojny, ustępujący wszystkim z drogi, nazwany przez kolegów mrukiem, nie dawał powodu do zaczepek, unikał wszelkiej zwady, ustępując na każdym kroku, co jeszcze więcej drażniło Jurka...

Próżno mu Wiadrowski i inni koledzy tłomaczyli, by wyzbył się tej niechęci... Próżno prosił pana Woskobojnikowa o przeniesienie do innej ławki.

Aż wreszcie przyszła chwila krytyczna...

Pewnego dnia na lekcji prof. Kopernickiego, podczas pisania ćwiczeń łacińskich, wydało się Jurkowi, iż Kulesza zbyt często zagląda przez ramię jego do kajetu...

Odwrócił się do niego i gniewnie burknął:

— Nie ściągaj!...

Kulesza nic nie odpowiedział, co jeszcze więcej oburzyło Jurka.

Zakrył ręką kajet, mrucząc coś niezadowolony pod nosem, a gdy wydało mu się, że Kulesza wciąż podgląda, zwrócił się do niego i gniewnie zawołał:

— Jeżeli kto jest osłem, nie mogącym zrozumieć lekcji, ten idzie do terminu, a nie chodzi do gimnazjum...

Spłonił się rumieńcem Kulesza na taką obelgę, lecz i tym razem zmilczał.

Lecz słowa te Jurka posłyszał prof. Kopernicki i zawołał:

— Szumski!... co ty tam mówisz?...

— Panie profesorze... ja nic... tylko Kulesza wciąż ściąga z kajetu mego...

— Kulesza, czy to prawda?... — spytał profesor.

— Nie, panie profesorze... ja nie ściągam... i tak bym nic nie widział przez ramię Szumskiego, który wciąż się mnie czepia — tłomaczył się Kulesza.

— Siadaj — rzekł profesor — a ty, Szumski, za ubliżenie koledze, po skończeniu ćwiczenia staniesz za karę przy tablicy...

Rumieniec wstydu, a zarazem gniewu oblał twarz Jurka

Ukarany był po raz pierwszy w sposób tak hańbiący, i to dzięki komu? dzięki takiemu potworkowi, dzięki temu brudasowi, jak w myśli Kuleszę nazywał...

Skończył ćwiczenie, oddał je profesorowi i stanął przy tablicy, przysięgając w głębi duszy zemstę Kuleszy...

Profesor spojrzał na niego przez okulary i rzekł spokojnym głosem:

— Szumski, pamiętaj, że złość jest jedną z najgorszych wad...

To dolało oliwy do ognia...

Więc znów spotkała go nauczka i to przez tego znienawidzonego Kuleszę...

Gniew wzbierał w nim coraz większy, potęgował się, aż wreszcie, gdy rozległ się dzwonek, nie zważając na to, że profesor Kopernicki nie wyszedł jeszcze z klasy, poskoczył ku Kuleszy i bez namysłu wymierzył mu silny policzek...

Pomimo wrzawy, panującej w klasie, głośnem echem rozległo się klaśnięcie policzka, tak, że go dosłyszał stojący już na progu profesor.

Zawrócił i wśród grobowej ciszy, doszedłszy do katedry, zawołał gniewnym głosem:

— Szumski i Kulesza, chodźcie tu...

Podeszli do katedry...

— Za coś uderzył Kuleszę?... — spytał ostro profesor.

— Bo on... panie profesorze... bo on... — jąkał się spłoniony Jurek.

— Bo on jest lepszy od ciebie — odrzekł za niego profesor — przeproś go w tej chwili...

Lecz upór brał w Jurku coraz bardziej górę... Jakto?... on... on ma przepraszać tego potworka, tego brzydala, który mu tak strasznie działa na nerwy... Nigdy...

Podniósł hardo głowę do góry i odrzekł krótko:

— Ja go nie przeproszę...

Spojrzał na niego ostro profesor i już miał wybuchnąć, gdy Kulesza podniósł twarz zalaną łzami i cicho rzekł:

— Pan profesor będzie łaskaw się nie gniewać i nie karać go... ja się na niego nie gniewam...

Głupio się jakoś zrobiło po tych słowach Jurkowi, lecz stał wciąż z głową hardo w górę wzniesioną.

Profesor popatrzał na niego krótko, poczem rzekł:

— Kulesza jest o wiele więcej wart od ciebie... Na skutek prośby jego zmniejszam ci karę o tyle, że posiedzisz dziś w kozie dwie godziny... A jutro, po lekcjach, przyjdziesz do mnie, do domu...

I wyszedł.

W klasie zapanował gwar trudny do opisania, przyczem uczniowie podzielili się na dwie grupy, otaczając kolejno i Kuleszę i Jurka... Słowa potępienia i uznania krzyżowały się, przyczem powstawały spory i kłótnie.

Kulesza, nie zważając na nic, wsunął się do ławki, rozłożył książkę i wsparłszy głowę na rękach, zatonął w nauce.

Jurek znów, stał z boku pod ścianą, a w sercu jego budził się jakby żal popełnionego czynu, jakby świadomość winy, a zarazem pewien niepokój, co może chcieć od niego profesor Kopernicki, po co mu każe przyjść do siebie.

Z bijącem sercem też wchodził po schodach skromnego domu przy ul. Długiej i na trzeciem piętrze zadzwonił do drzwi mieszkania profesora.

Otworzył mu on sam i odpowiedziawszy uprzejmie na pozdrowienie, poprowadził do gabinetu swego, zastawionego szafami i książkami.

— Siadaj, chłopcze — rzekł do niego po polsku, wskazując krzesło przy biurku, naprzeciwko siebie.

Jurek usiadł, a profesor, po chwilowem milczeniu, mówić zaczął:

— No cóż, chłopcze, czyś pomyślał spokojnie nad wczorajszym czynem twoim?... Czyś zastanowił się nad nim poważniej i poczułeś choć trochę żalu?...

Zarumienił się Jurek i odrzekł cicho:

— Tak, panie profesorze... Żałuję tego...

— Bardzo dobrze, że masz choć świadomość winy... Lecz żeby była ona pełniejszą, żebyś zrozumiał całą jej pełnię, żeś w tak niegodziwy sposób skrzywdził kolegę i to tak zacnego kolegę, jakim jest Kulesza, chcę ci opowiedzieć historję jego... Dla tego wezwałem cię do siebie, gdyż opowiadanie jej przy innych mogłoby go ze strony złośliwych i głupich narazić na gorsze prześladowania... Ty jesteś na tyle rozumnym i uczciwym, że odczujesz ją i ocenisz wartość jego...

I poprawiwszy się w fotelu, profesor mówić zaczął:

— Ojciec Kuleszy jest biednym majstrem szewckim, ot, takim sobie partaczem, żyjącym nędznie z reperacji obuwia... Nędza tam u nich panuje wielka, zwłaszcza, że dzieci jest gromadka spora... Paweł z nich jest najstarszym, a przytem najgorzej upośledzonym przez naturę... Ospa zeszpeciła go w dzieciństwie, obdarzyła kalectwem, gdyż niedosłyszy i niedowidzi, mimo to jednak jest on ogarnięty gorącą żądzą wiedzy... I choć nauka nie idzie mu tak łatwo, jak innym, choć rodzice nieraz stawiają mu przeszkody, wyśmiewając tę jego żądzę, poszturgując, idzie on wytrwale naprzód... A uczy się on w warunkach najstraszniejszych... Mała izdebka w suterynie służy im jednocześnie za warsztat i mieszkanie. Brud tam panuje i zaduch straszliwy, z powodu gromadki dzieci, z któremi matka, kobieta prosta, rady sobie dać nie może... Zapędzają go też do roboty, ojciec do kopyta, matka do niańczenia dzieci i mycia podłóg, nie żałując nieraz kuksańców... A on się uczy, uczy po nocach, wykonywując posłusznie wszystko co każą...

I nadomiar wszystkiego, on, ten biedak, ten nędzarz, któremu nauka z tak wielkim trudem przychodzi, uczy jeszcze inne dzieci, dzieci takich samych jak on biedaków, byle za zdobyte w ten sposób dziesiątki módz nabyć sobie kajety i książki...

Przestał mówić na chwilę profesor i odpocząwszy nieco, ciągnął dalej:

— A teraz muszę ci powiedzieć, skąd go znam i dlaczego tak interesuję się nim... Rok temu prawie przyniósł mi z reperacji obuwie chłopiec brudny, zasmolony, obdarty... Służąca wprowadziła go do gabinetu, a on stanął tu jak wryty, z szeroko rozwartemi ustami, wpatrując się w szafę z książkami.

— Czegóż się tak przyglądasz?... — spytałem go. — Ojej, tyle książek... jakbym ja chciał je wszystkie przeczytać...

— A czy umiesz czytać?... — Umiem... A chcesz się uczyć?... — Ojoj, — i oczy zabłysły mu żywiej... Wziąłem go na egzamin, nie odstręczony zgoła dość niesympatyczną powierzchownością jego. Nie znalazłem w nim nadzwyczajnych zdolności, lecz za to olbrzymią chęć do nauki i upór w pokonywaniu trudności. Zająłem się nim, przygotowałem do gimnazjum i umieściłem w pierwszej klasie... Oto masz prawdziwą historję Pawełka Kuleszy, tego mruka i potworka, jak go nazywasz Opowiedziałem ci ją dlatego, iż uważam cię za chłopca o tyle rozsądnego, że będziesz umiał wyciągnąć z tego pewną naukę i że zaniechasz swych prześladowań względem niego... Ufam też, że zachowasz to wszystko w tajemnicy...

Jurek, w czasie opowiadań profesora, mienił się na twarzy, to płonąc, to blednąc, aż gdy on skończył, rzekł:

— Panie profesorze... ja bardzo żałuję tego, co zrobiłem... Ja Kuleszę przeproszę, i odtąd będę z nim w przyjaźni...

— Widzisz, chłopcze, sam teraz przyznajesz, żeś źle zrobił... Przekonałem cię też, w jak ciężkich warunkach wiedzę zdobywać muszą koledzy twoi, którym los nie dał tak zamożnych rodziców, jak twoi... Naucz się ich szanować, wyzbądź się niechęci do nich... Pamiętaj, że to są bracia twoi, z którymi los nieraz jeszcze pracować ci każe, dla dobra ogółu...

Przyrzekł raz jeszcze Jurek zacnemu profesorowi poprawę i czemprędzej pobiegł do domu, gdzie mamusi wyspowiadał się szczerze ze wszystkiego.

Wysłuchała go ona, poczem rzekła:

— Zasłużona spotkała cię nauka, byś nie gardził uboższymi od ciebie... Musisz wynagrodzić Kuleszy wyrządzoną krzywdę, a sposób, w jaki to masz dokonać, powinien ci podyktować rozum...

A następnego dnia, rano, gdy zebrali się w klasie wszyscy, Jurek podszedł do Pawełka i podając mu rękę, rzekł:

— Przepraszam cię gorąco za mój zły i głupi postępek. Proszę cię, daruj mi go i zostań moim przyjacielem...

Kuleszy, na tak niespodzianą propozycję, zadrgały powieki i z oczu gradem popłynęły łzy... Wtedy Jurek objął go ramieniem za szyję i gorąco ucałował.

Zdumieni koledzy przyglądali się temu, poczem klaskać w dłonie zaczęli, wołając:

— Wiwat Szumski i Kulesza!... Niech żyją!...

Lecz gwar ten obudził czujność krążącego w pobliżu pana Woskobojnikowa... Skradając się ostrożnie, podsunął się do drzwi klasy i posłyszał wywoływane głośno nazwiska dwóch nowych przyjaciół.

Wpadł wtedy do klasy i głośno zawołał:

— Co to znaczy?... co to za hałas?...

Cisza w tej chwili zapanowała w klasie. Wszyscy czemprędzej zajęli miejsca, i rozkładać zaczęli na pultach książki i kajety, udając przygotowanie do lekcji.

Pan Woskobojnikow zmierzył ich piorunującym wzrokiem, poczem powtórzył zapytanie swoje... A gdy nie otrzymał na nie odpowiedzi, rzekł:

— Cała klasa za karę zostanie na godzinę w karcerze po lekcjach...

Jurkowi przykro się zrobiło, że z jego powodu koledzy niewinnie cierpieć będą. Wstał więc z miejsca i rzekł:

— Tom ja winien, panie nauczycielu, proszę, niech pan mnie ukarze...

A jednocześnie z nim zerwał się i Kulesza, powtarzając to samo.

Pan Woskobojnikow popatrzył na nich długo, poczem rzekł:

— Dobrze, wy dwaj zostaniecie dziś na dwie godziny karceru po lekcjach... resztę klasy zwalniam od kary...

Zostali też w kozie dwaj świeży przyjaciele, zawierając w niej jeszcze ściślejszy pakt przyjaźni.

Kulesza zwierzył się Jurkowi z swych dążeń i marzeń, a wynikiem tego było, iż Jurek zaprosił go, by codzień przychodził do niego celem wspólnego odrabiania lekcji.

VIII.

PIERWSZA TAJEMNICA.

Związek przyjaźni między Jurkiem a Pawełkiem Kuleszą zacieśniał się z każdym dniem niemal coraz więcej.

Jurek, poznawszy całą głębię pięknej duszy brzydkiego i zaniedbanego kolegi, pokochał go gorąco, z całym zapałem młodości i pragnął nigdy nie rozstawać się z nim.

To też początkowo odrabiali wspólnie lekcje, na które Pawełek przychodził z domu, po obiedzie, co na skutek prośby pani Szumskiej przemieniło się na przychodzenie Kuleszy wraz z Jurkiem na obiad do państwa Szumskich, poczem zabierali się razem do lekcji.

Lecz Pawełek, odrobiwszy je, żegnał się spiesznie, i dążył do domu, gdzie, jak się tłomaczył, miał pilne zajęcie...

Próżno nalegał na niego Jurek, ażeby pozostał z nim dłużej, ażeby pobawił się choć trochę... Na wszystkie prośby, odpowiadał krótko:

— Muszę!... — i zarzuciwszy tornister na plecy, spieszył do domu.

Nie mógł się też dowiedzieć od niego Jurek przez długi czas, co go tak nagliło do domu, aż wreszcie, dnia pewnego, w wielkim sekrecie, przyznał mu się Pawełek, że spieszy się do domu, ażeby uczyć dzieci...

— Zbierają się — mówił mu — u nas wieczorem różne dzieci z kamienicy... Syn stróża, praczki, stolarza i ja je, razem z braćmi swoimi, uczę czytać i pisać po polsku, oraz rachować... lecz, mój kochany, nie mów tego nikomu...

Spojrzał na niego ze zdziwieniem Jurek, poczem spytał:

— A dlaczego?..

— A dla tego, że nie wolno...

— Nie wolno uczyć?...

— Tak... policja surowo za to karze, i ojciec mój byłby ostro za to ukarany... Muszę więc robić to w wielkiej tajemnicy... Dzieciaki przychodzą niby dla zabawy z rodzeństwem mojem...

Zapadły dziwnie głęboko te słowa w duszę Jurka. Jakto?... więc uczyć nie wolno, i za to, że ktoś niesie światło wiedzy, czeka go surowa kara?...

Więc cóż mają robić ci, przed któremi wrota szkół są zamknięte?... gdzie mają się udać, ażeby zdobyć naukę, kiedy uczyć nie wolno?...

Mają żyć w ciemnocie... a przecież tatuś wyraźnie mu mówił, że ciemnota jest przyczyną wszystkiego złego... że ludzie ciemni skłonni są do różnych przestępstw i że cały kraj biedę swoją zawdzięcza li tylko ciemnocie!...

Zastanawiał się nad tem i powoli przychodził do przekonania, że strasznie złymi muszą być ludzie, którzy wzbraniają szerzenia oświaty wśród bliźnich...

Z podziwem też począł patrzeć na Pawełka, że nie uląkłszy się srogich kar, uczy biedne dzieci, szerzy wśród nich światło wiedzy...

I naraz oto zapragnął iść w ślady jego, uczyć tak, jak on, biedne dzieci, tak, jak on, szerzyć oświatę...

Z zamiarem swoim zwierzył się jemu, na co Pawełek odrzekł:

— Nie, ty nie możesz tego robić?...

— Dlaczego?...

— Dla tego, że możesz łatwo wpaść!...

— Jakto?...

— A tak... Do nas na rewizję nie zajdzie tak prędko pan Woskobojnikow lub inny, bo cóż on znaleźć może w ubo-

giej suterynie szewca... Zawala najwyżej piękne ubranie i koniec... Na mnie też mniejszą zwracają uwagę, gdyż że biedacy zbierają się u biedaków, to nic dziwnego nawet dla policji... Ale inaczej z tobą... Do ciebie, jako do syna bogatego kupca, z łatwością mogą przyjść nauczyciele na rewizję, a co wtedy powiedzą, gdy zastaną gromadkę dzieci biedaków?... Napewno nie uwierzą, że przyszły one na zabawę do ciebie lub siostrzyczki twojej... Według ich przekonania bowiem, dzieci bogate nie powinny bawić się z dziećmi biedaków... Zwróci to ich uwagę i narazi ciebie i rodziców twoich na wiele nieprzyjemności...

Musiał mu przyznać słuszność Jurek, lecz nie wyrzekł się swej myśli.

— To ja będę przychodził do ciebie — rzekł — i razem z tobą je uczyć...

— I to niemożebne, gdyż częsta twa bytność u mnie zwróci uwagę i wszystko popsuje...

Zasmucił się tem wszystkiem Jurek i po długim namyśle zdecydował się zwierzyć mamusi ze swego kłopotu.

Wysłuchała go ona, poczem spytała:

— A czego ty chcesz ich uczyć?...

— Wszystkiego — odrzekł Jurek z zapałem...

Uśmiechnęła się na to określenie pani Szumska i rzekła:

— No, to trochę za dużo... Z łaciny i geometrji niewielką by na razie mieli korzyść... Musisz więc poprzestać na trochę szczuplejszym zakresie nauki...

— A więc czego mam ich uczyć?... — spytał znów Jurek.

— Sądzę, że wystarczy, gdy będziesz ich uczyć czytać i pisać po polsku i rachować... A teraz, powiedz mi, czy czujesz się dostatecznie na siłach, ażeby uczyć dzieci?... czy wystarczy ci cierpliwości do tego?...

Zawahał się Jurek, poczem rzekł:

— A Pawełek uczy!...

— Pawełek jest w innych warunkach... Sam usilną pracą i cierpliwością zdobywa wiedzę, ma też te zalety dla nauczania innych... Lecz spróbuj... Czy jednak znasz dostatecznie język polski, ażeby nauczać go innych?...

Tu znów wahanie odbiło się na twarzy Jurka. Odczuwał dobrze niedostateczność nauki, udzielanej mu przez pana Marzyńskiego w gimnazjum, według podręczników rosyjskich.

Spostrzegła to pani Szumska i rzekła z uśmiechem:

— Widzisz, mój kochany, że sam rozumiesz niedostateczność przygotowania swego... Muszę ci zwierzyć się z jednego projektu, jaki ułożyliśmy razem z ojcem twoim... Oto mieliśmy zamiar za jakiś rok, gdy już łatwiej ci będzie z nauką, przyjąć specjalnego nauczyciela do języka polskiego, który by cię kształcił w mowie ojczystej... Lecz możeby to uskutecznić teraz...

— Oj... mamusiu... mamusiu — zawołał uradowany Jurek — zróbcie to teraz... proszę was bardzo... Ale i Pawełek musi się uczyć ze mną... Chodźmy zaraz do tatusia poprosić go o to...

Poszli zaraz do gabinetu pana Szumskiego, który wysłuchawszy prośby Jurka, zgodził się na nią jaknajchętniej, obiecując zająć się zaraz wyszukaniem odpowiedniego nauczyciela.

Zwierzył się z tego Jurek Pawełkowi i spytał go, czy zgadza się pobierać z nim razem lekcje polskiego języka... Zabłysnęły radością oczy Pawełka i natychmiast przystał na tą propozycję.

I oto w dwa dni później w pokoiku Jurka zasiedli do lekcji. Nauczyciel, młody, pełen zapału student uniwersytetu, pan Tadeusz Hołownia, zjednał sobie odrazu serca obydwóch uczniów...

Barwny, zajmujący wykład jego, tak zupełnie różny od wykładu pana Marzyńskiego, zachwycił ich i porwał.

Zaraz na pierwszej lekcji, gdy wyjaśniał im znaczenie języka ojczystego, potrzebę dokładnego nauczenia się go i zrozumienia, słuchali go z nieustającą uwagą, a gdy skończył, Jurek zawołał:

— Ot, żeby nam tak wykładał pan Marzyński... to byśmy go słuchali... to byśmy się uczyli...

— Pan Marzyński — odrzekł mu z powagą pan Hołownia — czyni wszystko, co tylko może, ażeby was nauczyć języka polskiego... Lecz cóż on może zrobić, gdy spętany jest strasznemi warunkami szkolnemi... Człowiek to prawdziwej i głębokiej wiedzy, lecz dzięki właśnie tym warunkom, pozbawiony jest możności udzielania tej wiedzy innym... Gdy będziecie starsi, przeczytacie niektóre z prac jego naukowych, a wtedy zrozumiecie i ocenicie dostatecznie całą głębię duchową jego... cały rozum jego, zmuszony pracować w tak fatalnych warunkach... Jest to człowiek, zasługujący na najgłębszy szacunek i poważanie ze strony uczniów swoich...

Słowa te zapadły głęboko w dusze chłopców, którzy inaczej patrzeć poczęli na lekceważonego przez wszystkich profesora języka polskiego. Staranniej też odrabiali lekcje jego, a zachowaniem się swojem i odpowiedziami, jednali sobie nieraz słaby błysk wdzięczności wybladłych, zmęczonych jego oczu...

Lekcje z panem Hołownią odbywały się z zachowaniem wszelkich ostrożności, na wypadek niespodziewanej wizyty którego z profesorów... Na stole leżały porozkładane podręczniki szkolne, ażeby dawały pozór przygotowywania lekcji pod kierunkiem korepetytora.

Raz właśnie zaszedł ich na takiej lekcji pan Woskobojnikow, lecz nie zauważył nic zdrożnego. Obydwaj chłopcy, pod kierunkiem pana Hołowni, powtarzali z zacięciem gramatykę rosyjską, a książki polskiej nie było nawet śladu...

Zdołała je wynieść na głos dzwonka do dalszych pokojów pani Szumska.

Pedagog, wszedłszy do pokoju Jurka, rozejrzał cię bacznie wokoło, jakby węsząc coś podejrzanego, potem zadawszy kilka pytań Jurkowi i Pawełkowi, zabrał się do przeglądania bibljoteczki Jurka...

Całej tej procedurze przyglądał się w milczeniu pan Hołownia, którego wyszarzany mundur i spokojna, poważna mina nie spodobały się zbytnio panu Woskobojnikowi.

Zadał mu parę pytań, na które otrzymał obojętne, krótkie odpowiedzi.

Zaproszony następnie do gabinetu przez pana Szumskiego i poczęstowany przez niego cygarem, po paru ogólnikowych zdaniach, rzekł wreszcie:

— Szkoda, że pan, zamierzając przyjąć dla syna korepetytora, nie zwrócił się do nas... Polecilibyśmy mu ludzi zdolnych, prawdziwych rosjan, którzyby synowi pana wyrobili dobry akcent, na którym bardzo szwankuje... A ten tam, student, wątpię nawet, czy akcent taki posiada...

Zmięszał się, posłyszawszy to pan Szumski, lecz po chwili, nadrabiając miną, rzekł:

— Pan Hołownia, zdaje się, jest dobrym korepetytorem... Polecił mi go prof. Bazylenko z uniwersytetu, jako jednego z najzdolniejszych studentów i korepetytorów...

Wobec powagi rekomendacji profesora uniwersytetu, musiał ustąpić pan Woskobojnikow, schylił też tylko głowę i odrzekł:

— No tak... ale... ale jemu coś nieprawomyślnego z oczu wygląda...

Po jakimś czasie wyszedł, chowając do kieszonki w kamizelce banknot dziesięciorublowy, wsunięty mu przy pożegnaniu przez pana Szumskiego...

Lekcje języka polskiego na czas pewien uratowane zostały...

Lecz to nie zaspokoiło jeszcze w zupełności Jurka, który za wszelką cenę pragnął oddać się nauce biednych dzieci...

Nie mogąc uskuteczniać tego w domu, zaczął prowadzić ciche narady z Pawełkiem, poczem rozglądać się po kamienicy...

A był to dom wielki, w śródmieściu położony, zamieszkały od frontu przez ludzi zamożnych, zajmujących obszerne lokale. Za to w oficynach, suterynach i na poddaszu, mieszkali ludzie ubodzy, ciężko pracujący na chleb powszedni...

Otóż z jedną z takich lokatorek, panią Marcinową, wdową, właścicielką magli wiedeńskich, zajmującą w suterynie dużą izbę na magle, z mniejszą na mieszkanie, a przytem matką dwóch chłopaków, urwisów, jedenastoletniego i ośmioletniego, oraz dziesięcioletniej córki, dzień cały spędzających na łobuzerce, zawarł cichy pakt...

Oto zobowiązał się uczyć zupełnie bezinteresownie jej dzieci, pod warunkiem, iż w wielkiej tajemnicy udzieli swej izdebki na godzinę wieczorem, by dla nauki mogły się tam zbierać i inne dzieci z tegoż domu.

W ten sposób zebrał ośmioro dzieci, które w głębokiej tajemnicy codziennie ćwiczył w twardej nauce czytania i pisania...

Strasznie ciężka i trudna to była praca, zwłaszcza, iż uczniowie jego i uczennice nie odznaczali się zbytnią pojętnością...

Pracował też nad nimi, wbijając w ich głowy tajemnice abecadła, oraz wielkiej sztuki pisania.

Codzień wieczorem przemykał się kuchennemi schodami do suteryny, gdzie w małej izdebce, za maglem, przy drzwiach szczelnie zamkniętych, oczekiwali na niego uczniowie i uczennice.

Sedząc na małych stołeczkach lub też wprost na podłodze, powtarzali sobie w skupieniu lekcje, oczekując nadejścia „panicza z góry“, jak go nazywano.

A on wsuwał się ostrożnie, cichym głosem zadawał pytania, słuchał lekcji i objaśniał następną... A mali uczniowie słuchali go z taką uwagą i skupieniem, że zdawało się, iż pochłoną go szeroko rozwartemi oczętami.

Słuchali go też uważnie i przykładali się do nauki z wielką pilnością, wywodząc w kajetach laski, kółka, a następnie litery...

Przytem zachowywali tak ścisłą tajemnicę, że nikt od nich nic dowiedzieć się nie mógł o tem, co robią u Marcinowej...

Przemykały się ostrożnie dzieciaki, tuląc do piersi, pod bluzkami, kajety i książeczki.

I Jurek trzymał to w wielkiej tajemnicy, nawet przed Pawełkiem. Wtajemniczoną w sekret była tylko mamusia, i choć zrazu tłomaczyła mu, ażeby się nie męczył, choć serce jej ściskała obawa, że się naraża na wielkie niebezpieczeństwo, ustąpić musiała naleganiom i prośbom jego, zwłaszcza, iż widziała zapał jego, z jakim brał się do tej nauki...

Tajemnica nawet zachowaną była przed tatusiem, zwłaszcza z obawy, iż mógł by zabronić mu tego...

Pracował tak Jurek, ciesząc się zawczasu miną, jaką zrobi Pawełek, gdy zaprosi go na egzamin...

Zbierał też skrzętnie pieniądze, ofiarowywane mu przez ojca, ażeby pupilom swoim kupić nagrody w postaci książeczek i kajetów...

Tak minęły trzy miesiące... trzy miesiące wytężonej pracy zarówno w gimnazjum, jak i w domu... trzy miesiące wiecznego lęku, że tajemnica nauczania dzieci, karana tak surowo przez władze rosyjskie, wydaną zostanie... lecz zarazem i trzy miesiące radości tajemnej, że jest pożytecznym, że pracą swą przynosi korzyść społeczeństwu...

Aż wreszcie uznał Jurek, że nadszedł czas, iż może Pawełkowi zdradzić tajemnicę swoją, że może go zaprosić na

egzamin, by popisać się przed nim postępami uczniów swoich z suteryny.

Wybrał na to dzień poniedziałkowy w przeddzień święta galowego, kiedy to więcej czasu jest do przygotowania lekcji, a zarazem kiedy w maglu pani Marcinowej niema prawie że wcale klijentów.

Po ukończeniu lekcji z panem Hołownią, rzekł do Kuleszy:

— Pawełku... proszę cię, zostań ze mną na pół godzinki... mam ci wyjaśnić pewną tajemnicę...

A gdy Kulesza spojrzał na niego ze zdziwieniem, dodał:

— Tylko się nie przerażaj... musisz ze mną wyjść na chwilę...

I porwawszy z szafki paczkę, starannie w papier zawiniętą, poprowadził go schodami kuchennemi na dół, do suteryny, gdzie wemknęli się do izdebki pani Marcinowej... Czekały już tam na nich dzieci, o minach nader uroczystych, gdyż w przeddzień jeszcze Jurek zapowiedział im, że odbędzie się egzamin, na którym dostaną nagrody...

Pawełek ze zdumieniem przyglądał się temu wszystkiemu, nie mogąc jeszcze zrozumieć znaczenia tych zaprosin.

Dopiero, gdy Jurek, zasiadłszy z powagą na krześle, rzekł:

— Antoś, proszę czytać!...

I gdy Antoś, ledwie dostający głowiną do stołu, sylabizować zaczął na elementarzu, zrozumiał wszystko.

Nic nie mówił i tylko uścisnął ze łzami w oczach rękę Jurka.

A za Antosiem popisywały się czytaniem inne dzieci, opowiadały to, co przeczytały, pisały, rachowały, a wszystko z wielkiem przejęciem i zrozumieniem.

Z podziwem słuchał Pawełek wyników pracy Jurka, a gdy tenże spytał go:

— Które, zdaniem twojem, zasługuje na nagrodę? — odrzekł:

— Wszystkie umieją bardzo dobrze... wszystkie powinny dostać nagrodę...

I tak się stało...

Po wysłuchaniu wszystkich, Jurek rozwinął paczkę, przyniesioną z sobą i każde z dzieciaków obdarował książeczkami i kajetami, budząc tem wśród nich olbrzymią radość.

Pani Marcinowa, skrzyżowawszy ręce na piersiach, kiwała tylko głową, patrząc na to wszystko, wreszcie rzekła:

— O mój Jezusieńku... jakiż ten paniczyk dobry... mało to, że się namorduje codzień z tą dzieciarnią, to jeszcze im książki i kajety kupuje. A podziękujcież że, paniczkowi, ciemięgi...

Zaczęły mu dzieciaki dziękować, cisnąć się do niego, a on, rzuciwszy tylko krótko:

— A pamiętajcie tylko na jutro nauczyć się lekcji — wymknął się zaraz z Pawełkiem...

Znalazłszy się się w swoim pokoiku, spytał go z błyszczącymi oczyma:

— No, jak ci się podoba moja tajemnica?...

A Pawełek zamiast odpowiedzi, objął go ramieniem za szyję i rzekł:

— Jakiś ty dobry!... jakiś ty dobry!...

Na to Jurek odrzekł mu z powagą:

— To ty jesteś dobry, a ja tylko staram się naśladować ciebie...

Do późna w nocy przesiedzieli obydwaj przyjaciele, związani wspólną tajemnicą, gwarząc o tem, jakby to dobrze było, gdyby wszyscy koledzy poszli w ich ślady i zajęli się nauczaniem biednych dzieci...

— Nie byłoby wtedy ciemnych i złych ludzi — zaopiniował Pawełek.

IX.

SPRZYSIĘŻENIE PIĘCIU.

Rok szkolny przy ciągłej pracy, minął, jak błyskawica...

Przyzwyczaiwszy się już do porządków gimnazjalnych, a zwłaszcza do koniecznego zachowania ostrożności, Jurek, należący do liczby lepszych uczniów, otrzymał promocję do drugiej klasy... Wraz z nim przeszli i Pawełek, i Wiadrowski i cały szereg kolegów.

Wakacje zbiegły mu bardzo przyjemnie na wsi, zwłaszcza, że był z nim Pawełek, którego specjalnie zaprosiła tam pani Szumska, na prośbę Jurka.

Dnie całe spędzali w polu lub w lesie, na gonitwach i zabawach, lub też na czytaniu książek.

Wzięli ich z sobą zapas spory, zgodnie z wskazówkami pana Hołowni i rozłożywszy się wygodnie w cieniu drzew, czytali z zajęciem, zdobywając coraz to nowy zasób wiedzy, jakiej im gimnazjum dać nie mogło.

Poznawali z nich dzieje Polski, które z gimnazjum stanowczo wygnane były, poznawali też i przepiękne utwory wieszczów naszych, krzepiące ducha, zachęcające do wytrwania i budzące nadzieję...

Zaprzyjaźnili się też z starym panem Wojciechem Turskim, ogrodnikiem willi, w której zwykle pani Szumska lato spędzała, i ten im, w przepiękne wieczory letnie, opowiadał przygody swoje, gdy pod Czachowskim walczył o wolność Polski...

Szeptem, pocichu, ostrożnie, by nie dosłyszało ich czyje niepotrzebne ucho, opowiadał im o bohaterskich zapasach, o walkach garści straceńców z przemocą moskiewską, o rozbudzonych nadziejach narodu, zatopionych w potokach krwi...

O mękach, jakie przecierpiał naród cały, o tysiącznych ofiarach...

A oni słuchali go z płonącym wzrokiem, z zapartym w piersi oddechem, drżąc nieraz ze zgrozy, gdy opowiadał im, jaką straszliwą walkę, lub też mękę czyją...

I słuchając go, w głębi duszy ślubowali, że i oni pójdą w ślady tych, którzy zginęli, że tak, jak oni bronić będą świętej Ojczyzny..

W dziecinnych jeszcze duszyczkach ich wyrabiało się jakieś dziwne poczucie hartu i obowiązku względem tej ziemi, tak ubogiej, tak prześladowanej, a jednak tak umiłowanej...

Ślubowali też sobie uroczyście w cieniu drzew leśnych, że wszystko dla niej poświęcą, i że będą tylko pracować dla dobra Ojczyzny.

— Ja zostanę nauczycielem — zdecydował pewnego razu Pawełek — niech tylko ukończę gimnazjum...

— Lecz gdzież będziesz uczyć? — spytał go Jurek — wszak widzisz, jak to w naszem gimnazjum mało jest Polaków, a przytem jak są traktowani...

— To też ja nie będę uczyć w gimnazjum — odrzekł mu Pawełek — tylko pojadę na wieś... Będę w wiejskiej szkółce uczyć chłopów, ażeby tak ciemni nie byli, jak są teraz...

— To i ja zostanę nauczycielem — po jakimś czasie orzekł Jurek — osiądziemy w sąsiednich wioskach, tak, że będziemy mogli z sobą częściej się widywać...

Uśmiechnął się na to Kulesza.

— Ty zostaniesz kupcem lub fabrykantem — odpowiedział — boś bogaty... Na to ci rodzice nie pozwolą... inna przed tobą otwiera się droga, niż przedemną, biedakiem...

Lecz Jurek zapewniał go uroczyście, iż tak rodziców prosić będzie, że będą musieli się zgodzić na prośbę jego...

Tak im czas schodził na gawędach i rojeniach, że nawet nie spostrzegli się, kiedy skończyły się wakacje i znów musieli wracać do dusznych murów gimnazjalnych.

Wracali niechętnie... Żal im było porzucać zielone łąki i lasy, w których im tyle chwil błogich upłynęło... Z westchnieniem opuszczali wieś, by wrócić na ławy szkolne.

Jako poważni drugoklasiści, z lekceważeniem spoglądający na wstępniaków, zajęli swe miejsca, by dalej zgłębiać tajniki wiedzy, wtłaczane w ich głowy przez pedagogów.

W gimnazjum zastali pewne zmiany. Mianowicie ustąpiło paru profesorów klas wyższych, niestety, Polaków, a miejsca ich zajęli specjalnie sprowadzeni przez dyrektora z głębin Rosji nauczyciele...

Już teraz nie widniały na korytarzu gimnazjalnym poważne, milczące postacie profesorów, pobłażliwie patrzących na figle uczniów, jakby dla tego, by jaknajrzadziej czynić im uwagi w języku urzędowym.

Natomiast zwiększyła się liczba panów Slepcowych, Woskobojnikowych, Kozłowskich i t. d., biegających na wszystkie strony, krzyczących, podsłuchujących, a przytem obdarzających uczniów przeróżnemi iście rosyjskiemi epitetami.

Zwiększyła się też w gimnazjum liczba uczniów rosjan, spełniających z powodzeniem wobec kolegów funkcje szpiegowskie.

To też nie było nigdy jeszcze tak znacznej liczby karanych za rozmawianie w języku polskim.

Jurek Szumski znalazł się w jednej ławce z Pawełkiem Kuleszą, Wiadrowskim i nowym kolegą, świeżo przyjętym do gimnazjum z jednego z gimnazji prowincjonalnych, Michałem Kańskim.

Był to chłopiec trzynastoletni, wysoki, barczysty, blondyn, o rozumnym wyrazie twarzy. Ojciec jego był nauczycielem w owem gimnazjum na prowincji, gdy zaś umarł, matka, mając rodzinę w Warszawie, przeniosła się do stolicy, aby tam dalsze wykształcenie jedynaka prowadzić.

Związani węzłami przyjaźni trzej chłopcy, zaraz z początku zauważyli, iż był on znakomicie przygotowany zaw-

sze do wszystkich lekcji, i że wytrwale dążył do tego, ażeby zająć w klasie pierwsze miejsce, o które walczył zacięcie z Mojżeszem Goldmanem, do czasu tego zajmującym to stanowisko.

Spokojny, cichy, trzymał się trochę zdala od wszystkich kolegów, tak, że niewiadomo było, do której grupy go zaliczyć, czy do kowali, czy do obojętnych.

Lizusem nie był, gdyż nigdy żadnej skargi na kolegów nie składał, ani też starał się zdobyć względy profesorów.

Jurek i przyjaciele jego zwracali się do niego dość ostrożnie zrazu, gdy jednak parokrotnie oddał im drobne przysługi, gdy objaśnił parę razy trudniejsze lekcje, powoli zaprzyjaźniać się z sobą zaczęli.

A następujący wypadek przyjaźń tę utrwalił.

Do Pawełka Kuleszy szczególną nieprzyjaźnią zapałał nowy gospodarz klasowy, jeden ze świeżo przybyłych nauczycieli, Teofan Moisiejewicz Sokołow. Wykładał on historję, przyczem wymagał, ażeby uczniowie umieli jak pacierz imiona wszystkich książąt rosyjskich, daty ich urodzin, wstąpienia na tron, śmierci, oraz ważniejszych wypadków, jakie za ich panowania zaszły.

W labiryncie tych przeróżnych Swiatosławów Izasławowiczów, Izasławów Swiatopołkowiczów, Wasilich i Iwanów, oraz przeróżnych dat, biedny Pawełek, nie posiadający zbyt świetnej pamięci, gubił się zupełnie.

A tu, jak na złość, pan Sokołow zasypywał go gradem pytań na wyrywki, nie pozwalając nawet zebrać myśli, uklasyfikować jakoś tych kniaziów i wypadków z nimi związanych.

Pienił się wtedy zacny pedagog, zwłaszcza gdy poplątał jakiego Swiatosława z Swiatopełkiem, lub gdy bohaterskie czyny jednego przypisał drugiemu.

— Ty bałwanie — wołał — jak ty śmiesz nie umieć historji ojczystej... jak ty możesz nawet nie uczyć się na pamięć, jak pacierza, wszystkiego, co do niej się odnosi... Powi-

nieneś nawet umieć tak, żebyś obudzony ze snu mógł wszystko mówić...

I stawiał mu pałkę, a nieszczęsny Pawełek, ze łzami w oczach wracał na miejsce i zatapiał się w podręczniku Iłowajskiego, starając się go nauczyć na pamięć.

Nie szło mu jednak jakoś...

Aż wreszcie, gdy już druga pałka z historji przyozdobiła dziennik przy nazwisku jego, Kański, będący jednym z lepszych uczniów z historji, zwrócił się do niego:

— Pozwól, mój kochany, że ci pomogę... Możebyś mógł przyjść dziś po lekcjach do mnie, a objaśnię ci system, przy pomocy którego z łatwością będziesz mógł spamiętać to wszystko i nauczyć się historji.

Z wdzięcznością przyjął propozycję jego Pawełek i tegoż jeszcze dnia drapał się na czwarte piętro wielkiej kamienicy przy jednej z bocznych ulic, gdzie małe mieszkanko, z pokoiku i kuchenki złożone, zajmowała pani Kańska z synem.

Przywitała go nader uprzejmie, poczem zasiadł z Michałkiem do pracy. Objaśniał mu on historję w sposób łatwy, przystępny, przyczem to wszystko, czego nie mógł zrozumieć z wykładu pana Sokołowa, stało mu się odrazu zrozumiałem...

Imiona książąt i daty, ułożone w pewnym porządku, z łatwością wrażały się w pamięć.

Posiadłszy te wszystkie tajniki nauki Iłowajskiego, Pawełek z wdzięcznością uścisnął dłoń Michałka.

— Jakiś ty szczęśliwy — westchnął z odcieniem zazdrości — że nauka ci tak łatwo przychodzi.... Musiałeś mieć dobrego korepetytora...

Roześmiał się na te słowa jego Michałek i podbiegłszy do matki, zarzucił ręce na jej szyję i tuląc głowę do jej piersi, rzekł:

— Oto mój korepetytor, któremu całą wiedzę moją zawdzięczam...

Pani Kańska, młoda jeszcze kobieta, w ciemne, wdowie suknie ubrana, roześmiała sę wesoło i serdecznie ucałowała twarz syna. A on ciągnął dalej:

— To jest mój najlepszy korepetytor... ta mateczka moja ukochana... Z nią przechodziłem całe nauki, od samego początku, jeszcze w gimnazjum w X. Biedactwo moje... gdy tatuś umarł, zabrała się do pracy nademną sama... Nie umiała ani słowa po rosyjsku, ażeby więc módz pomagać mi w lekcjach, zaczęła go się uczyć i w niedługim czasie posiadła tak, że z łatwością mogła wszystkie lekcje ze mną przechodzić... Biedactwo moje... ile to nocy nie spało, byle tylko jej Michałek lekcje umiał... byle pałki nie dostał... O, tego nigdy jej nie zapomnę... tej mojej mateczce... Chyba lepszej i mądrzejszej niema na świecie...

I tulił się do matki, patrzącej na niego rozpromienionym wzrokiem.

Pawełkowi na ten widok łzy zabłysły w oczach... Dla czego matka jego nie była taką. Zbyt prostą ona była, za mało inteligentną, by mogła z synem lekcje przechodzić... Musiał sam iść przez życie, przebojem zdobywać sobie wiedzę, która mu z takim trudem przychodziła...

A pani Kańska, patrząc na niego z miłym uśmiechem, jakby odczuwała myśli jego. Rzekła też:

— Jakby kawalerowi jaki przedmiot był trudny, lub lekcja niezrozumiała, proszę przychodzić do nas śmiało... Postaramy się razem jakoś te trudności pokonać...

Wzruszony Pawełek podziękował jej gorąco i wyszedł, postanawiając w głębi duszy wyznać wszystko Jurkowi i za zgodą jego dopuścić Michałka do wspólnej ich tajemnicy...

Następnego zaraz dnia, po odbyciu lekcji języka polskiego z panem Hołownią, Pawełek pozostał dłużej i szczegółowo opowiedział wszystko Jurkowi co do Michałka.

— Wiesz co — zakończył — że ja uważam, że jego

możemy dopuścić do naszej tajemnicy, że jego możemy wciągnąć do naszej pracy nauczania biednych dzieci...

Zawahał się Jurek, nie wiedząc zrazu, co ma mu odpowiedzieć, wreszcie rzekł:

— Tak, widzisz, ale co na to powie jego mamusia?... czy ona mu pozwoli?...

— To też ja myślę, że trzeba mu powiedzieć o wszystkiem w sekrecie wielkim, pod przysięgą, że nic nikomu nie powie... Niech się potem spyta mamusi swojej i zrobi tak, jak ona mu doradzi... A jestem pewien, że mu ona pozwoli, gdyż musi być bardzo dobra...

Zamyślił się Jurek na chwilę, poczem mówić zaczął:

— Muszę ci jedną rzecz powiedzieć, o której już oddawna myślałem... A mianowicie, cóż my dwaj zrobić możemy?... Nauczymy kilkanaścioro dzieci czytać i pisać, ot i wszystko... Ale żeby takich jak my wielu było... żeby sobie poprzysięgli uczyć biedne dzieci i robić dobrze dla Ojczyzny, to by dopiero można było coś zrobić...

— I cóż umyśliłeś?... — spytał go z zaciekawieniem Pawełek.

— Czyby nie było dobrze, gdybyśmy wtajemniczyli w naszą pracę paru zaufanych kolegów i z nimi razem pracę tę prowadzili... W ten sposób zatoczyłaby ona szersze kręgi, a z czasem objęłaby Polskę całą...

Słuchał Pawełek tych słów, z całą powagą wygłoszonych przez Jurka, który wyczytał je w jakiejś książce i teraz z dumą powtarzał...

Namyślał się nad niemi, poczem rzekł:

— Było by to bardzo dobrze, lecz kogo byś ty proponował?...

— Narazie ja bym wtajemniczył Wiadrowskiego, ty Kańskiego... Późniejbyśmy zaś dobierali sobie tych, którzy na największe zaufanie zasługiwać będą...

— To będzie zupełnie tak, jak w powstanie, jak opowiadał nam pan Turski — rzekł Pawełek...

— I jak Filareci, o których mówił nam pan Hołownia — dodał Jurek.

Zgodzili się zatem na jedno i postanowili czemprędzej zabrać się do czynu. Omówili z sobą jeszcze cały ceremonjał, ułożyli rotę przysięgi, jaką nowi spiskowcy złożyć mieli i postanowili zaprosić ich na najbliższą niedzielę...

Przez te parę dni, które od niedzieli ich dzieliły, chodzili poważni, skupieni, jakby przytłoczeni tajemnicą swoją. W sobotę Jurek zaprosił z miną uroczystą do siebie na niedzielę Kańskiego i Wiadrowskiego, na godzinę czwartą po południu.

— Moi drodzy — prosił — przyjdźcie koniecznie. Będzie Kulesza, porozmawiamy sobie... Mam wam coś ważnego zakomunikować...

— No, cóż takiego?... — spytał z uśmiechem Wiadrowski.

— Dowiecie się jutro — rzekł z poważną miną Jurek.

Przyobiecali mu obydwaj, i Jurek i Kulesza udali się razem, by omówić ostatecznie resztę ceremonjału.

Następnego dnia, Jurek ne mógł się doczekać nadejścia kolegów. Wymówił się od spaceru z rodzicami, i przygotowawszy wszystko czekał.

Na środku stołu postawił krucyfiks srebrny, przyniesiony z pokoju rodziców, a przy nim dwie świece w lichtarzach, jako niezbędne, zdaniem jego, przy składaniu przysięgi.

Nareszcie rozległ się dzwonek w przedpokoju. Pobiegł sam otworzyć i z radością przywitał pierwszego Wiadrowskiego. Wprowadził go do swego pokoju, a tenże, zobaczywszy przygotowania, spytał:

— Co to ma być?... powiedz mi, co to za tajemnica, o której masz nam mówić, gdyż powiem ci szczerze, iż myślałem o niej wczoraj długo bardzo...

— Dowiesz się później — odrzekł mu z powagą Jurek — niech tylko tamci przyjdą...

— A czy będziemy się w co bawić?... w gry jakie? — dopytywał się dalej Wiadrowski.

Ze zgorszoną miną spojrzał na niego Jurek, poczem rzekł z powagą:

— Nie, będziemy mówić o rzeczach bardzo poważnych...

Powaga ta jego udzieliła się i Wiadrowskiemu, który, już o nic nie pytając, zajął się przeglądaniem książek i albumów, leżących na stoliku.

Jurek coraz z niecierpliwością spoglądał na zegarek, nie mogąc doczekać się nadejścia Pawełka i Kańskiego. Wreszcie wybiła czwarta, i z ostatniem uderzeniem jej, rozległ się dzwonek przy drzwiach.

Jurek pobiegł otworzyć i po chwili wrócił, prowadząc Kuleszę, po którym w parę minut potem nadszedł Kański.

Z powagą wielką zasiedli przy stole, na którym stał krucyfiks, i po chwilowem milczeniu, Jurek pierwszy mówić zaczął:

— Kochani koledzy... Zaprosiliśmy was tutaj dziś, ażeby wyjaśnić wam jedną wielką, wspólną moją i Kuleszy tajemnicę i zaproponować, ażebyście, o ile chcecie, przyłączyli się do nas...

Zdziwienie po tym wstępie odbiło się na twarzach chłopców.

— Jakaż to tajemnica... Powiedz ją nam — nalegał Wiadrowski.

— Musicie przysiądz, że nikomu jej nie zdradzicie — rzekł Pawełek — czy zgadzacie się na to?...

Ciekawość błysnęła w oczach chłopców.

— Ależ zgadzamy się... zgadzamy... — zawołali jednocześnie.

Wtedy Jurek spuścił zasłonę w oknie, tak, że zrobiło się zupełnie ciemno, poczem zapalił świece na stole i ująwszy w rękę krucyfiks, rzekł:

— Wstańcie, połóżcie palec na krzyżu i powtarzajcie za mną...

Wiadrowski i Kański, przejęci uroczystym tonem głosu jego, byli posłuszni, a kiedy on mówić zaczął:

— Przysięgam na tą mękę Chrystusa Pana, iż nikomu, nawet rodzicom swoim a tembardziej w gimnazjum nie zdradzę tego, co tu słyszeć będę, a to pod utratą na zawsze czci i honoru... Tak mi dopomóż Bóg...

Powtórzyli tą napuszoną formułę przysięgi, a Jurek, stawiając krucyfiks na stole, rzekł:

— Siadajcie... Teraz wam Kulesza wyjaśni naszą tajemnicę...

Usiedli, i Pawełek mówić zaczął:

— Otóż widzicie, my dwaj, z Jurkiem, widząc, jak to w gimnazjum ci moskale prześladują język polski, postanowiliśmy uczyć się go razem... Uczymy się go od roku, a przytem i innych przedmiotów, a zwłaszcza historji Polski... Wiemy też dobrze, jak to moskale gnębią naszych, a zwłaszcza biedaków, nie dopuszczając do tego, by się wśród nich nauka szerzyła... Postanowiliśmy też w tajemnicy wielkiej uczyć biedne dzieci czytać, pisać i rachować... Lecz cóż my dwaj poradzić możemy... I oto zdecydowaliśmy się zawiązać stowarzyszenie tajemne, z pośród naszych kolegów, ażeby wspólnie zająć się uczeniem dzieci... Musimy robić to w wielkiej tajemnicy, gdyż wiecie, jak moskale za to surowo karzą... Więc chcemy wam zaproponować, czy chcecie należeć do naszego stowarzyszenia, któreby uczyło nietylko biedne dzieci, ale i samo się kształciło w tych naukach, których w gimnazjum nie uczą, i innych kolegów do siebie przyciągało...

Skończył Pawełek to długie, dość chaotyczne przemówienie, i zadyszany usiadł na miejscu...

Zaraz po nim zabrał głos Jurek, mówiąc:

— Do was mamy najwięcej zaufania, wiemy, że nas nie zdradzicie, i dla tego was pierwszych zapraszamy...

Chwilę trwało milczenie, poczem Kański rzekł:

— Ja jak najchętniej będę do was należeć, tylko zastrzegam się, że muszę wpierw poradzić się mamusi... Bez jej pozwolenia nic nie zrobię...

Wiadrowski namyślał się krócej, poczem zawołał:

— Mnie tam ojciec nie krępuję... mogę robić wszystko, co chcę, bylem tylko dobre stopnie w dzienniku przyniósł i dostał promocję... Należę do was i kwita... Powiedzcie tylko, co robić potrzeba...

Tu znów zabrał głos Jurek i mówić zaczął:

— Nie potrzeba robić nic więcej nad to, com już mówił... Będziemy się zbierać jaknajczęściej, i opowiadać o tem, cośmy przeczytali, dawać sobie wzajemnie książki do czytania, a następnie uczyć gdzie można dzieci... Uczyć po polsku, czytania, pisania i rachunków...

— Ojej, — rzekł Wiadrowski — to przecież nic trudnego... Ja mogę wam zaraz opowiedzieć o wspaniałej książce, którą czytam teraz, i to tak, żeby rodzice nie wiedzieli, bo wiem, żeby się gniewali... Wspaniała powieść jakiegoś tam p. Dumasa, a tytuł jej „Trzej muszkieterowie“... Mówię wam, co tam za cudowne rzeczy opisuje... co za walki, bitwy, a jakie przygody nadzwyczajne bohaterów takich, jak Athos, Porthos, Aramis i Artagnan... Jak przeczytam, to mogę któremu z was pożyczyć... A możebyśmy ją razem czytali?...

Słuchali go z pewnem zaciekawieniem, poczem Kański rzekł:

— Ja nie czytam książek, których mamusia mi nie pozwala czytać... Ona najlepiej wie, co ja mogę czytać...

Spojrzał na niego lekceważąco Wiadrowski, i mruknął przez zęby:

— Mamusi synek...

Kański zaczerwienił się... Zdawało się, że wybuchnie, co spostrzegłszy Jurek pospieszył załagodzić ten zatarg.

— Moi kochani, — rzekł — książek nie będziemy czytać takich, jakich nam rodzice nie pozwolą, tylko te, jakie nam poleci do czytania pan Hołownia... Zdaje się, że to będzie najlepiej... Zaraz jutro go poproszę, żeby nam je wybrał, i Michałek co do nich spyta się swojej mamusi...

— Phi, to pocóż cała ta tajemnica, — zauważył lekceważąco Wiadrowski...

Puszczono mimo uszu tą uwagę i zajęto się gorącą dysputą na temat książek przeczytanych...

Kański czytał ich dużo, opowiadał też treść ich z ożywieniem, a pozostali koledzy słuchali go z zajęciem...

Omawiano jeszcze niektóre szczegóły, poczem sprzysiężeni rozeszli się, postanawiając zebrać się za dni parę...

Kański, wróciwszy do domu, pospieszył zaraz zwierzyć się mateczce z tego, co postanowił z kolegami.

Opowiedział jej szczegółowo wszystko, a pani Kańska słuchała go z zajęciem. Gdy skończył, ciche westchnienie wyrwało się z jej piersi...

— No cóż, mateczko, cóż ty na to?... — spytał, ciekawy usłyszeć jej zdanie...

— Cóż, synku, — odrzekła mu — piękne to jest bardzo, lecz za młodzi jesteście, ażeby brać się do takiej pracy... Boję się tego właśnie najwięcej...

— Ależ, mamusiu, mam już przecież czternasty rok... Mógłbym już dawać korepetycje, a cóż dopiero uczyć czytania i pisania... Przecież Jurek jest młodszy odemnie, a Pawełek w równym ze mną wieku, a robią to już od roku...

— Dobrzy to być muszą chłopcy i rozumni, i szczerze rada jestem, żeś się z nimi poprzyjaźnił, — odrzekła mu matka — lecz boję ja się czego innego... Boję się, by was nie zawcześnie porwało to życie, które z musu prowadzić musimy, a które już niejednego do zguby doprowadziło...

— Mówiłaś mi, niedawno, mamusiu, — rzekł z powagą Michałek — że nic na świecie nie zdobywa się bez ofiar... I że najpierwszym obowiązkiem każdego człowieka jest praca dla dobra bliźnich... Dla czegóż więc i ja bym nie miał w ten sposób pracować?...

Mgła przesłoniła oczy pani Kańskiej... Nie wiedziała, co synowi na taki argument odpowiedzieć... Nie mogła przecież zbijać słów własnych, nie mogła im przeczyć.

Wpatrzyła się w przestrzeń, namyślając się nad odpowiedzią... Czuła, iż syna jej porywać zaczyna ten straszliwy prąd, który już niejedną pochłonął ofiarę, że ona ochronić go nie zdoła przed nim, i czy wcześniej, czy później pójdzie on za nim, tak jak wielu innych...

Czuła, że każde dziecię polskie, o ile tylko chce być człowiekiem, o ile tylko chce być polakiem, musi żyć w niezgodzie z istniejącymi prawami rządowemi, musi stać w opozycji względem nich...

I przed oczyma jej jawiły się widma najbliższych i najukochańszych istot, które ten straszny moloch porwał i pochłonął...

Wiedziała, iż i z Michałkiem to nastąpić musi, lecz nie spodziewała się, ażeby to nastąpiło tak prędko...

Nerwowym ruchem, jakby z lękiem jakimś, przygarnęła go do siebie, tuląc do piersi...

— Michałku, — rzekła — ty nie znasz wcale historji wuja swego, a brata mego, Tadeusza...

— Nie, mamusiu,—odrzekł Michałek—słyszałem o nim... słyszałem, jeszcze w X., jak płakałaś na nabożeństwie za niego, i mówiłaś, że nawet nie wiadomo, gdzie jest mogiła jego... Opowiedz mi o nim, mamusiu...

Pani Kańska usadziła go przy sobie na kanapce, i wpatrzona w przestrzeń, mówić zaczęła:

— Najstarszym bratem moim był właśnie wuj Tadeusz... Wysmukły, piękny, rozumny, cieszył się miłością wszystkich...

Kończył już gimnazjum, w którem był pierwszym uczniem, gdy społeczeństwo całe nowe zaczęły nurtować prądy... Głoszono hasła, budzono nadzieję, że dla Polski nowe nastąpi życie, że otrząśnie się z pęt ucisku i odzyska straconą wolność... Tadeusz z całym zapałem młodości rzucił się w ten wir, nie zważając na prośby rodziców...

Nie było sprawy, w której by nie brał udziału, nie było żadnego ważniejszego zapoczątkowania, żadnej pracy, do której by się nie rwał...

Pamiętam, jak dziś, gdy wracał z różnych posiedzeń, z różnych narad, rozpłomieniony, rozgorączkowany... Zapałem swoim porywał innych, był im przykładem, wzorem... I choć go ostrzegano, by miał się na baczności, by strzegł się przed czyhającem na niego niebezpieczeństwem, śmiał się z tego lekceważąco i odpowiadał:

— To nic... to dla Polski...

I w dalszym ciągu rzucał się w ten wir szalony, który, zdawało się, całą Polskę przewróci do góry nogami...

Aż wreszcie, pewnego dnia, dano nam znać, że został aresztowany. Trudno opisać rozpacz, jaka w domu całym zapanowała... Zdawało się, że jest zgubiony bez ratunku, bez nadziei, że nic go ocalić nie zdoła. Ojciec zaczął biegać na wszystkie strony, chcąc go uwolnić z więzienia, lecz szło to z trudem, gdyż moskale stawiali przeróżne zarzuty...

Skazano go wreszcie, skazano na zesłanie na Sybir... Niezapomnę nigdy tego dnia, gdy żegnaliśmy go, okutego w kajdany, otoczonego przez uzbrojonych żołnierzy, w szarej siermiędze, w chwili, gdy wyruszał w daleką drogę na wygnanie... Wychudł w więzieniu, wymizerniał, tylko oczy mu płonęły, jakimś gorączkowym blaskiem.

— Żegnajcie, — wołał do nas zdala, kiwając ręką — niech żyje Polska!... A żelaza kajdan brzęczały przytem przeraźliwie...

Chłopcy złożyli uroczystą przysięgę...

Minął czas pewien... W kraju ruch cały rósł, potężniał, mimo mnogich ofiar, wysyłanych na Sybir przez moskali... Padły wreszcie pierwsze ofiary na placu Zamkowym, a jakby to było hasłem jakimś, kraj cały w wyraźny sposób manifestować zaczął dążenia swe do wolności, pragnienie zerwania dławiących go pęt...

A Tadeusza nie było... Otrzymywaliśmy od niego od czasu do czasu krótkie wiadomości, że jest zdrów, że tęskni, aż wreszcie urwały się i one...

Tymczasem kraj cały szykował się do rozpaczliwej, zbrojnej walki o wolność swoją... Wybuchła ona wreszcie, a płomienie jej ogarnęły wszystkie strony.

Wtedy właśnie zjawił się Tadeusz... Zjawił się w nocy, wychudły, obdarty, wynędzniały... Z opowieści jego dowiedzieliśmy się, że uciekł z Sybiru, z wygnania, party do tego tęsknotą... Trudno zliczyć, przez ile przeszedł niebezpieczeństw, zanim się dostał do domu rodzinnego...

Cieszyliśmy się wszyscy z powrotu jego, choć jednocześnie lęk jakiś tajemny ściskał nam serce, że zdradzony, wpaść może znów w ręce siepaczy, a wtedy czekała go kara znacznie surowsza... Lecz on nie długo wytrwał w domu... Nie mógł wysiedzieć bezczynnie, gdy kraj cały objęty był walką, gdy bracia jego toczyli bój zacięty o wolność narodu.

Pewnej nocy, pomimo próśb i błagań matki i naszych zniknął z domu, poszedł połączyć się z tymi, co krew przelewali... Płacz u nas w domu był wielki, tylko jeden ojciec chodził po domu szarpiąc wąsa, i choć oczy jego łzami zachodziły, powtarzał:

— Tak był powinien... od tego jest polakiem!...

I od czasu tego nie widzieliśmy go więcej... Dochodziły do nas wieści, iż walczy w partji Różyckiego, aż wreszcie przybyła najstraszniejsza wieść, iż w jednej z utarczek ranny został, że ujęli go rosjanie i następnie na śmierć haniebną na szubienicy skazali...

Straszliwy dzień wtedy nastał w domu naszym... Matka padła ciężko chora, mało nie oszalała z bólu, ojciec zaś tylko chodził po pokoju, i mówił:

— Nowa ofiara, Panie... a kiedyż kres im nastanie?... kiedyż cofniesz swą dłoń karzącą?...

O, nie rozpaczał on, nie płakał, tylko od czasu tego siedział dniami całemi w fotelu nieruchomo, powtarzając:

— Boże, zmiłuj się nad nami!... Boże, zmiłuj się nad nami!...

Życie u nas uległo zupełnej zmianie... Pociemniało jakoś, poszarzało, straciło swą wartość...

Próżno jeździliśmy szukać mogiły jego... Pogrzebany został w bezimiennej mogile, przysypany wapnem, by nawet ślad za nim zaginął...

Tak zginął brat mój, a twój wuj, Tadeusz... I ty chcesz iść w ślady jego?... I ty zaczynasz tak, jak on?...

Michałek z zadumą słuchał słów matki... Oczy utkwił w przestrzeni, wreszcie rzekł cichym głosem:

— Tak, mamo... Pragnę tak, jak on pracować, pragnę żyć tylko dla dobra innych... A gdy przyjdzie zginąć, czyż śmierć jego nie była piękną?... Czyż ofiara nie była szczytną?... Zginął jak bohater...

Słysząc te jego słowa, p. Kańska nie mogła się od łez powstrzymać... Porwała go i przytuliła do piersi, mówiąc głosem od łez nabrzmiałym:

— A więc, synu, idź tą drogą, którą obrałeś sobie... Niech cię Bóg prowadzi... Ja, matka, błogosławię cię na nią...

Ucałował Michałek ręce matki, i zabrał się do uczenia lekcji.

Następnego dnia zaś zawiadomił Jurka i Pawełka, iż przystępuje do ich stowarzyszenia...

W ten sposób powstał związek czterech, którego członkowie zbierali się dwa, trzy razy w tygodniu u Jurka, zdawali relacje z czytanych książek, które wybierał im i wskazywał

p. Hołownia, oraz z tego co w zakresie nauczania biednych dzieci uczynili...

Niebawem jednak miał się on powiększyć jeszcze o jednego członka.

A stało się to tak:

Do klasy drugiej, w połowie roku wstąpił nowy uczeń, nazwiskiem Bazyli Głuszkiewicz... Mimo polskiego nazwiska, był on prawosławnym, przyczem władze gimnazjalne w szczególnie gorliwy sposób pilnowały, ażeby uczęszczał na lekcje religji „batiuszki“ Orłowa, który znów otaczał go specjalną opieką...

Ta opieka też odbiła się na nim dość wyraźnie, to też chodził on zwykle smutny, zadumany, jakby w jakichś rozmyślaniach pogrążony...

W samych początkach, zaraz po wstąpieniu, pozostał on na lekcji języka polskiego, lecz prof. Marzyński, dostrzegłszy go, spojrzał na niego pełnym przerażenia wzrokiem, i rzekł swym cichym głosem:

— Głuszkiewicz... tobie nie wolno być na lekcji... tyś ruski...

Na co wstał Głuszkiewicz, i spokojnym głosem, z naciskiem, odrzekł:

— Nie, panie profesorze, jestem polakiem i pragnę uczyć się po polsku...

Spojrzał na niego profesor Marzyński, i odrzekł:

— Nie, mój kochany, zapisany jesteś, jako prawosławny, a według przepisów nie wolno ci się uczyć po polsku... Proszę cię, wyjdź z klasy...

Ostatnie zdanie wymówił wprost prosząco, poczem dodał:

— Idź, poproś dyrektora, może on ci pozwoli... Ja nie mogę zgodzić się na to...

I opuścił oczy, jakby wstydząc się słów swoich.

Głuszkiewicz wstał i wyszedł, w czasie zaś przerwy udał się do kancelarji, do gabinetu dyrektora...

O czem tam rozmawiali, nikt nie wiedział, tylko stojący w korytarzu uczniowie, posłyszeli, jak dyrektor wołał podniesionym głosem:

— Tyś prawosławny, a więc ruski... Nie wolno ci się uczyć tego obcego języka... Zresztą, co ci z tego przyjdzie...

A po chwili wyszedł z kancelarji Głuszkiewicz zapłoniony, rozgorączkowany, a wszedłszy do klasy, usiadł na miejscu swojem i wybuchnął spazmatycznym płaczem...

Koledzy przyglądali mu się ze współczuciem, żaden jednak nie podchodził do niego... Dopiero Jurek podsunął się do niego i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Nie płacz... uspokój się...

Głuszkiewicz, otarł oczy i uścisnął mu rękę, gdy zaś wyszli z gimnazjum, przyłączył się do niego i Kuleszy...

Do czasu tego trzymał się on zdaleka od wszystkich... Choć zaliczony do prawosławnych, nie przestawał z żadnym z nich, katolicy zaś, podobnie jak i od innych prawosławnych, odsuwali się od niego, poprzestając tylko na koniecznych rozmowach koleżeńskich...

Dopiero teraz pierwszy Jurek zrobił wyłom w tym murze obojętności...

Głuszkiewicz szedł z nimi milczący, pełen smutku, i dopiero po jakimś czasie gorączkowo mówić zaczął:

— Chcą ze mnie koniecznie zrobić moskala... chcą, ażebym nie mówił i nie umiał nic po polsku, ale to się im nie uda...

— Lecz przecież jesteś prawosławnym?... — spytał go Jurek...

— Ja... prawosławnym!?... — zawołał z oburzeniem Głuszkiewicz — to oni mnie zrobili nim... gwałtem mi narzucili tą obmierzłą religję swoją... Ja jestem katolikiem, tak jak mój ojciec i matka...

I z goryczą w głosie mówić zaczął:

— Zamordowali mi matkę... ojca doprowadzili do ruiny, a teraz mnie chcą zrobić moskałem, niedoczekanie ich...

I tyle było bólu w głosie jego, że Jurkowi łzy do oczu mimowoli napływać zaczęły... Jak każde jednak polskie chłopię, przyzwyczajone od niemowlęctwa do ostrożności, rozejrzał się wokoło, czy ich nie podsłuchuje czyje niepotrzebne ucho, i zamieniwszy porozumiewawcze spojrzenie z Pawełkiem, spytał:

— I ty chcesz koniecznie uczyć się po polsku?...

— Chcę, bo to mowa ojców i dziadów moich, bo w niej matka uczyła mnie pacierza, i inaczej w domu nie rozmawiamy, — odrzekł Głuszkiewicz...

— A więc przyjdź dziś wieczorem do mnie, — rzekł Jurek — to pomówimy o tem...

Rozstali się, a wieczorem Głuszkiewicz zjawił się u Jurka, gdzie już zastał Kuleszę, Kańskiego i Wiadrowskiego.

Przywitali go serdecznie, poczem, po zamienieniu paru zdań obojętnych, Jurek rzekł:

— Proszę cię, opowiedz nam, w jaki sposób zrobiono cię prawosławnym, kiedy byłeś katolikiem?...

— W jaki sposób?... drogą gwałtu i przymusu... Ojciec mój miał spory folwark na Podlasiu, na którym pracował gorliwie, ciesząc się szacunkiem i miłością sąsiadów... Przetrwał wszystkie burze i życie zdawało się rodzicom moim układać szczęśliwie, gdy naraz spadł na nich grom... Na Podlasiu zniesiono unję, i gwałtem, uciekając się do nawet do zbrodni, nawracać zaczęto unitów na prawosławie. Byłem małem dzieckiem wówczas, nie rozumiałem też zupełnie tego co się działo... Opowiadał mi tylko ojciec, że padły setki ofiar, że wsie całe rozstrzeliwano, mieszkańców ich katując, mordując, doprowadzając do nędzy, wywożąc na Sybir...

Ojciec mój był spokojny, gdyż już dziad jego był katolikiem, gdy naraz otrzymał wezwanie do gubernatora. Zaniepokojony, gdyż nigdy wezwanie takie nie zwiastowało nic do-

brego, udał się tam, i ku wielkiemu przerażeniu swemu dowiedział się, iż pop z sąsiedniej parafji odgrzebał w aktach, że pradziad ojca mego był unitą, i że wobec tego on powinien być prawosławnym. Raziło go to, jak gromem... Nawpół przytomny wrócił do domu, gdzie opowiedział wszystko matce... Rozpacz ich ogarnęła bezgraniczna, postanowili protestować, bronić się... Lecz nic to nie pomagało...

Razu pewnego do dworku naszego przyjechał pop w asyście strażników i żandarmów, i wydarłszy mnie z rąk matki siłą, ochrzcili na prawosławie... Matka ciosu tego nie przetrzymała, zapadła też ciężko na zdrowiu i umarła niedługo potem.

Ojciec bronił się, jak mógł, zakładał protest za protestem, apelował do samego cesarza, bez skutku jednak. Na wszystkie prośby jego przychodziła odpowiedź odmowna, aż wreszcie zrujnowany kosztami, jakie to pociągało, a zwłaszcza karami, jakie gorliwi urzędnicy wciąż na niego nakładali, musiał sprzedać swój folwark i dla chleba przenieść się do Warszawy, gdzie znalazł posadę...

Ohydne piętno narzuconej religji przyrosło do mnie, i muszę ciągnąć je ze sobą, jak łańcuch niewolnika, aż do śmierci... Zabraniają mi być polakiem, uczyć się po polsku, lecz nie uda się to im... Tymbardziej ich nienawidzę...

I wsparłszy głowę na ręku zapłakał rzewnemi łzami...

I czterem chłopcom łzy popłynęły z oczu, gdy słuchali tej tragicznej opowieści, wreszcie Jurek, położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Słuchaj, bracie... rozumiemy my ciebie, i chcemy z tobą się złączyć, chcemy wspólnie pracować, by właśnie nie zatracić jedynego naszego skarbu ojczystego, jakim jest mowa ojczysta... Czy zgadzasz się na to?...

Zapłonęły oczy Głuszkiewicza, gdy posłyszał tę propozycję, i odrzekł:

— Czyż ja chcę tego?... ależ to jest jednym z najgoręt-

szych pragnień moich... Ojciec mój zbyt biednym jest teraz, ażeby mógł opłacać specjalnego nauczyciela, w gimnazjum nie dano mi pozwolenia na korzystanie z lekcji Marzvńskiego. Cóż więc mam robić?...

— To ja ci powiem, — rzekł Jurek, i szczegółowo wtajemniczył go w zadania związku czterech, zapytując zarazem, czy chcę do nich należeć?...

— Ależ z największą chęcią, — zawołał Głuszkiewicz— choćby w tej chwili... Już jestem wasz, i duszą, i sercem...

Uścisnęli sobie ręce, zawierając w ten sposób pakt przyjaźni...

— Tylko moi drodzy, — rzekł tonem prośby Głuszkiewicz — nie wołajcie na mnie imieniem Bazyli, które mi przy chrzcie narzucili popi, a tylko Tadeusz, jak na mnie wołała matka, jak woła ojciec...

Umówili się jeszcze, co do lekcji, przyczem Jurek zawiadomił, iż pan Hołownia jaknajchętniej zgodził się udzielać i jemu lekcyi, co prawdziwą radością przejęło Głuszkiewicza.

Rozeszli się późnym wieczorem...

W ten sposób związek czterech przemienił się w związek pięciu.

X.

NA POCHYŁEJ DRODZE.

Minęło lato...

Wszyscy nasi bohaterowie znaleźli się w trzeciej klasie, gdzie zasiedli obok siebie, a łączące ich węzły przyjaźni zacieśniły się jeszcze bardziej...

Przybyło im pracy, gdyż zakres nauk zwiększył się znacznie, a i lekcje poza szkolne przybrały znacznie większe rozmiary...

Zarówno Wiadrowski, jak Kański, Kulesza i Głuszkiewicz musieli dawać korepetycje płatne, by choć w ten sposób przyjść z pomocą niezamożnym rodzicom.

Mimo to jednak niezaniedbywali zarówno samokształcenia swego, jak i nauczania biednych dzieci.

Pracowali też od świtu do późnej nocy. Jeden Jurek, znajdując się w znacznie korzystniejszych od nich warunkach, nie potrzebował dawać lekcji płatnych, za to też więcej czasu poświęcał nauce biedaków...

On też był pośrednikiem między kolegami przy dostarczaniu im książek, których spora ilość, zgodnie z wskazówkami p. Hołowni, znajdowała się w bibljotece w gabinecie p. Szumskiego.

Czytano je skwapliwie, a następnie na zebraniach, wyrażano o nich zdania, roztrząsano myśli w nich zawarte, komentowano je...

W trzeciej klasie też nastąpiła w pewnym stopniu zmiana profesorów, przybyli nowi, zmienili się starzy...

Ubyli, jako profesorowie, pp. Woskobojnikow, Slepcow i Kozłowskij.

Język rosyjski wykładać zaczął nowy profesor, Mikołaj Władimirowicz Pazuchin, niemłody już, siwy, z długą brodą, z łagodnie patrzącemi po przez szkła okularów oczyma.

Przyjemnie zdziwieni zostali uczniowie, gdy na pierwszej zaraz lekcji przemawiać zaczął do nich tonem łagodnym, prawie że ojcowskim, nie używając zupełnie epitetów takich, jakiemi ich zazwyczaj darzyli inni profesorowie.

Pochlebiało im to bardzo, uczuli się podniesionymi w godności swojej, zwłaszcza, gdy zaczął do nich zwracać się przez wy...

Wydało im się, że są już dorosłymi, że zrównani są w prawach z uczniami klas wyższych...

A przytem i wykład jego był zupełnie inny, niż poprzedników jego... Podczas gdy tamci zadawalniali się zadaniem

ztąd — dotąd, poprzestając tylko na krótkiem, suchem objaśnieniu, on każdą rzecz wyjaśniał szczegółowo, jasno, wyraźnie, uciekając się nieraz do pomocy polskiego języka, którym władał zupełnie dobrze...

Wykład jego był tego rodzaju, że wbijał się w pamięć, zmuszał do myślenia, i to do myślenia po rosyjsku...

To też znaczna większość uczni czyniła kolosalne postępy w rosyjskim języku, a zachęcona przez niego, proszona wprost, gromadnie rzuciła się do czytania ruskich książek, których im obficie dostarczała bibljoteka szkolna.

Z początku napozór nie interesował się on wcale wyborem tych książek, zdawało się, że nic go on nie obchodzi, lecz z czasem zaczął dawać niektórym z nich wskazówki, jakie mają czytać książki, cytował z nich najpiękniejsze ustępy, tak że powoli prawie cała klasa, kierując się radami jego, czytała tylko książki wskazane przez niego...

A dziwnym trafem zawierały one zawsze prawie apoteozę Rosji, jej potęgi i wielkości, jej łaskawości względem innych narodów, a zarazem przytem i delikatnie wtrącane słowa nagany dla Polski, krytykę jej urządzeń i gospodarki.

W ten sposób nader subtelny zaszczepiał on w uczniach niechęć do własnej ich Ojczyzny.

Koło zwolenników tego dziwnego ze względu na swą grzeczność profesora rosło, znajdywał nawet wielbicieli, którzy nie mogli się wychwalić go, uważali go nawet za wyrocznię w wielu sprawach...

Przytem nie karał on uczni nigdy, napominając ich tylko łagodnie, prosząc, co jeszcze więcej na nich działało, od sadzania do kozy i stawiania w kącie innych nauczycieli...

Dokonał też tego trudnego dzieła, że język rosyjski, najmniej lubiany do czasu tego w klasie, stał się jednym z najulubieńszych przedmiotów.

Nasza piątka trzymała się w stosunku do niego dość obojętnie. Słuchała wykładu z przyjemnością, uczyła się do-

brze, lecz do czytania książek rosyjskich nie rzucała się tak skwapliwie, jak inni...

Lecz naraz w usposobieniu ich nastąpił zwrot. A stało się to z powodu następującego wypadku...

Razu pewnego Jurek, który przyobiecał Kańskiemu przynieść „Pana Tadeusza“, biegł dość szybko Wspólną ulicą, niosąc pod pachą właśnie tą książkę...

Spieszył się, gdyż musiał wracać do domu, ażeby odbyć jeszcze lekcję z swoimi pupilami.

Naraz, gdy minął Kruczą ulicę, spotkał profesora Pazuchina, który wolnym krokiem szedł na spacer... Ukłonił mu się i chciał go minąć, gdy naraz tenże zawołał go.

Przystanął i podszedłszy bliżej, czekał co on mu powie...

Profesor spytał:

— A co tam pan ma za książkę pod pachą?...

Zapłonił się Jurek, serce zakołatało mu mocniej w piersi, i stał zmięszany, przestępując z nogi na nogę, ściskając książkę mocno pod pachą...

Profesor Pazuchin powtórzył zapytanie, przyczem dodał:

— No, pokaż... Nie wstydź się...

A gdy Jurek nie kwapił się z podaniem książki, wyjął mu ją delikatnie z pod pachy, i otworzywszy, czytać zaczął głośno tytuł:

— Adam Mickiewicz. „Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie“.

Jurkowi pociemniało w oczach, wszystko zawirowało przed nim, i myślał tylko o tem, jakby uciec... Książka należała do liczby surowo zabronionych w gimnazjum, czytanie jej mogło pociągnąć za sobą wydalenie...

A profesor Pazuchin tymczasem przeglądał ją, czytając niektóre wiersze, przyczem kręcił znacząco głową...

— No, no, — rzekł wreszcie — piękna książka... A czy pan zna dobrze wszystkie poezje Puszkina?...—spytał nagle.

— Znam, — odrzekł zmięszany Jurek — ale nie wszystkie...

— Szkoda, — rzekł profesor — wie pan co, zrobimy zamianę... Pan mi pożyczy do przeczytania ten poemat, a ja dam mu wzamian wszystkie utwory Puszkina. Dobrze?...

Jurkowi wydało się, że przesłyszał się... że to coś niemożebnego, co słyszy...

— Dobrze, — wyjąkał z trudem...

— Więc proszę, — rzekł profesor — niech pan idzie ze mną, to dokonamy zamiany...

Poszedł z nim, a profesor przez drogę z ojcowską pobłażliwością i pieczołowitością rozmawiał z nim o różnych rzeczach, dopytując się o to, co czyta, co go najwięcej interesuje, a zarazem, jakie ma zamiary na przyszłość...

Jurka zrazu krępowała ta wędrówka przez ulicę z prosorem Pazuchinem, nie była mu zbyt przyjemną, zwłaszcza, iż jak na złość, spotkali paru kolegów... Powoli jednak przyjacielski ton pogawędki, miły uśmiech, podziałały na tyle, że się nawet poczuł się z niej dumnym...

Przyszli wreszcie do domu, w którym mieszkał profesor, weszli na trzecie piętro, i Jurek znalazł się w wytwornie urządzonym gabinecie. Jedną ścianę zajmowała olbrzymia bibljoteka oszklona, z poza drzwiczek której wyglądały setki książek.

Profesor, położywszy „Pana Tadeusza“ na biurku, podszedł do niej i wydobywszy wspaniale oprawny egzemplarz dzieł Puszkina, doręczył mu je, a następnie, podając mu drugą książkę, rzekł:

— Przeczytaj i to, kochanku...

Jurek wziął i spojrzał na tytuł. Była to „Wojna i pokój“ Tołstoja...

— A gdy przeczytasz te książki, — rzekł mu profesor Pazuchin — to przychodź śmiało wymienić je na inne, o tej porze zawsze jestem w domu...

Jurek wracał do domu oczarowany uprzejmością profesora... Do Kańskiego już nie poszedł, raz że nie miał z czem, a powtóre, że było już późno i musiał się spieszyć na lekcję w suterynie...

A wieczorem, do późnej nocy czytał arcydzieło Tołstoja, zachwycając się czarem jego...

Następnego dnia rano spytał go się Kański, dlaczego nie był u niego, na co w odpowiedzi opowiedział mu swe spotkanie i bytność u profesora Pazuchina.

Pokręcił głową na to Kański, i rzekł:

— Nie podoba mi się jakoś ta serdeczność i miłość dla nas Pazuchina... Musi się w tem coś kryć... Mamusia moja niedarmo mówi, iż moskalowi nigdy ufać nie należy, że podstępny on jest i zdradziecki...

— Lecz cóż może mieć w tem profesor Pazuchin,—rzekł Jurek — przeciwnie, wziął odemnie „Pana Tadeusza“ a dał mi tak zajmującą książkę, że do późna wczoraj ją czytałem... Radzę i tobie ją przeczytać...

— I owszem, przyczytam ją... Tylko radzę ci strzedz się tej przyjaźni...

Nie usłuchał Jurek tej rady przyjaciela... Przeczytawszy „Wojnę i pokój“, zwrócił się do profesora z prośbą o nowe książki, a w krótkim czasie tak zasmakował w literaturze rosyjskiej, że nawet na zebraniach związkowych, cytował i opowiadał o książkach przeczytanych...

Zrazu koledzy słuchali go, nie oponując, a nawet Wiadrowski, Kański i Kulesza prowadzili w pewnym rodzaju dysputy, zabierając jednocześnie książki rosyjskie do czytania od niego...

Jeden tylko Głuszkiewicz trzymał się odpornie...

Aż wreszcie, gdy na jednem z zebrań, wszczęli gorącą rozprawę na temat powieści Gogola „Taras Bulba“, wstał i rzekł spokojnie:

— Moi drodzy, mam ja dosyć tej moskiewszczyzny w szkole, ażebym jeszcze w domu o niej rozprawiał... Jeśli to się wam podoba, to się nią zajmujcie, lecz ja nie mam zamiaru tego robić...

Spojrzeli zdziwieni, a Kulesza spytał:

— Dla czego?...

— Dla czego?... A czyż wy nie widzicie do czego dąży Pazuchin, dając wam te książki do czytania?... Zastanówcie się dobrze nad tem, i napewno sami się zawstydzicie... Toż przecież wy teraz o niczem innem nie rozprawiacie, jak o literaturze rosyjskiej... Książki polskie w kąt poszły, i o nich prawie że nic nie mówimy... W ten sposób, nader łagodny, lecz i podstępny zarazem, wyplenia on z was zamiłowanie do książek polskich. A powtóre, weźcie wy treść tych książek, choćby i tego „Tarasa Bulby“, o którym z takiem ożywieniem rozprawiacie... Zastanówcie się nad nią, i rozważcie, jak tam są przedstawieni polacy... Czyż można zebrać więcej ujemnych rysów polskich, niż tam?... I wy spokojnie czytacie to zohydzenie polaków... Obojętnie przechodzicie nad nim, nie rozumiejąc wcale, iż to jest na rękę profesorowi Pazuchinowi, który w stosunkowo krótkim czasie dokonał tego, czego ani Slepcowowi, ani Woskobojnikowowi nigdy by się nie udało... Wy już myśleć nawet po rosyjsku się nauczyliście...

W milczeniu słuchali tych zarzutów jego, nie mogąc narazie nic znaleźć dla zbicia ich.. Dopiero po jakimś czasie Jurek zaczął mówić:

— Ależ poznawanie literatury rosyjskiej nie może być zbrodnią... Przecież wszyscy uczą się i czytają arcydzieła literatury francuskiej, niemieckiej i innych...

Zamierzał Głuszkiewicz dać mu odpowiedź na to, gdy naraz do pokoju wszedł p. Hołownia, i rzekł:

— Pozwól, że ja dam na to odpowiedź... Wypadkowo będąc w przyległym pokoju słyszałem dysputę waszą, i chcę dać Jurkowi odpowiedź... I owszem, poznawanie literatur ob-

cych dla ludzi cywilizowanych jest rzeczą nie tylko pożądaną, ale nawet i konieczną... Bez niej nie może nawet być mowy o pełni wykształcenia, stanowi ona niezbędne dopełnienie... Lecz o ile to jest czynione bez żadnych ubocznych tendencji, bez żadnych zamiarów, zupełnie bezstronnie. I literatura rosyjska ma wiele rzeczy pięknych, godnych bliższego poznania, lecz nie w ten sposób, jak czyni to profesor Pazuchin... Ze słów Głuszkiewicza widzę, że czyni on to wprost z zamiarem zohydzenia w waszych oczach polskości... W ten sposób literatury poznawać nie wolno, zwłaszcza umysłom tak młodym i wrażliwym, jak wasze...

Musieli przyznać słuszność p. Hołowni, i któż opisze zdumienie profesora Pazuchina, gdy Jurek naraz przestał czerpać książki z jego bibljoteki... Wreszcie pewnego dnia spytał go wprost:

— Cóż, panie Szumski, nie zachodzi pan do mnie... nie bierze pan książek do czytania?...

— Nie mam teraz czasu, panie profesorze, — odrzekł wykrętnie Jurek — tyle teraz lekcji, że nie mogę czasu tracić na czytanie...

Popatrzał na niego badawczo profesor i odrzekł krótko:

— Żal...

Lecz od czasu tego Jurek stracił jakoś względy jego, co odbiło się znacznie na stopniach...

XI.

W CZWARTEJ KLASIE.

Po powrocie z wakacji, do czwartej klasy, przyjaciele nasi znaleźli w gimnazjum znaczne zmiany. Przedewszystkiem inspektor ustąpił, przeniesiony na stanowisko dyrektora do jednego z miast prowincjonalnych, a miejsce jego zajął nowy,

przysłany aż z głębi Rosji, podobno z Samary, daleki kuzyn dyrektora...

Był to człowiek jeszcze młody, energiczny, o ruchach oficera gwardji, z której, podobno, jak głosiły wieści, wydalony został za pewne niedozwolone manipulacje przy grze w karty...

Że zaś w Rosji każdy wojskowy przeznaczony jest do piastowania przeróżnych urzędów, więc z łatwością przerzucił się na drogę pedagogiczną, przyczem w niedługim czasie, dzięki protekcji, otrzymał stanowisko inspektora w Warszawie.

Rządy jego w gimnazjum zaznaczyły się w niedługim czasie, a były to rządy prawdziwie żołnierskie...

Przedewszystkiem ofiarą ich padł stary Iwan, którego mowa polsko-rosyjska niezbyt przypadała do gustu panu inspektorowi, Anatolowi Siergiejewiczowi Dudinowi...

Stary woźny zdegradowany został do funcji palacza w piecach i sprzątania klas gimnazjalnych, a miejsce jego zajął nowy, ex-podoficer Wasilij, który niegdyś pełnił służbę ordynansa przy panu inspektorze...

Wysoki, tęgi blondyn, z sumiastemi wąsami i brodą, stał na stanowisku swojem w mundurze, narzuconym na czerwoną rubaszkę, wzbudzając zgrozę, zwłaszcza w wstępniakach.

Cieszył się on specjalnymi przywilejami, a przedewszystkiem żona jego, tęga moskiewka, otrzymała prawo utrzymywania bufetu zarówno dla uczni, jak i profesorów...

Tylko że w uczniowskim była herbata, butersznyty, bułki, serdelki, ciastka, owoce i cukierki, za to w profesorskim można było dostać i wódki, i nawet gorących zakąsek...

Z bufetu tego, drogą specjalnych łask, w ścisłej tajemnicy, za słoną, ma się rozumieć, opłatą, korzystać mogli i uczniowie wyższych klas, dla których miała również zawsze i papierosy, któremi się ukradkiem dość gorliwie zaciągali.

To też Wasylowa, jak ją nazywano, cieszyła się wśród nich wielką popularnością...

Drugą reformą inspektora Dudina, było zwrócenie uwagi na powierzchowność uczniów... Jak na skinienie różdżki czarodziejskiej znikły wszelkie odstępstwa od przepisów, zarówno w ubiorze, jak i w uczesaniu.

Wszyscy musieli być ostrzyżeni krótko, przy samej skórze, a biada temu, którego włosy choć o milimetr przekroczyły zakreśloną długość...

Szczególny lament wzbudził ten rozkaz w wyższych klasach, gdzie niektórzy eleganci nosili długie włosy, ufryzowane i w piękne ułożone pukle, a już nadzwyczajną rozpacz wywołał surowy nakaz zgolenia wąsów i wszelkich śladów zarostu, z których tak dumny był niejeden.

I rozkazowi temu musieli poddać się wszyscy, bez wyjątku, a wszelkie próby uchylenia się od niego karane były surowo, paru godzinami kozy, aż do wydalenia z gimnazjum.

Po za tem baczną uwagę zwrócił p. Dudin na ubiór uczni. Biada temu, który przyszedł w mundurze lub bluzie nie odpowiadającym przepisom, lub też miał pasek krzywo zapięty, lub był bez halsztuka... Kary srogie sypały się na winowajców, i w krótkim czasie cała rzesza uczniowska, podobną była do gromady rekrutów, spędzonych na ćwiczenia.

Jednocześnie też z daleko większą gorliwością dokonywać zaczęto rewizji mieszkań uczniowskich, a nawet rozciągnięto je i na tornistry uczniowskie.

Co jakiś czas p. Dudin wkraczał do której z klas w asyście gospodarza klasowego i Wasyla, i jeden za drugim przeglądał tornistry, czy nie mieści się w nich coś nieprawomyślnego...

Smutnym był los tego, u którego znaleziono coś takiego, a zwłaszcza książkę polską... Ostracyzmowi temu uległy nawet i gazety polskie, w które zawijano śniadania... Karano za nie jednakowo, jak i za książki...

Oprócz tego zaczął p. Dudin od czasu do czasu asysto-

wać na lekcjach niektórych profesorów, szczególnie zaś polaków...

Po cichu, bez szmeru, wsuwał się do klasy w czasie lekcji, i zasiadłszy w jednej z ławek przysłuchiwał się wykładowi... Szczególną opieką jego cieszyły się lekcje języka polskiego i religji.

Lecz p. Marzyński w czasie tych lekcji zachowywał się jednako apatycznie... Prowadził obojętnie swój wykład po rosyjsku gramatyki polskiej podług Grubieckiego, i słuchał tłomaczenia na rosyjskie wypisów Dubrowskiego.

Inaczej było z księdzem Bialskim. Nerwowy, wrażliwy, czuł się strasznie podnieconym tą obecnością inspektora na lekcji, i zwykle wtedy jaknajwięcej i najdłużej rozmawiał z uczniami po polsku, z złośliwym uśmiechem obserwując wyraz bezsilnego gniewu, malujący się na jego twarzy...

Razu pewnego nawet przyszło do zajścia...

Było to tak...

Gdy lekcja religji wypadła według rozkładu pierwszą, zaraz za księdzem wsunął się do klasy inspektor i po cichu zasiadł w ławce obok Jurka.

Ksiądz zmierzył go gniewnem spojrzeniem, i złożywszy dziennik na katedrze, rzucił krótko do dyżurnego:

— Modlitwa!...

A że dyżur dnia tego wypadł na Kańskiego, wstał on, i odmawiać ją zaczął, ku wielkiemu zgorszeniu p. Dudina... po polsku...

Porwał się on z miejsca, jakby chcąc protestować, lecz głośny szmer powtarzających ją głośno uczniów, zagłuszył jego słowa, tak że w milczeniu usiadł na miejscu, a gdy lekcja rozpoczęła się, wysunął się z klasy, rzucając pełne złości spojrzenie na księdza.

Ten odpowiedział mu drwiącem spojrzeniem, i dalej prowadził lekcję...

Za to w kancelarji wypadkowo Wiadrowski podsłuchał następującą rozmowę...

— Księdzu wiadomo, że modlitwa przed lekcją ma być odmawiana w języku rosyjskim, — wołał zapieniony p. Dudin.

— Być może, iż przy innych przedmiotach, — odrzekł mu ksiądz spokojnie — lecz na lekcjach religji odmawiać ją będą po polsku...

— Ale ja księdzu każę odmawiać ją po rosyjsku!...

— Pan... mnie... każe, — z odcieniem pogardy rzekł ksiądz — pan może kazać Wasylowi i innym kolegom swoim, a mnie obowiązuje rozporządzenie władzy wyższej, niż pańska, a szczególnie konsystorza rzymsko-katolickiego...

Ten spokój kapłana wyprowadził z równowagi inspektora, który, zapieniony, tupać zaczął nogami, i waląc pięścią w stół, krzyczał:

— Ksiądz musi się stosować do przepisów!... ksiądz musi odmawiać religję po rosyjsku... ja księdza nauczę!...

Lecz jakby w odpowiedzi na wrzask jego rozbrzmiał spokojny, lecz pełen mocy stalowej, głos księdza:

— Milcz pan... nie znieważaj sukni, którą noszę... gdyż w przeciwnym razie zmuszony będę szukać obrony przed nim u władzy wyższej...

Umilkł inspektor, a po chwili wypadł jak bomba na korytarz, gdzie złość swą wyładowywać zaczął na swawolących uczniakach...

A w chwilę potem, gdy rozbrzmiał dzwonek, ksiądz wyszedł z kancelarji na lekcję, pobladły, lecz spokojny...

Wiadrowski epizod ten powtórzył kolegom, tak że gdy w parę dni potem lekcja religji wypadła pierwszą, na dane przez księdza hasło, cała klasa, głośno, dobitnie powtarzać zaczęła słowa modlitwy, tak że rozlegały się one po całem gimnazjum...

Ksiądz spojrzał ze zdumieniem na nich, lecz spokojnie prowadził lekcje, mówiąc tylko przy odejściu krótko:

— Dziękuję wam...

Za to mieli oni inną satysfakcję... Oto w szybie, umieszczonej w drzwiach, błysnęła im parokrotnie czerwona, wykrzywiona gniewem, twarz inspektora...

Niedługo jednak cieszyli się tryumfem swoim.

W parę tygodni potem ksiądz Białski wszedł na lekcję blady, zasmucony, i zamiast dać znak do modlitwy, stanąwszy na katedrze, rzekł:

— Moje dzieci... otrzymałem polecenie, by modlitwę przed lekcją odmawiać z wami po rosyjsku... Że zaś nie umiem modlić się do Boga w języku obcym, od dziś niech każdy odmawia modlitwę po cichu, w głębi serca...

I od czasu tego lekcje religji nie rozpoczynały się modlitwą...

Zasługą p. Dudina również było udoskonalenie instytucji dyżurnych.

Codziennie, zwykle według kolejnej listy, wypadał na każdego z chłopców obowiązek przestrzegania porządku w klasie, pilnowania, by kreda i gąbka przy tablicy były w porządku, oraz zwracanie uwagi na postępowanie kolegów i zawiadamianie o wykroczeniach ich gospodarza klasowego.

Zwykle jednak dyżurni patrzeli przez szpary na figle kolegów i chyba w razach wyjątkowych komunikowali o tem gospodarzowi.

Odtąd jednak z nakazu p. Dudina mieli oni składać naprawdę raporty na piśmie o przestępstwach kolegów, przyczem największy nacisk położony był na rozmowę w języku polskim...

Korzystali z tego skwapliwie lizusi, i składane przez nich raporty aż pstrzyły się od nazwisk, a wynikiem tego były liczne gromady uczni, odsiadujące następnie kozę...

W ten sposób chłopcy powoli, choć systematycznie wciągali się w szpiegostwo, które było jedną z głównych zasad systemu wychowawczego w gimnazjum...

Nasza piątka, a z nią razem cała garść obojętnych, trzymała się odpornie wobec tego systemu, i raporty przez nich składane, rzadko kiedy mieściły czyje nazwisko.

Wykręcali się też jak mogli od dyżurstwa, to chorując w tym dniu, lub też przeskakując kolej, aż wreszcie zwróciło to na nich uwagę inspektora.

Jedną z pierwszych ofiar nowego systemu padł Pawełek Kulesza...

W dniu, w którym wypadło dyżurstwo jego, jeden z nygusów przyniósł do klasy piszczałkę gumową, którą się zabawiał z kolegami. Próżno zwracał się do nich Pawełek, prosząc by zaprzestali tej zabawy... Wyśmieli go, i podczas, gdy on usiadł w ławce bezradnie, w najlepsze się nią bawili...

Po raz drugi zwrócił się do nich z prośbą, na co jeden z nich zawołał po polsku:

— Idź do licha!... nie przeszkadzaj nam...

W tej chwili zajrzał do klasy inspektor, na którego widok cisza grobowa zapanowała wśród chłopców. Lecz on posłyszał już te fatalne, w tak surowo wzbronionym języku wymówione słowa.

— Dyżurny!... wykrzyknął gniewnie...

Pawełek pobladły, trzęsąc się ze strachu, zbliżył się do niego.

— Kto tu mówił po polsku?... — spytał ostro inspektor...

— Ja nie wiem... nie słyszałem... — jąkał Pawełek...

— Nie słyszałeś? — ze złośliwym uśmiechem rzekł inspektor — ślepy jesteś i głuchy.. Pamiętaj, byś do końca lekcji podał mi nazwisko winnego...

I wyszedł, a chłopcy, przerażeni, siedzieli, jak trusie...

Zaczęły się lekcje po wielkiej pauzie, a gdy skończyły się, Pawełek, nic nie mówiąc nikomu, z zaciśniętemi zębami, udał się do kancelarji. Prawie z całej klasy koledzy czekali na korytarzu, co z tego wyniknie...

A Pawełek, stanąwszy przed groźnym inspektorem, głosem pełnym rezygnacji, rzekł:

— Panie inspektorze, ja nie wiem, kto mówił po polsku...

Zbladł pan Dudin, posłyszawszy tą zuchwałą, zdaniem jego, odpowiedź i zdławionym głosem wykrzyknął:

— Łżesz, łotrze... Łżesz... wiesz dobrze, tylko nie chcesz powiedzieć...

A Pawełek, drżąc cały z przejęcia, powtarzał słabym głosem:

— Nie wiem, panie inspektorze... nie wiem...

Długi czas trwało milczenie, przyczem inspektor wpatrywał się groźnemi oczyma w twarz Pawełka... Lecz ten nie spuszczał oczu z niego...

Ten spokój chłopca wywarł swój wpływ, i inspektor, odtrącając go od siebie, syknął:

— Do karceru... na tydzień... po trzy godziny dziennie... A na drugi raz będziesz wiedzieć...

Pawełek skłonił mu się w milczeniu, i wyszedł spokojnie z kancelarji, by udać się do klasy, w której miał kozę odsiadywać...

Na korytarzu otoczyli go koledzy, przysłuchujący się rozmowie, dopytując się o jej wynik...

W krótkich słowach opowiedział im wszystko.

Wnet rozległy się głosy pełne współczucia i ubolewania, a za nimi dały się słyszeć wołania:

— Chwat z Kuleszy!... zuch!... prawdziwy i szczery kolega!...

A jednocześnie pod adresem faktycznego winowajcy biedz poczęły uwagi:

— Jaśkiewicz powinien się przyznać... Powinien ratować kolegę!... Wstyd mu, gdy tego nie zrobi...

A Jaśkiewicz, który po za wielkiem zamiłowaniem do figli i łobuzerki, posiadał naprawdę dobre serce, stał nieruchomo, wahając się, walcząc z ogarniającą go trwogą...

Aż wreszcie zdecydował się... Podbiegł do Pawełka i uściskawszy go gorąco, rzekł:

— Porządny z ciebie chłopiec!... — poczem przeżegnawszy się, skierował się śmiało do kancelarji i stanąwszy przed inspektorem, rzekł:

— Pan będzie łaskaw nie karać Kuleszy... To ja jestem winien... to ja mówiłem po polsku...

Spojrzał na niego zdumiony inspektor i w pierwszej chwili nie wiedział, co ma mu powiedzieć... Dopiero po jakimś czasie odzyskał równowagę i rzekł:

— Toś ty mówił... A dlaczego Kulesza odrazu nie powiedział?...

— Bo jest dobrym kolegą... nie chciał mnie zdradzić... Proszę, niech pan inspektor go uwolni, a mnie ukarze...

Zły uśmiech przewinął się po wązkich wargach inspektora, który wyrzekł słodko:

— Nie, gołąbku... Posiedzi on, ażeby na drugi raz wiedział, co się dzieje w klasie, gdy jest dyżurnym, ażeby zaś nie nudziło mu się samemu, ty posiedzisz z nim razem...

I powędrował Jaśkiewicz do kozy, dla towarzystwa Pawełkowi...

A w czasie tych długich godzin samotnego siedzenia, zawarł z nim pakt serdecznej przyjaźni.

Innemi też oczyma pozostali koledzy patrzeli na niego, darząc go serdeczną przyjaźnią... A gdy znów los kazał mu być dyżurnym, najgorsi nawet nygusi zachowywali się w dniu tym powściągliwie i spokojnie, ażeby tylko nie ściągnąć na niego kary.

A inspektor, jakby mszcząc się na nim, szukał coraz to nowej przyczepki, to rewidując tornister jego, to wpadając nawet do ubogiego mieszkanka jego, by dokonać rewizji...

Przyczepiał się nawet do ubóstwa jego, do zajęcia ojca, np. wyrywając go do lekcji, gdy czasem zaciął się i nieodpowiedział odrazu, drwił z niego, mówiąc:

— Nu... nu... ciągniesz tak, jak szewc skórę, — lub też: nu, nie kręć tak, jak szewc kopytem...

Oburzało to prawie wszystkich w klasie, doradzali nawet niektórzy gorętsi, by zareagował jako na to, lecz on zaciskał tylko zęby, mówiąc:

— Niech tam... byle tylko skończyć gimnazjum...

I uczył się, i pracował, starając się zdobyć jaknajwiększą możebnie sumę wiedzy, choć w tak marnej podawanej formie...

Zachęcał go za to do wytrwania prof. Kopernicki, mówiąc:

— Nie zważaj na to... ucz się tylko, a tacy, jak on... tu nie dokończył zacny profesor — najwięcej siebie takiem postępowaniem kompromitują...

Zbiegł tak rok szkolny do połowy, gdy naraz pan dyrektor, za namową pana Dudina, wpadł na pomysł podniesienia kultury literacko-artystycznej uczniów... W tym celu zaprojektowano urządzanie wieczorów literacko-artystycznych, na kórych wykonawcami programów mieli być uczniowie wyższych klas, a słuchaczami wszyscy profesorowie z rodzinami, oraz wybrane rodziny uczniów.

Ożywienie zapanowało w gimnazjum wielkie... Wszyscy uczniowie rozprawiali o tem z ożywieniem, przyczem wiele głosów rozlegało się za i przeciw...

Lizusi wszyscy przyjęli projekt ten z zachwytem, oblegając codziennie rozpromienionego powodzeniem projektu p. Dudina, rozpytując go się o szczegóły, prosząc o zapisanie na listę wykonawców...

Obojętni, jak zwykle, trzymali się biernie, czekając nakazu wzięcia udziału w tych produkcjach, a nygusi najlepiej ochrzcili ten projekt, mówiąc krótko:

— Szopka!...

Już na dłuższy czas przedtem czyniono w klasie przygotowania, odbywano próby, przyczem na salę koncertową prze-

znaczono wielką salę rekreacyjną, mieszczącą się na pierwszem piętrze gmachu gimnazjalnego.

Profesorzy-rosjanie, zwłaszcza przedmiotów podrzędniejszych, wpadli w prawdziwy zachwyt...

— O, to będzie zupełnie europejskie, — wołali — pokażemy wszystkim, jak wysoko stoi u nas kultura... jakie dobrodziejstwa my okazujemy przy wychowaniu młodzieży w tym kraju, jak pracujemy dla dobra ojczyzny naszej...

Rodzice uczniów, zwłaszcza zamożniejsi, projekt ten przyjęli z pewną obawą... Przeczuwali oni, że połączonem to będzie z zamachem na ich kieszeń, i tak już obciążoną rozmaitemi opłatami przy kształceniu synów.

I nie omylili się...

Pan Slepcow, Woskobojnikow i inni, odwiedzać ich zaczęli gorliwie, poczém, po wielu krętych opowiadaniach, wyjawiali wprost, że dla uświetnienia tych wieczorów, mających wielkie znaczenie dla podniesienia artystycznego i kulturalnego poziomu uczniów, potrzebny jest fortepian, że dyrektor byłby im szczerze wdzięczny, gdyby dla dobra dzieci przyczynili się do kupienia jego, przyczem zaraz wymieniali cenę i wysokość składki, jaka na każdego przypaść miała...

Radzi nie radzi, skrobiąc się w głowy, wzdychając po cichu, sięgali ojcowie do portfeli i płacili żądane sumy, nie chcąc narażać synów na gniew dyrektora, mogący się odbić na przyszłości dzieci.

I oto w odświeżonej sali stanął piękny fortepian, przy którym codziennie nauczyciel śpiewu odbywał długie ćwiczenia z tymi, którzy się śpiewem popisywać mieli...

Podobne próby odbywali i profesorowie rosyjskiego języka z tymi, którzy deklamować mieli, przyczem zwracano baczną uwagę na wybór utworów, by odznaczały się wybitnie patrjotycznym duchem...

Aż wreszcie nadszedł ów wieczór uroczysty...

Wielką salę przyozdobiono obficie zielenią. Pod jedną ze ścian postawiono rodzaj estrady, na której stanął ów fortepian, a nad nim zawieszono portret cara, otoczony wieńcami z zieleni... Po obu stronach jego zawieszono portrety „dobroczyńców“ Polski, gen. gubernatora Hurki i opiekuna młodzieży, kuratora okręgu naukowego, Apuchtina.

Większą część sali zajęły szeregi krzeseł, a na samym przedzie, na rozesłanym kobiercu, stanął wielki fotel, przeznaczony dla kuratora, który przyrzekł uświetnić obecnością swoją ów wieczór patrjotyczny...

Do niego tulił się szereg mniejszych foteli, w których zasiąść mieli przedstawiciele władz oraz dygnitarjat gimnazjalny...

Dnia tego lekcje skończyły się wcześniej, przyczem z każdej klasy wybrano uczniów, którzy mogli być obecni na tej uroczystości.

Dziwnym trafem byli to wyłącznie lizusi, i synowie rodziców zamożnych... Biedaków, zarówno z pośród obojętnych, jak i nygusów, pominięto zupełnie...

Zaproszenia rozesłano też wyłącznie do rodziców zamożnych, do tych, którzy składkami swemi przyczynili się do kupna fortepianu.

Nadszedł wieczór...

Sala zabłysła światłami, a przy drzwiach jej stanął Wasyl, przybrany uroczyście w nowy mundur, z pod którego wyglądała czerwona rubacha...

Zaczęto schodzić się powoli... Pierwszymi pojawili się nauczyciele z rodzinami swoimi, za którymi dopiero zjawił się dyrektor z inspektorem... Jednocześnie też nadciągać zaczęli i uczniowie, w milczeniu zajmujący miejsca w ostatnich rzędach, i z jakimś tajonym lękiem spoglądający na rozprawiających z ożywieniem na środku sali profesorów.

Inspektor Dudin i profesor Pazuchin coraz podchodzili do nich, zagadując o różne rzeczy, dodając odwagi tym, którzy

w wieczorze udział brać mieli. Nauczyciel śpiewu zgromadzał przy sobie chórzystów, przebiegał palcami po klawiaturze fortepianu, próbował passaże...

Za to zaproszeni ojcowie uczniów jakoś nie kwapili się z przybyciem... paru z nich przysłało listy z przeprosinami, w których tłomacząc się to nagłem zasłabnięciem lub ważnymi i gwałtownymi interesami, zawiadamiali, że przybyć nie mogą...

Wreszcie pokazało się paru, lecz byli to przeważnie urzędnicy rosyjscy i bogaci kupcy żydowscy... A tu zbliża się godzina, na którą zapowiedział przybycie swoje kurator...

Zdenerwowany dyrektor, który chciał się poszczycić przed nim, iż i polaków, rodziców uczni, potrafił przyciągnąć do swego rydwanu rusyfikacyjnego, coraz spoglądał na drzwi, czy się nareszcie oni nie ukażą, oraz na zegarek...

Nareszcie drzwi się otworzyły i Wasil z miną pompatyczną wpuścił do sali paru ojców mniej śmiałej natury, przybranych uroczyście w czarne tużurki, z minami onieśmielonemi, jakby nie wiedzieli, co mają robić ze sobą...

Poskoczył ku nim uradowany inspektor i witając głośno, z hałaśliwą, wprost ostentacyjną radością, wiódł do pierwszych rzędów, sadzając przy profesorach, honorując...

To tymbardziej ich onieśmielało, zwłaszcza, że nie wszyscy umieli należycie mówić po rosyjsku, a po polsku bali się odezwać...

Lecz teraz to już zawód prawdziwy spotkał i dyrektora i inspektora. Po tych paru tchórzliwszych ojcach, nikt więcej się nie zjawiał, drzwi były zamknięte, jak zaklęte...

Aż wreszcie dano znać z dołu, że przyjechał kurator... Inspektor z rozpaczą spojrzał na wielką salę, zaledwie do połowy zapełnioną słuchaczami, na szczupłą garstkę rodziców i wybiegł, ażeby witać dygnitarza.

W sali zapanował ruch. Nauczyciele nagwałt poprawiali mundury, prostowali się, jak żołnierze na przeglądzie, mustru-

jąc przytem uczniów, a ojcowie sami nie wiedzieli, co mają z sobą robić...

Wreszcie Wasil otworzył drzwi na oścież i wszedł przez nie Apuchtin, z miną dobroduszną, rozglądający się na wszystkie strony przebiegłemi i złemi oczyma przez szkła okularów... Za nim kroczył pomocnik jego i paru urzędników w mundurach wojskowych i cywilnych...

Dyrektor i inspektor prowadzili go ostentacyjnie do fotela, a on, stanąwszy przy nim, zwrócił się w stronę uczniów i głosem gardłowym rzucił powitanie:

— Zdrawstwujtie rebiata!...

— Zdrawia żełajem waszemu prewoschoditielstwu, — miarowo, jak wyuczoną lekcję, odrzekli mu uczniowie, poczem kurator z uśmiechem zadowolenia zasiadł na fotelu. W sali zapanowała cisza...

Inspektor dał znak rozpoczęcia produkcji...

Przy fortepianie zasiadł nauczyciel śpiewu, a chórzyści otoczyli go w koło... Zabrzmiały tony hymnu „Boże caria chrani“, którego wszyscy wysłuchali stojąc.

Skończono go, a wnet potem z gardeł nauczycieli i niektórych z uczniów wybiegł krzyk:

— Ura!... ura!...

A potem nastąpiły jedna za drugą produkcje wokalne i deklamacyjne uczniów, śpiewających i wygłaszających utwory przeważnie patrjotyczne — rosyjskie.

Jurek Szumski, który należał do liczby dopuszczonych słuchaczy, miał brać udział w tych produkcjach, profesor Pazuchin wybrał nawet utwór, który miał wygłosić, lecz dziwnym trafem zachorowawszy na gardło, zdołał się wykręcić od tego zaszczytu.

Pan Szumski również był w liczbie zaproszonych, lecz składając się nagłym wyjazdem, nie przyszedł, synowi jednak kazał iść, nie chcąc go narażać w oczach władz gimnazjalnych.

I tak się jakoś złożyło, że w produkcjach tych, oprócz dwóch polaków-lizusów, brali udział przeważnie sami prawosławni i żydzi rosyjscy...

Po wykonaniu każdego numeru rozbrzmiewały huczne oklaski, do których hasło dawał pierwszy Apuchtin... Za nim dopiero szli nauczyciele, uczniowie i ojcowie...

Upajano się dźwiękami i słowami patrjotycznych utworów, a już specjalny entuzjazm wzbudził Fedia Orłow, odczytujący wypracowanie swoje na temat: „Zadania cywilizacyjne rosjan w kraju przywiślańskim“...

Czuć było, że utwór ten wyszedł z pod pióra profesora Pazuchina, do którego też z powinszowaniami zwrócił się kurator...

Huczne zabrzmiały po nim oklaski, lecz bili je tylko rosjanie... Profesorowie polacy słuchali go z opuszczonemi na piersi głowami, jakby przygnębieni, czując jednak na sobie badawcze spojrzenie władz, uderzyli i oni w dłonie...

I uczniowie polacy nie bili po tem brawa, za co spotkali się z groźnem spojrzeniem inspektora.

W czasie przerwy kurator zaszczycił rozmową swoją niektórych z nauczycieli, ostentacyjnie odwracając się od Polaków...

Skończył się wreszcie ów wieczór... Skończył, z wielkiem zadowoleniem wszystkich...

Ojcowie i uczniowie czemprędzej salę opuszczać zaczęli, radzi, że już się ta męka skończyła...

A nauczyciele z kuratorem i innymi dygnitarzami na czele, udali się na zaproszenie dyrektora do mieszkania jego, gdzie czekała na nich przygotowana uczta...

Tam, przy obficie rozlewanych trunkach, wznosili toasty za pomyślność swej pracy cywilizacyjnej wśród polaków...

A na ucztę tą składali się rodzice uczniów — polacy...

XII.

WYPĘDZONY.

Od pewnego czasu w duszy Głuszkiewicza wrzał jakiś bunt szalony...

Zbierało się to w nim oddawna, a składało się na to wiele okoliczności...

Przedewszystkiem ciągłe i przymusowe uważanie go za prawosławnego i rosjanina... Przymuszanie do uczęszczania na lekcje batiuszki, który specjalnie się nad nim znęcał, zohydzając religję katolicką, wypominając mu coraz religję, w której pierwotnie był ochrzczony, a którą ojciec jego pod groźbą zmuszony był porzucić...

Następnie niedopuszczenie go wraz z innymi na lekcje języka polskiego, oraz stałe śledzenie wszystkich czynności jego, a to przez rewidowanie tornistra, przez systematyczne odwiedzanie go w domu przez różnych profesorów...

Bolał i cierpiał z tego powodu już oddawna, a do zwiększenia tego w znacznym stopniu przyczyniły się jeszcze lekcje języka polskiego, jakie wraz z Jurkiem przechodził pod kierownictwem pana Hołowni.

Odczytywanie arcydzieł literatury polskiej, zwłaszcza utworów surowo zakazanych przez cenzurę, rozpatrywanie ich i rozważanie wraz z przyjaciółmi, potęgowały jeszcze wrażliwość jego, zwiększały ból...

Szczególnie zaś stał się zamiłowanym w studjowaniu dziejów Polski, rozpamiętywaniu jej świetnych czasów i przyczyn jej upadków... Odczytywał namiętnie wszystko, co się do jej dziejów porozbiorowych odnosiło, a w miarę tego rosła, potężniała nienawiść jego do ciemiężycieli moskalów, jak ich nazywał...

Szczególną też niechęć jego budziły wykłady historji,

prowadzone z specjalnem zamiłowaniem przez pana Dudina, według podręcznika Iłowajskiego. Nie mógł się też powstrzymać, ażeby nie wtrącić do nich coś swego, indywidualnego, co było wynikiem studji jego, a znacznie różniło się od nauki, przez podręcznik podawanej...

Naprzykład opisując panowanie w Kijowie Światopełka czy Jarosława, wtrącał zaraz przytem opowieść o zwycięstwach polskich nad nimi, o tem, jak Chrobry zajmował Kijów, a wjeżdżając do zdobytego grodu, uderzał mieczem w Złotą Bramę... Jak zajmował to miasto Bolesław Śmiały, i jaki wpływ na nieokrzesane, nawpół dzikie narody Rusi wywierała kultura polska, kultura ludzi ucywilizowanych.

Ze zdumieniem słuchali go koledzy, podziwiając odwagę jego, niemniej też dziwił się i pan Dudn, który pełen gniewu pytał go się:

— Skąd ty posiadasz takie wiadomości?...

— Z książek naukowych, panie profesorze — odpowiadał spokojnie Głuszkiewicz.

Na argumenty jego pan Dudin nieraz nie mógł znaleźć odpowiedzi, to też wolał pomijać je milczeniem, niż wdawać się z nim w dysputę, kończącą się zazwyczaj sromotną porażką, narażającą nieraz na szwank jego powagę nauczycielską...

A Głuszkiewicz znajdował dziwną jakąś przyjemność w zadawaniu mu pytań, wprowadzających go w zakłopotanie, gdyż zbyt świetnym historykiem, niestety, p. Dudin nie był i zdaje się, że cała umiejętność jego nie wykraczała poza ramy podręcznika Iłowajskiego...

Zaprzestał też pan Dudin wywoływać go do lekcji, nie pytając się go o nie, poprzestając tylko na obowiązkowem wysłuchaniu go raz na kwartał, by mu stopień na cenzurze postawić...

Nienawidził go też za to śmiertelnie, nie mógł się wprost na niego patrzeć, korzystając z każdej okazji, ażeby mu dokuczyć.

Aż wreszcie, pod koniec roku szkolnego, gdy już zbliżały się egzamina, zajął się pan Dudin specjalnie rozpatrywaniem dziejów z końca XVIII wieku, przyczem szczególny nacisk kładł na wypadki, związane z rozbiorem Polski.

— Bezład i anarchja panowały w tak zwanej Rzeczypospolitej Polskiej — dowodził — pany i ksiendzy uciskali lud prosty, gnębili go, ciągnąc z niego co się dało, byle tylko mieć pieniądze na zbytki i zabawy... Pili wszyscy i hulali, a zwłaszcza uciskali biedny naród prawosławny, nazywając go bydłem, i do roboty jak bydło używając...

Inaczej się działo w naszej ojczyźnie, Rosji, pod panowaniem najznakomitszej, najmądrzejszej i najlepszej imperatricy Katarzyny II. Rozkwitła wtedy Rosja potężnie, dochodząc do wielkiego znaczenia i powagi. Znakomici wodzowie jej nieśli zwycięski oręż na wszystkie strony, bijąc i niewiernego turczyna, i Szweda. Wszyscy się kłaniali przed rozumem i potęgą carycy, co też spostrzegłszy niektórzy rozumniejsi i lepsi z pośród panów polskich, zwrócili się do niej z błaganiem o ratunek... Wysłuchała ich, tak, jak wysłuchała i błagań chłopów ruskich w jarzmie polskiem jęczących... Wysłała wodzów swoich, by ład tam i porządek zaprowadzili, by swawolników uśmierzyli i do posłuszeństwa doprowadzili. Odebrała też ziemie rdzennie ruskie, przez polaków zagrabione i gnębione i do matuszki Rosji przyłączyła. Odetchnął wtedy z ulgą naród ruski, i dziękował gorąco carycy za oswobodzenie z niewoli polskiej...

A gdy panowie polscy jeszcze się buntowali i rozkazów carycy słuchać nie chcieli, gdy wreszcie buntować się zaczęli pod wodzą jakiegoś generała Kościuszki, wysłała najznakomitszego wodza swego, feldmarszałka Suworowa, by buntowników uśmierzył i do posłuszeństwa przywiódł...

I Suworow uśmierzył buntowników polskich. Generała Kościuszkę pobił pod wsią Maciejowicami, gdzie ten, padając ranny, zawołał: „Finis Poloniae“, zabrał go do niewoli i posłał

do aresztu do Petersburga. Zdobył potem w bohaterskim boju Warszawę, i ład i porządek w Polsce zaprowadził. Wróciły też wtedy do Rosji odwieczne jej dziedziny, państwo Polskie zaś istnieć przestało...

Uczniowie wykładu tego słuchali z różnemi uczuciami. Większość siedziała milcząca, z opuszczonemi na piersi głowami, z wtłoczoną na twarz maską obojętności...

Milczeli, choć na usta ich rwały się słowa gorącego protestu przeciwko temu szarpaniu przeszłości dziejowej narodu.

Milczeli, choć wielu z nich pałało gorącą chęcią wtłoczenia z powrotem w gardło pedagoga tych jego słów obelżywych, tych jego kłamstw świadomych...

Milczeli, gdyż przykuwała ich do miejsc obawa przyszłości, obawa tego, co się stanie, gdy gimnazjum przyjdzie im opuścić, bez możności dalszego zdobywania wiedzy, bez możności uzyskania dyplomu, który w Rosji jest wszystkiem...

Milczeli też, gdyż długie lata niewoli nauczyły ich cierpieć w milczeniu, z zaciśniętemi zębami i tylko w głębi duszy piastowali myśl o zemście...

Na szczęście zaraz po tym wykładzie rozległ się dzwonek, kładący kres lekcji, nie pozwalający panu Dudinowi wyzwać nikogo.

Wyszedł, a w klasie zawrzało jak w ulu... Rozprawiano, dysputowano, jeden tylko Głuszkiewicz siedział na miejscu, z głową wspartą na rękach, zatopiony w myślach. Gdy Jurek zbliżył się do niego, pytając o coś, podniósł na niego błędne oczy i wyrzekł z cicha:

— Jak my znikczemnieliśmy, że nikt nie zdobył się nawet na słowo protestu na te ohydne kłamstwa...

I już milczał dnia tego, nie mówiąc nic do nikogo... Znać tylko po twarzy jego, że jakiś ból szalony wzbiera w jego piersi, że kipi tam, i tylko czeka sposobności, by wybuchnąć nazewnątrz...

Po lekcjach też zaraz udał się do domu, odpowiadając na zapytanie Jurka, czy przyjdzie do niego, krótko:

— Nie wiem... Czuję się niezdrów...

I następnych dni Głuszkiewicz chodził jakiś smutny, zamyślony, jakby rozważał nad czemś...

Zagadywał go Jurek, dopytując się, co mu być może, co mu dolega, lecz odpowiadał mu wymijająco, tylko raz jeden wymknęło mu się:

— Ja mu za to zapłacę...

Minęło tak dni kilka, aż wreszcie nadeszła znów lekcja historji. Pan Dudin wszedł do klasy uśmiechnięty, rozpromieniony, i złożywszy dziennik na katedrze, wywołał pierwszego Głuszkiewicza...

Ten wstał w ławce blady, z jakimś wyrazem determinacji i powagi na twarzy.

— Głuszkiewicz — rzekł pan Dudin — powiedz mi, jaki był najznakomitszy mąż w XVIII wieku?

Zapanowała chwila ciszy. Oczy wszystkich zawisły na ustach Głuszkiewicza, który spokojnie, z rozwagą, odrzekł:

— Kościuszko...

Twarz pana Dudina wykrzywił zły, a zarazem drwiący uśmiech.

— A cóż uczynił ten twój Kościuszko, że go nazywasz najznakomitszym mężem?... — spytał.

— Kościuszko był bohaterem, do którego podobnego trudno w dziejach spotkać... Gdy naród cały padał pod jarzmem obłudnego i nikczemnego sąsiada, jakim była Rosja, stanął on na czele najlepszych synów narodu, z garścią wojska stanął do walki przeciwko przeważającemu wrogowi... Ogłosił wolność ludu, a raczej rozszerzył tylko prawa konstytucji 3-go maja, zdławionej przez złych magnatów przy pomocy Rosji. Chciał odrodzenia narodu, i gdyby nie nieszczęsna bitwa pod Maciejowicami, Polska byłaby wolną, nie jęczałaby w niewoli...

W czasie mowy jego cisza panowała w klasie, że słychać było szmer przelatującej muchy. Pan Dudin siedział na katedrze w słup zamieniony, tylko czerwieniał i bladł na twarzy, a zaciśnięte pięści i zduszony oddech świadczyły o wzburzeniu jego...

Skończył Głuszkiewicz, spokojnem spojrzeniem mierząc pedagoga, który po jakimś czasie dopiero, wykrztusił jakby bezwiednie:

— A Suworow?...

— Suworow — odrzekł mu Głuszkiewicz — był okrutnym tyranem, wsławionym błazeństwami swemi i okrucieństwem... Umiał on odnosić zwycięstwa nad słabszym znacznie przeciwnikiem, jak naprzykład przy rzezi Pragi, gdzie wyrznął spokojną i bezbronną ludność, starców, kobiety i dzieci, lecz gdy spotkał przeciwnika równej siły — uchodzić musiał.

Tu już pękły tamy gniewu pana Dudina, gdy posłyszał podobną krytykę narodowego bohatera. Porwał się z miejsca zapieniony, i wrzeszcząc:

— Ja ci pokażę swołocz!... ja cię nauczę, bydlę! — dopadł do niego z zaciśniętemi pięściami...

Zapanowała złowroga cisza... Cała klasa zda się, zamarła, czekając, co nastąpi... lecz Głuszkiewicz wobec przyskakującego z zaciśniętemi pięściami pedagoga, stał spokojnie, mierząc go śmiałem spojrzeniem, tak, że ten zmięszał się i cofnął.

— Pan mnie znieważa — rzekł wtedy spokojnie Głuszkiewicz — lecz ja to zniosę... Wara jednak panu znieważać Ojczyznę moją... To czynią ludzie nikczemni i podli...

Tu już gniew pana Dudina przekroczył wszelkie granice, dobiegł do Głuszkiewicza i chwytając go za ramiona, zawołał ochrypłym głosem:

— Paszoł won z klasy!... W tej chwili... precz! precz!

Głuszkiewicz wyprostował się dumnie i rzekł:

— Ja sam pójdę... Proszę mnie puścić, gdyż...

I tyle groźby było we wzroku jego, że profesor puścił go, cofając się o krok w tył... Głuszkiewicz spokojnie zebrał książki swoje i złożył je do tornistra, który zarzucił na plecy, a zwracając się do kolegów, rzekł krótko po polsku:

— Żegnajcie!...

I wyszedł...

Cisza zapanowała w klasie po wyjściu jego, cisza grobowa, przerywana tylko ciężkim oddechem wzburzonego inspektora... Od czasu do czasu padały z ust jego pojedyńcze epitety, wymierzone na Głuszkiewicza...

Wszyscy w klasie siedzieli nieruchomo, czekając, aż się inspektor uspokoi... Lecz ten nie mógł już prowadzić lekcji dalej, zwrócił się tylko do nich z krótką przemową:

— Ot, widzicie do czego prowadzi taka buntownicza robota... Głuszkiewicz, ruski, prawosławny, dał się przejąć tej polskiej zarazie... Knuty mu za to dać... na Sybir zesłać, to zaraz by się wyleczył...

Nikt mu nie odpowiedział, klasa jakby zamarła...

Pan Dudin chwilę jeszcze siedział, poczem zabrawszy dziennik, wyszedł z klasy, nakazując im siedzieć cicho...

Lecz wnet po wyjściu jego zerwał się gwar zmięszanych głosów... Zaczęto gorąco dysputować na temat zaszłego wypadku, przyczem rozlegały się głosy broniące i potępiające Głuszkiewicza.

— Zuch z niego — wołali jedni — bronił dzielnie nas... dlaczego nas znieważał... dlaczego nas uczył kłamstw...

— Niepotrzebnie się wyrywał — odpowiadali drudzy — i sobie zaszkodził, gdyż z gimnazjum go wypędzą, i nam nic dobrego nie zrobił... Będą teraz nas więcej ściskać...

I prowadzono spór zacięty na ten temat, aż wreszcie porwał się z miejsca Kański i z zaciśniętemi pięściami zawołał:

— Wszyscy jesteście podli, niegodni ręki Głuszkiewiczowi całować... On jeden miał tylko odwagę w imieniu na

szem zaprotestować przeciwko temu, co ten moskal wygadywał, i on jeden cierpieć za nas będzie...

Ucichły wnet po tem wystąpieniu jego wszelkie spory, i szeptem już tylko rozmawiano z sobą...

Rozległ się dzwonek, oznajmiający pauzę i cała masa uczniów wysypała się z klasy.

Głuszkiewicza na korytarzu już nie było. Jak poinformował ich Iwan, wypadłszy z klasy, porwał szynel i czapkę i wnet, nie ubierając się, wybiegł na ulicę...

Na twarzach profesorów również widocznem było, iż musiało się stać coś nadzwyczajnego, gdyż krążyli po korytarzu rozprawiając o czemś z ożywieniem, gestykulując, to znów wpadali do kancelarji, gdzie dyrektor z inspektorem ożywione prowadzili narady...

Tylko grupa nauczycieli polaków zachowywała się biernie, od czasu do czasu przewijał się po ustach ich drwiący uśmiech, gdy słyszeli pełne oburzenia i gniewu wykrzykniki p. Dudina, Pazuchina i innych.

Profesor Kopernicki, wychodząc z gimnazjum otoczony przez gromadę uczniów, skinął na przechodzącego niedaleko Kuleszę, i rzekł krótko:

— Chodź ze mną...

A gdy odeszli tak, że już nikt słyszeć ich nie mógł, spytał:

— Co tam się u was stało?...

Opowiedział mu szczegółowo wszystko Pawełek, a profesor uśmiechał się lekko, mówiąc od czasu do czasu:

— To zuch chłopak... zuch!...

A gdy Pawełek skończył, dodał:

— Dobrze zrobił, że stanął w obronie narodu... Przynajmniej dał nauczkę moskalowi... A cóż wy na to?...

Znów zdał mu relację Pawełek z zachowania się kolegów, a profesor słuchał go z zajęciem, poczem rzekł:

— Nie zginie nasz naród, kiedy znajdują się wśród mło-

dzieży jego jednostki, gotowe tak dzielnie bronić go od zniewag ciemięzców. Przekroczył pan Dudin granicę tego, co wolno... Ale sprawa Głuszkiewicza jest zła... Napewno wydalą go i to z wilczym biletem... Szkoda, żeby się chłopiec zmarnował... Jakie są jego warunki materjalne?...

— Nieświetne — odrzekł Kulesza i opowiedział profesorowi wszystko, co wiedział o stanie majątkowym ojca Głuszkiewicza.

Zafrasował się zacny profesor, głęboka zmarszczka przecięła czoło jego, zamyślił się na chwilę, poczem rzekł, jakby do siebie:

— Trzebaby go wysłać do Krakowa... Trzeba pomyśleć o tem... Muszą się na to środki znaleźć...

Poczem zwracając się do Pawełka, dorzucił:

— Ty, zdaje się, żyjesz z nim blizko... Powiedz, ażeby jutro wieczorem przyszedł razem z ojcem do mnie... Tylko niech o tem nikt nie wie...

Pożegnał go Pawełek, i ucieszony, że zaniesie przyjacielowi pomyślną dla niego wiadomość, pospieszył do niego wieczorem wraz z Jurkiem i Kańskim.

W szczupłem mieszkaniu, zajmowanem przez p. Głuszkiewicza smutek panował... Sam Głuszkiewicz siedział przy oknie, zatopiony w myślach, a ojciec jego, smutny, stroskany, chodził wielkiemi krokami po pokoju...

Pytanie: co będzie?... wyryte było na ich twarzach.

Z radością przywitał Głuszkiewicz kolegów i z słabym uśmiechem słuchał ich opowiadań o tem, co się działo w gimnazjum po jego wyjściu...

— Może źle zrobiłem — rzekł wreszcie — może zwichnąłem tem całą przyszłość swoją, lecz nie mogłem się powstrzymać... Przekroczyło to już granice wszystkiego, i czułem, że muszę jakoś zareagować na to...

— Dobrze zrobiłeś, mój synu — przerwał mu ojciec, stając przy nim — i dumny jestem z tego, coś zrobił lecz teraz

dręczy mnie pytanie, co będzie dalej... Żebym miał środki i mógł wysłać cię zagranicę, ale tak... — i bezradnie rozłożył ręce...

— To trudno — rzekł Głuszkiewicz — wezmę się teraz do nauki rzemiosła... to nie hańbi... i tam potrzebni są ludzie wykształceni... zresztą mogę uczyć się dalej sam...

Tu Pawełek uznał, że nadszedł czas wyjawienia mu rozmowy z profesorem Kopernickim. Odwołał go na stronę i powtórzył mu ją szczegółowo.

Radością błysnęły oczy Głuszkiewicza, i z trudem powstrzymał się od okrzyku. Pobiegł zaraz do ojca i oznajmił mu tą wieść radosną. Poweseleli zaraz i jakoś jaśniej się zrobiło w małem, ubogiem mieszkanku...

— No — rzekł pan Głuszkiewicz — teraz już wiem, co powiedzieć tym panom pedagogom, którzy mnie na jutro, na południe do gimnazjum zawezwali...

I pokazał wezwanie, otrzymane od dyrektora.

Następnego dnia wzburzenie w gimnazjum trwało. Wieść o postępku Głuszkiewicza rozeszła się po wszystkich klasach, i wszyscy z niecierpliwością oczekiwali zakończenia tej sprawy Rozprawiano o niej szeroko, i znaczna większość uczniów trzymała stronę Głuszkiewicza.

Na inspektora Dudina, przechadzającego się po korytarzach z miną srogą, patrzano z minami pogardliwemi, lekceważącemi... Czuł on to, i tem bardziej jeszcze starał się okazać swą potęgę...

Nasi przyjaciele, z uczuciem pewnego żalu patrzeli na opróżnione przy nich miejsce Głuszkiewicza, czując dobrze, że już więcej nie zobaczą go przy sobie...

W czasie wielkiej pauzy uczniowie nie rozbiegli się po podwórzu, by biegać i bawić się, tylko skupieni przy drzwiach kancelarji, czekali na wynik rozpraw, prowadzonych w gabinecie dyrektora.

Szmerem współczucia i sypatji przywitali pana Głuszkiewicza, który wszedł tam śmiało, z podniesioną głową, gotów do odparcia wszelkich zarzutów w obronie ukochanego syna...

Przyjęli go uroczystem milczeniem profesorowie, zasiadając z poważnemi a zarazem groźnemi minami naokoło stołu, zasłanego zielonem suknem. Dziwnym trafem, czy też umyślnie, z profesorów polaków tylko jeden zajmował miejsce przy tym stole, pozostali zaś byli nieobecni...

Pierwszy przemówił dyrektor, przedstawiając czyn Głuszkiewicza, jako zamach na całość państwa rosyjskiego...

Słuchali go inni profesorowie, przytakując głowami, a na twarzach ich, w miarę roztaczanych obrazów, malowała się zgroza...

— Cóż to za przykład dla innych — wołał w oburzeniu dyrektor — gdy rosjanin, prawosławny, ośmiela się występować przeciwko naukom takiego profesora, jak pan Dudin. Zaraza polska przedostawać się już zaczyna do domów rosyjskich, tocząc je, przejmując buntowniczemi ideami. Walczyć z nią jest naszem zadaniem, świętym obowiązkiem szkoły rosyjskiej, będącej jedną z najważniejszych placówek kulturalnych w tym kraju... Głuszkiewicz za wystąpienie swoje winien być ukaranym, i to ukaranym surowo, a kara ta musi być przykładem dla innych, by ich powstrzymać od podobnych, wrogich wystąpień...

Kiwaniem głów potakiwali mu profesorowie, a gdy skończył, rozległy się głosy:

— Da... da... Trzeba ukarać dla przykładu...

Wtedy przemówił pan Głuszkiewicz... Mówił po polsku, spokojnie, lecz z mocą:

— Syn mój — rzekł — postąpił niewłaściwie, unosząc się... Insynuacje, rzucane przez pana Dudina na nasz naród, zasługiwały i zasługują tylko na pogardliwą, milczącą odpowiedź... Lecz stało się... Raniły one polskość jego, gdyż syn

mój, tak samo, jak i ja jest polakiem... prawosławie i rosyjskość narzucone nam zostały przemocą, co tem bardziej jeszcze drażni i boli jego uczucia... Szkoła, która tylko roznieca nienawiść, źle wypełnia zadanie swoje, i w takiej szkole nie chcę syna wychowywać... Surowa kara jest niepotrzebną, gdyż odbieram go z gimnazjum...

Ta przemowa wywarła dziwną konsternację wśród zebranych pedagogów... Szykowali się, że usłyszą błagania i prośby, że uciekać się będzie do ich wspaniałomyślności, i prosić o wybaczenie dla syna, które gotowi byli udzielić, pod nader ostrymi warunkami...

Tymczasem ten „rosjanin i prawosławny“ ośmielał się do nich przemawiać po polsku, a zamiast próśb potępiał ich, i oświadczał, że syna z gimnazjum zabiera...

Burzyło to w zupełności plany ich i zamiary, wprowadzało zamęt w przygotowany zawczasu program wspaniałomyślnego przebaczenia...

Siedzieli też bezradnie, patrząc jeden na drugiego, nie wiedząc, co mu powiedzieć...

Wreszcie dyrektor pierwszy mówić zaczął tonem pojednawczym:

— Nu, panie Głuszkiewicz, niema się co unosić... niema co burzyć się... Zawinił chłopiec, nu, ukarać go... po ojcowsku, rózeczką, a nie zaraz z gimnazjum odbierać... My ludzie dobrzy, zgodni... my mu winę przebaczymy... tylko pan zgodzi się na danie mu rózeg...

I milczał, czekając jaki efekt wywrą słowa jego...

Lecz pan Głuszkiewicz był nieubłagany. Na propozycję tą odrzekł krótko:

— Nigdy syna nie biłem i bić nie będę... Zbyt duży i ambitny jest na taką karę...

Wtedy dyrektor zaczął ustępować...

— Nu, to i to mu przebaczymy... Posiedzi tylko po parę godzin w kozie przez tydzień... I wszystko będzie dobrze...

— Nie, — odrzekł p. Głuszkiewicz — i na to się nie zgadzam... Stanowczo odbieram go z gimnazjum, i proszę o oddanie papierów...

Tu już prawdziwa męka odbiła się na twarzy dyrektora i nauczycieli... Stanowczo tak szczegółowo przez nich obmyślany efekt przebaczenia chybiał celu... Ojciec winowajcy psuł im wszystko uporczywem żądaniem oddania papierów jego...

— Tak my już, panie Głuszkiewicz — rzekł wprost z prośbą w głosie dyrektor — poprzestaniemy już tylko na tem, że syn wasz przeprosi pana inspektora Dudina przy wszystkich, i koniec... To tak niewiele...

— Niewiele — przyświadczył mu pan Głuszkiewicz — ale ja stanowczo zdecydowałem się odebrać syna z gimnazjum... Wąsz system, panowie, paczy tylko młodą duszę i zawiele jej krzywdy czyni... A ja nie chcę, by syn mój od dziecinnych lat już miał same cierpienia...

Widząc, że to jest ostateczne postanowienie pana Głuszkiewicza, dyrektor rozłożył rękę i rzekł:

— Nu, tak trudno... Sekretarz wyda panu papiery...

Skinął im na pożegnanie głową pan Głuszkiewicz i wyszedł z kancelarji, odprowadzany złemi, pełnemi nienawiści spojrzeniami... Po jego wyjściu, zawrzało tam, jak w ulu...

A on szedł przez korytarz z głową podniesioną do góry, wśród rozstępujących się gromad uczniowskich, ścigany przez nie szmerem uznania dla czynu syna...

Wieczorem dnia tego był z synem u prof. Kopernickiego, który, wysłuchawszy opowieści jego o przebiegu sądu w gimnazjum, pochwalił w zupełności postępowanie jego.

— A teraz, panie drogi — rzekł — sprawa przedstawia się tak... Pewna osoba, która prosiła, ażeby nazwisko jej pozostało w tajemnicy, ofiarowała stypendjum 300 rb. rocznie dla dobrego ucznia gimnazjum, który z różnych powodów uczyć się w niem nie może, by kształcił się dalej w Krakowie... Sty-

pendjum to przeznaczam dla pańskiego syna, przyczem zaznaczam, że musi wyjechać jaknajprędzej, dopóki się oni nie spostrzegą, i nie poszukają innej drogi do zemsty. Ze swojej strony dam mu parę listów polecających, które mu pobyt w Krakowie i wstąpienie do gimnazjum ułatwią...

Podziękowali gorąco czcigodnemu profesorowi ojciec i syn, a w dwa dni potem Głuszkiewicz, żegnany serdecznie przez przyjaciół, wyjechał do Krakowa...

Wyjechał w samą porę, gdyż w parę dni potem, w nocy, wpadła żandarmerja do mieszkania jego, dopytując się o niego i robiąc rewizję nader skrupulatną...

Nic nie znaleźli, a p. Głuszkiewicz odmawiał im wszelkich objaśnień...

Wyszli zawiedzeni...

Tak mścił się pan Dudin za zniewagę swoją, za zniewagę potężnego państwa rosyjskiego, zadaną przez ucznia „rosjanina i prawosławnego".

XIII.

SAMOBÓJCA.

Smutno było naszym bohaterom, gdy rozstali się z Głuszewiczem... Przez parę lat koleżeństwa przywykli do niego, zżyli się, zwłaszcza, iż myśli ich i poglądy jednakie były... Zwłaszcza Jurek i Kulesza, z którymi razem lekcje pobierali od pana Hołowni, szczególnie odczuli rozstanie się z nim...

Prowadzili z nim jednak korespondencję ożywioną, nie było prawie tygodnia, ażeby nie przyszedł list od niego, lub żeby oni do niego nie pisali... Interesował się on wszystkiem, a zwłaszcza tem, co sę działo u przyjaciół jego, oraz z dziećmi, które uczył...

Gdyż pozostawił je, jakby w spadku, przyjaciołom, i oni

dalej pracę jego prowadzili. Podzielili je między siebie, i codziennie odbywali z nimi lekcje, o postępach ich donosząc w listach Głuszkiewiczowi...

Stowarzyszenie pięciu zmniejszyło się do czterech, pracowało jednak wytrwale dalej, dążąc do zakreślonego celu... Rozszerzały się przed nimi widnokręgi wiedzy i rósł zakres pracy przy nauczaniu dzieci...

Coraz śmielej sięgali do skarbnicy wiedzy, czerpiąc z niej wszystko, co wskazał im pan Hołownia.

Stosunki w gimnazjum poprawiły się o tyle, że pan Dudin zaprzestał napaści swoich na przeszłość Polski, oględniej traktując przedmiot przez siebie wykładany.

Tak dobiegł do końca rok szkolny i nasza czwórka znalazła się w komplecie w piątej klasie.

Z dawnych kolegów ubyło paru, gdyż niektórzy wstępowali do seminarji duchownych, by kształcić się na księży, niektórzy zaś na niej skończyli swe wykształcenie.

Za to spotkali w niej sporą ilość świeżych kolegów, którzy albo pozostali na drugi rok, albo też wstąpili z progimnazjum.

Rozszerzył się też znacznie zakres nauk, przyczem przybyli też i nowi profesorowie.

Nasza czwórka w dalszym ciągu trzymała się razem, zbierając się, jak przedtem, przeważnie u Jurka Szumskiego. Nazywano ich nierozłącznymi i zaczepiano nieraz z tego powodu, lecz oni żartami zbywali tych, którzy im dokuczali, unikając wszelkich starć...

W klasie piątej specjalnie nosa do góry zadzierała partja nygusów, pozując już na dorosłych, a pozę tą wyrażająca paleniem papierosów oraz używaniem wyrazów możebnie najbrutalniejszych, jakby specjalnie dobieranych z ulicznego repertuaru...

Klubem ich ich była ciasna komórka, tuż za bufetem Wasylowej, gdzie zbierali się w tajemnicy, ażeby zaciągnąć się

papierosem, lub też opowiadać sobie przeróżne nieprzyzwoite anegdoty.

Celował w nich specjalnie jeden z drugorocznych, Henryk Bartniak, wyrostek wysokiego wzrostu, o zuchwałej twarzy i bezczelnych oczach, obdarzony wielką siłą.

Specjalnością jego było dokuczanie słabszym, zwłaszcza zaś tym, którzy przykładali się do nauk, lekceważąc sobie i jego i towarzyszów jego...

Codzień im musiał śpłatać jakiegoś figla, przeważnie nader złośliwego, a za specjalny cel dokuczań swoich używał Kuleszę i jednego z świeżo przybyłych uczni, Jurka Lisickiego.

Był to mały, wątły chłopczyna, wyglądający na wstępniaka, o dziewczęcej twarzyczce, skąd nazywano go „panienką". Mimo jednak tego wyglądu swego, należał on odrazu do liczby najlepszych uczniów w klasie, rywalizując z powodzeniem z dotychczasowym prymusem, Mojżeszem Goldmanem...

Celował zaś specjalnie w matematyce, rozwiązując w lot każde zadanie, z łatwością wywijając się z przeróżnych trudności geometrycznych i algebraicznych. I inne przedmioty jednak przychodziły mu z łatwością. Grzeczny, uprzejmy dla wszystkich, jaknajchętniej służył pomocą kolegom, nie uchylając się od objaśnień i wskazówek, gdy który z nich uciekł się o nie do niego. Trzymał się jednak wogóle zdaleka od nich, zwłaszcza od nygusów, nie dając się namówić ani do palenia papierosów, ani na opowiadanie anegdotek...

Stąd też wynikła ta nieprzyjaźń dla niego Bartniaka, przed którego siłą fizyczną nie skłaniał się, tak jak inni... Pochwały, jakiemi darzyli go nauczyciele, podniecały tylko nienawiść Bartniaka, który czekał tylko okazji, ażeby dać mu jawnie i namacalnie uczuć swą siłę...

Aż wreszcie nadarzyła mu się okazja po temu...

Jakimś sposobem dowiedział się on o tem, iż ojciec Kuleszy jest szewcem i całą złośliwość swą wytężył na dokucza-

niu jemu... Nie było dnia, ażeby nie robił przytyków jakichś odnośnie zajęcia jego ojca...

Trzeba było tylko najmniejszego zająknięcia się przy lekcji ze strony Kuleszy, ażeby cichym szeptem biegło ze strony ławki, w której siedział Bartniak:

— Kręci, jak szewc kopytem, — lub: ciągnie jak szewc skórę...

Zacinał zęby Kulesza, nie chcąc wszczynać awantury z takim dryblasem, lecz wreszcie pewnego dnia przebrał miarę Bartniak w dokuczaniu swojem...

Profesor geometrji wyzwał go do tablicy, nakazując objaśnić pewną teorję. Stanął przy niej Bartniak i wziąwszy kredę do ręki kreślić począł przeróżne figury, stawiać litery, gdy zaś nauczyciel kazał mu objaśniać, zaciął się zrazu, lecz potem, nadrabiając miną zaczął pleść duby smalone, plącząc jedno z drugiem, nic jednak nie wiążąc w logiczną całość...

Słuchał go czas pewien cierpliwie profesor, gdy zaś już w pleceniu głupstw przekroczył granicę, uniósł się gniewem i zawołał:

— Próżniaku... nie umiesz lekcji... idź na miejsce...

Z ociąganiem skierował się Bartniak na miejsce, oglądając się, jaki mu stopień postawi nauczyciel, i skrzywił się, gdy zobaczył pałkę...

A tymczasem profesor wyzwał Kuleszę i nakazał mu objaśnić dane zadanie...

Pawełek, ująwszy gąbkę, starł z tablicy tak mozolnie wyrysowaną figurę, poczem nakreśliwszy świeżą, objaśnił i rozwiązał zadanie zupełnie dobrze...

— Bardzo dobrze, — rzekł profesor, stawiając mu piątkę, a potem, zwracając się do Bartniaka, dodał:

— Nu, a ty... zrozumiałeś teraz?... Bierz przykład z Kuleszy, ucz się tak, jak on, a nie zbijaj bąki...

Słuchał go zaczerwieniony z gniewu Bartniak, mrucząc

coś pod nosem, a gdy nauczyciel odwrócił się, pogroził pięścią Pawełkowi...

W czasie pauzy Kulesza pozostał w ławce i utkwiwszy nos w książce, powtarzał następną lekcję.

Podskoczył wtedy do niego Bartniak i schwyciwszy za uszy, z całej siły uderzył o ławkę, wołając:

— Kto jest synem szewca, nic dziwnego, że kuć potrafi.

Krzyknął z bólu Pawełek, a z nosa popłynęła mu krew... Porwał się z miejsca oburzony i byłby się rzucił na awanturnika, gdy schwytał go za ramię Lisicki, mówiąc:

— Daj spokój... nie wszczynaj awantury z łobuzem...

Posłyszał to Bartniak, i przyskakując do niego, schwytał w gniewie za ramię i zawołał:

— Kogo ty nazywasz łobuzem?... ty?...

Lisicki spojrzał spokojnie na niego, i otrząsając z ramienia rękę jego, odrzekł:

— Ciebie... gdyż tak kolega przyzwoity nie postępuje...

— Ja ciebie... ciebie... — syczał przez zęby rozzłoszczony Bartniak, i wznosił już rękę do góry, ażeby go uderzyć, gdy rozległ się dzwonek...

Skupieni wkoło nich chłopcy spiesznie rozbiegli się na miejsca, a jemu ręka opadła...

— Poczekaj, przy wyjściu z gimnazjum porachujemy się, — syknął, i poszedł na miejsce...

Wszedł do klasy profesor Pazuchin, i jedno z pierwszych, co zauważył, był widok Kuleszy, trzymającego przy twarzy zbroczoną krwią chustkę...

— Co ci jest?... — spytał...

Cała klasa zamarła w oczekiwaniu odpowiedzi. Czy rzuci on oskarżenie na Bartniaka? czy poskarży się i przez to wywoła surową karę na awanturnika, czy też zmilczy w obawie zemsty jego...

Pawełek wstał i odrzekł spokojnie:

— Potknąłem się i upadłem, rozkrwawiając nos...

— Idź na korytarz, obmyj się, — rzekł profesor...

Pawełek wstał i wyszedł z ławki, a gdy przechodził koło Bartniaka, posłyszał cichy szept tegoż:

— Dałbym mu, gdyby się poskarżył...

Spojrzał na niego obojętnie i wyszedł... Po jakimś czasie wrócił z zatamowaną krwią.

Lekcje się skończyły i cała klasa wysypała się na korytarz, ciekawa, co teraz nastąpi...

Lecz Bartniak nie zdradzał żadnych zamiarów zaczepnych, tylko ubrawszy się spiesznie, wybiegł na ulicę... Lisicki, jak zwykle, włożył szynel, zarzucił tornister i spokojnie, powoli wyszedł z gimnazjum, kierując się do domu... Towarzyszyli mu Jurek Szumski, Kulesza i Kański...

Szli, rozmawiając z ożywieniem, gdy naraz na rogu jednej z ulic z za węgła domu wybiegł Bartniak, i rzuciwszy się na Lisickiego, uderzył go z całej siły pięścią w głowę, tak że się przewrócił, i pobiegł dalej, wołając:

— Masz za łobuza!...

Chcieli biedz za nim towarzysze Lisickiego, by pomścić krzywdę kolegi, lecz tenże, podnosząc się z ziemi i otrzepując z błota szynel i czapkę, zatrzymał ich, mówiąc:

— Dajcie spokój... nie wypada nam na ulicy wszczynać walkę z łobuzem... Ubliżylibyście tem tylko sobie...

Posłuchali go i spokojnie poszli dalej...

— To przezemnie, — rzekł do Lisickiego Pawełek, ściskając mu z wdzięcznością dłoń...

— Niekoniecznie, — odrzekł mu ze śmiechem tenże — Bartniak już od dłuższego czasu cierpi coś do mnie i szuka okazji, ażeby mi dokuczyć. Zdaje się, jednak, że to już ostatni raz...

Pożegnali się.

A następnego dnia rano, gdy wszyscy zebrani byli w klasie, przed rozpoczęciem lekcji, Lisicki podszedł do Bartniaka i rzekł dobitnie:

— Słuchaj... wczoraj, jak łobuz, napadłeś na mnie znienacka na ulicy i przewróciłeś... Na ulicy, przy wszystkich, nie chciałem się z tobą bić, lecz jeżeli chcesz, zmierzymy się z sobą gdzie na uboczu... Wtedy przekonamy się, czyś naprawdę taki zuch...

Słuchali go wszyscy ze zdumieniem, gdyż wyglądał jak karzeł przy olbrzymim Bartniaku, tym dziwniejszem też wydało się wyzwanie jego...

Zdumiał się niem i sam wyzwany, patrzał na „panienkę", łypiąc oczyma, wreszcie odrzekł:

— Dobrze... a gdzie?...

— Omówimy to w wielką pauzę...

Rozpoczęły się lekcje, lecz wszyscy piątoklasiści słuchali ich z roztargnieniem, będąc pochłonięci spodziewanym pojedynkiem małego Lisickiego z wielkim Bartniakiem... W czasie pauz krzyżowały się zdania, tworzyły się partje za każdym z zapaśników, przyczem większość była za Bartniakiem. Przy Lisickim stała tylko szczupła gromadka przyjaciół jego...

— Zgniecie go, jak nic, — dowodzili stronnicy Bartniaka, na co znów strona przeciwna odpowiadała:

— Nie wiadomo... Nie zawsze ten, kto wielki, musi być silniejszym...

W czasie wielkiej pauzy omówiono ostatecznie warunki spotkania, które się odbyć miało na placu Ujazdowskim, zaraz po lekcjach...

Tłumy uczniów pociągnęły dnia tego po lekcjach na plac Ujazdowski, miejsce zwykłych zabaw uczniowskich... Napróżno rodzice oczekiwali dnia tego na synów swoich z obiadem, niepokojąc się, że zajść musiało coś ważnego...

Nie tylko piąta klasa tam się znalazła, ale i inne klasy, na wieść o mającym się odbyć pojedynku, z ciekawości pociągnęły tam...

Utworzyło się wielkie koło, w środku którego stanęli

obydwaj zapaśnicy bez szyneli i bluzek, których pilnowali ich przyjaciele.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, poczem rzucili się na siebie... Zaraz z samego początku uwidoczniły się różnice, istniejące pomiędzy nimi. O ile Bartniak był duży i silny, o tyle znów Lisicki był zwinny i wygimnastykowany. Wywijał się też zręcznie od uderzeń jego, natomiast sam skakał w około niego bez przerwy, atakując coraz z innej stron.

Z musu musiał przybrać Bartniak postawę obronną, zasłaniając się przed uderzeniami „panienki", i napróżno siląc się dosięgnąć go długiemi rękoma. Zmęczył się też, zziajał, zdyszał, a pot lał się z niego strumieniami, podczas gdy Lisicki skakał wkoło niego napozór niezmęczony.

Walka przeciągała się, Bartniak machał rękoma zmęczony już porządnie, aż wreszcie potknął się i jak długi runął na ziemię... Lisicki jednym skokiem znalazł się na nim i z całej mocy przytrzymał go, tak, że nie mógł się podnieść.

Próżno Bartniak, poczerwieniały z wysiłku i gniewu, chciał zrzucić go z siebie i porwać się z ziemi. Trzymały go mocne, stalowe ramiona Lisickiego, który wreszce zeskoczył z niego, przywitany gromkiemi oklaskami i okrzykami kolegów.

Pokonany Bartniak powoli podnosił się z ziemi, zawstydzony porażką swoją, a Lisicki zbliżył się do niego i rzekł, podając mu rękę:

— Proszę cię, bądźmy przyjaciółmi...

Patrzał na niego z podełba Bartosiak, mrucząc pod nosem:

— Taka pchła i tyle ma siły...

Podał mu jednak rękę i ubrawszy się spiesznie, czemprędzej opuścił pole walki.

A towarzyszyły mu drwiące okrzyki kolegów, radych z upokorzenia jego:

— Dobrze mu tak... dobrze... nie będzie się rzucać... nie

będzie gnębić słabszych... Taki malec a powalił takiego olbrzyma...

I z uczuciem jakiegoś tajonego szacunku patrzeli wszyscy na Lisickiego, który w milczeniu ubierał się, poczem w towarzystwie Jurka, Kuleszy i Kańskiego czempredzej poszedł do domu.

Następnego dnia w klasie przywitano zwycięzcę szmerem uznania, a wszyscy patrzeli na niego z nietajonem szacunkiem...

Lisicki zaś, wszedłszy do klasy przedewszystkiem podał rękę Bartniakowi i zasiadł na swojem miejscu, nie odpowiadając nawet na zapytania kolegów w sprawie walki.

Lecz wypadek ten wpłynął na zacieśnienie węzłów przyjaźni między czwórką naszych przyjaciół a Lisickim.

Jurek parokrotnie zaprosił go do siebie, przyczem prowadzili rozmowy na temat czytanych książek, aż wreszcie wyznał mu wszystko...

Słuchał go Lisicki z zajęciem, poczem rzekł:

— Toście wy tacy chwaty... I jeszcze się pytasz, czy będę należeć do was... Ależ jaknajchętniej, tylko bym wprowadził pewne zmiany...

— Jakie?... — spytał go ciekawie Jurek.

— Zakres pracy waszej, obejmujący tylko szczupłe grono was i uczni waszych, nie zadowolnił by mnie... pragnąłbym jaknajszersze zatoczyć koło, jaknajwiększą liczbę kolegów przyciągnąć do siebie...

— Więc coby należało zdaniem twojem zrobić?... — pytał dalej Jurek.

— Wciągnąłbym do naszego stowarzyszenia jaknajwiększą liczbę kolegów, takich, którzy by pewni byli, których by nie potrzeba było się obawiać, że zdradzą... Wytworzyłbym razem z nimi towarzystwo samokształcenia, co czynicie teraz we czterech... W ten sposób praca wasza wydałaby obfitsze owoce...

Zastanowił się chwilę nad tem Jurek, poczem zawołał rozpromieniony:

— Znakomita myśl... Musimy się zaraz przy twojej pomocy zabrać do wcielenia jej w czyn...

— Powoli... powoli... — zauważył ze śmiechem Lisicki— taką rzecz trzeba przeprowadzić nader oględnie, ażeby się nie wsypać... Rozejrzymy się między kolegami, i stopniowo będziemy ich dopuszczać do naszego grona...

Projekt ten spotkał się z uznaniem również i ze strony pozostałych trzech sprzysiężonych, i z zapałem zabrali się do pracy.

Badali kolegów, wybierali z pośród nich takich, którzy wydawali się im najodpowiedniejsi...

A przytem przybyło im też pracy przy studjowaniu, gdyż pewnego dnia zjawił się u Jurka jakiś młody człowiek, który doręczając mu paczkę książek, rzekł:

— Od pana Głuszkiewicza z Krakowa...

Dziękował mu szczerze Jurek, zapraszał do siebie, lecz oddawca przeprosił, że musi się spieszyć i tylko oświadczywszy że za tydzień wyjeżdża z powrotem, ofiarował się zabrać z sobą list do Głuszkiewicza.

Drżącemi rękoma przerwał Jurek opakowanie paczki, z której wypadło kilka książek i broszurek, traktujących o różnych sprawach społecznych, a zabronionych przez cenzurę rosyjską.

Błyszczącemi oczyma przeglądał je, odczytując tytuły, poczem zabrał się do czytania listu Głuszkiewicza. Pisał on:

„Kochani koledzy. Korzystam ze sposobności, ażeby przesłać wam trochę książek i broszurek, które u was surowo są zakazane, a otwierają nowe zupełnie horyzonty. Rzucają one zupełnie inne światło na wiele kwestji, wprowadzając radykalny przewrót w dotychczasowe pojęcia... U was tych rzeczy nie wolno poruszać, nie wolno nawet myśleć o nich, gdyż dławi was ciężka łapa policyjna, łapa, dławiąca wszelką

wolną i śmiałą myśl, odbierająca jej polot i swobodę... U nas inaczej. U nas praca wre, zdania się ścierają, kipi życie... Tu dopiero, w kraju wolnym, czuje się, że człowiek żyje, że nie jest maszyną, wtłoczoną w ciasne mury przepisów policyjnych....

Inaczej się u nas oddycha, gdy nie czuje się nad sobą różnych panów Dudinów, Woskobojnikowych, Pazuchinych i innych...

Szczerze jestem wdzięczny czcigodnemu panu Kopernickiemu, że dał mi możność wyrwania się z tej dusznej atmosfery gimnazjalnej, że pozwolił mi rozwinąć skrzydła do szerszego lotu... Żal mi tylko was... chwilami strasznie mi tęskno za wami i tylko mi do szczęścia brakuje tego, żebyście wy byli razem ze mną...

Pocieszam się jednak myślą, że te kilka lat upłynie prędko, i że wrócę do was, wrócę, by dla Ojczyzny pracować... Gdyż to jest obecnie jedyną myślą moją... o tem wciąż marzę i do tego dążę...

Ojczyzna nasza, pozostająca pod uciskiem moskiewskim, potrzebuje koniecznie pracowników, którzyby, pracując gorliwie wśród ludu, rozbudzili w nim świadomość narodową, budząc ducha, nie pozwolili mu zginąć w ciemnocie...

Rozbudzajcie tę myśl wśród najszerszych kół kolegów... uświadamiajcie wszystkich, kogo się da, że tylko przez oświatę dojść można do dobrobytu, a przezeń do potęgi i mocy narodowej...

Studjujcie przesłane wam książki a zdrowy rozum wskaże wam jasno, w jakim kierunku iść powinniście. Są one różnej wartości, to też musicie pracować nad nimi poważnie, ażeby odnieść rzetelną korzyść...

A przedewszystkiem nie dajcie się złapać na lep frazesu tak szkodliwego w pracy... Sięgajcie jaknajgłębiej, do samej treści tych prac, i wybierajcie z nich to, co wam rozum wskaże, jako najlepsze...

Mam teraz możność prowadzenia z wami korespondencji z pominięciem poczty, co jest dużo bezpieczniejszem, gdyż wiadomo dobrze, iż poczta rosyjska bacznie odczytuje wszelkie listy, zwłaszcza idące z Krakowa i do niego...

Będę mógł pisać obszerniej i śmielej, a tą samą drogą i wy będziecie mogli przesyłać mi odpowiedzi. Przy następnej okazji prześlę wam znów trochę książek, tylko, na miłosierdzie Boskie, bądźcie ostrożni z nimi, gdyż w razie wpadnięcia w łapy policji, byłoby źle z wami...

Cóż wasze stowarzyszenie?... Czy rozwija się. Rozszerzajcie je jak można najbardziej, przyjmujcie nowych a pewnych towarzyszy, gdyż pracowników dla dobra Ojczyzny nigdy nie jest za dużo...

Uściskaj odemnie wszystkich przyjaciół, i powiedz, że choć daleki, myślą zawsze jestem z wami...

Odpiszcie mi jaknajprędzej tą samą drogą i pamiętajcie o waszym koledze, Janku Głuszkiewiczu.

P. S. Profesorowi Kopernickiemu złóż odemnie wyrazy najgłębszej czci i szacunku. Czem ja się odwdzięczę za to wszystko, co dla mnie zrobił. Chyba usilną pracą dla dobra społeczeństwa.

Twój J. Głuszkiewicz.

Odczytał ten list Jurek i natychmiast zabrał się do przeglądania przysłanych książek... Z płonącą głową odczytywał je, zagłębiał się w wygłaszane przez nie myśli i zdania.

A były one blizkie sercu jego, znajdowały w nim oddźwięk, gdyż głosiły o świetnej przeszłości Polski, o męczeństwie jej, o mękach, jakie znosiła od moskali, oraz o zadaniach ogólno-ludzkich, o niesieniu pomocy maluczkim i uciśnionym... o równości ogólnej i poprawie bytu tych wszystkich, którzy pracując w pocie czoła, w nędzy i ucisku żyli...

Rzucane przez nie hasła nowemi dla niego były, z za-

pałem też odczytywał je, chłonąc wrażliwą duszą, pojąc się niemi, jak kwiat rosą...

A wszystkie one wydały mu się tak wzniosłemi i szczytnemi, że ślubował już uroczyście iść w ich ślady, trzymać się ich wiernie i za przykazania życiowe uważać, gdy naraz wspomniał sobie słowa listu Głuszkiewicza, że trzeba przy studjowaniu ich sięgnąć jaknajgłębiej, wnikać w treść samą, a nie dać się złapać na lep frazesu...

Ochłonął też trochę i zdecydowawszy się odłożyć czytanie i studjowanie tych dzieł na czas późniejszy, ulokował je tymczasem w miejscu bezpiecznem od czujnego oka profesorów, rewidujących mieszkania uczniów, gdyż w bibljotece ojca...

Całą noc jednak nie spał, rozmyślając nad tem, co czytał, co przy przerzucaniu tych książek pochwycić zdołał...

A rano, w gimnazjum, przedewszystkiem podzielił się z przyjaciółmi wiadomością o otrzymanych od Głuszkiewicza liście i książkach...

— Dziś wszyscy musicie przyjść do mnie — mówił do przyjaciół sprzysiężonych — musimy zabrać się do studjowania tych nowych dla nas nauk, a zarazem opracować odpowiedź Głuszkiewiczowi...

Wieczorem zebrali się wszyscy w pokoiku Jurka, a Lisicki przyprowadził z sobą jednego z kolegów, Kazimierza Zielińskiego.

Był to chłopiec mizerny, wątły, wiecznie jakby załękniony, trzymający się zdaleka od wszystkich, i przez to obdarzony przezwiskiem „mruka“.

Rzecz szczególna, iż mimo spokoju jego, mimo najprzykładniejszego zachowania się, nie cieszył się on sympatją nauczycieli rosjan, prześladujących go za byle co. Szczególnie znęcali się nad nim wprost pp. Dudin i Pazuchin, znajdujący w nim bierny cel dla swoich złośliwości...

Stępiał już na nie jakoś, tylko wyzwany do lekcji, za-

cinał się, a obsypany gradem docinków i epitetów, słuchał ich z opuszczoną na piersi głową, nie negując na nie zupełnie, nie broniąc się. Lecz cisnące się do gardła łzy tamowały głos, nie pozwalały nawet wyrzec i słowa, tak, że dostawał złe stopnie, mimo, że lekcje umiał dobrze...

Uważany też był za jednego z najgorszych uczniów i dzięki swej nieśmiałości był lekceważony przez kolegów, tak, że jeden tylko Lisicki żył z nim bliżej, i bronił przed dokuczaniem nygusów...

— Przyprowadzam wam Mruka — zawołał od proga Lisicki, wpychając gwałtem Zielińskiego do środka — z trudem musiałem go tu ściągnąć, wprost, literalnie, za kołnierz go wlokłem, tak mi się wyrywał...

Przywitali go serdecznie koledzy, zapraszając do zajęcia miejsca. Rozpoczęła się dysputa, której Zieliński przysłuchiwał się z zajęciem. Jurek przedstawił kolegom otrzymane od Głuszkiewicza książki, poczem zaczęto się naradzać, w jaki sposób przestudjować je jaknajstaranniej.

Nie mogli dojść do zgody, zdania się ścierały, a każdy proponował co innego. Wreszcie rozległ się nieśmiały głos Zielińskiego:

— Przepraszam — rzekł — czy to nie byłoby dobrze tak...

Tu zaciął się, płonąc rumieńcem, aż Lisicki zachęcił go, mówiąc:

— No, Kaziek, tylko śmiało...

— Widzicie, ja myślę, że byłoby najlepiej, ażeby każdy z nas wziął teraz po jednej książce, przeczytał ją uważnie i zdanie o niej napisał w kajeciku, następnie brał drugą, trzecią i t. d. W ten sposób każdy by przestudjował wszystkie książki i wyraził o nich myśl swoją i zdanie... A później byśmy zebrali się razem i wspólnie nad każdą z książek przeprowadzili dyskusję...

Umilkł, a Lisicki pierwszy wykrzyknął:

— Brawo, Mruk!... wyśmienita myśl... w ten sposób znakomicie zaznajomimy się z treścią tych dzieł... Ja pierwszy głosuję za jego projektem...

Przyłączyli się do niego pozostali, i zaraz książki podzielone zostały między uczestników stowarzyszenia...

Napisano też zbiorową odpowiedź Głuszkiewiczowi i wszyscy rozeszli się, umawiając się, że zbiorą się za trzy dni...

Lecz zebraniu temu przeszkodził tragiczny wypadek...

W ostatnich czasach prześladowania Zielińskiego ze strony prof. Pazuchina dosięgły szczytu. Nie było dnia, ażeby nie wyzywał go do lekcji, a naznęcawszy się nad nim, stawiał mu zły stopień...

— Nu, — mówił, stawiając mu pałkę — ty, Zieliński, jesteś największym osłem ze wszystkich... Nie wiem, co ojciec twój powie, gdy zobaczy cenzurę udekorowaną samemi pałkami...

Wracał na miejsce biedny Zieliński, łykając łzy i drżąc z trwogi... Gdyż ojca swego bał się rzeczywiście bardzo.

Był to człowiek prosty, majster ślusarski, nie chcący zupełnie wnikać w stan psychiczny syna, i bijący go okrutnie za każdy zły stopień...

To też potęgowało bojaźliwość Zielińskiego, który literalnie drżał na myśl o tem, co czekało go w domu, gdy przyniósł złe stopnie...

Nikt z kolegów o tem nie wiedział jednak, gdyż krył się z tem przed nimi.

Tylko jednemu Lisickiemu zwierzył się raz w przystępie szczerości, na parę dni przed otrzymaniem cenzury:

— Gdy mi postawią pałki z rosyjskiego i historji na cenzurę — zabiję się... Za nic w świecie ne pójdę z nią do domu...

Spojrzał na niego Lisicki i uderzył go pełen bólu i tępej rezygnacji wzrok Zielińskiego. Probował pocieszać go, tłomaczył mu i perswadował, przepowiadał z nim razem lekcje, tak, że umiał je znakomicie. Lecz cóż, wywołany Zieliński,

zasypany gradem pytań podstępnych, krętych, a przytem i różnemi dowcipami prof. Pazuchina, zaciął się i nie mógł na nie odpowiedzieć... Tylko łzy gradem z oczu mu spływały...

Z drwiącą a zarazem tryumfującą miną spojrzał na niego prof. Pazuchin, poczem rzekł:

— Siadaj, ośla głowo... Masz pałkę na cenzurę, a ojciec za to wyprawi ci święta...

Chwiejąc się na nogach, wrócił Zieliński na miejsce i siedział tam z twarzą ukrytą w dłoniach, wstrząsany spazmatycznym płaczem, czem wzbudzał litość nawet najzaciętszych nieprzyjaciół swoich między kolegami...

Takaż sama historja powtórzyła się i na lekcji historji. Pan Dudin zasypał go takim gradem pytań, taką powodzią dat i imion, że zaplątał się w nich, i mimo, że umiał lekcję bardzo dobrze, mylił się co chwila, zwłaszcza, iż inspektor drwił z niego i coraz dokuczał jakimś epitetem...

Dostał znów pałkę i odesłany został na miejsce. Tym razem jednak nie płakał... Wracał na miejsce na pozór spokojnie, lecz pobladły bardzo, z wzrokiem, w którym błyszczała jakaś determinacja...

Próżno Lisicki, Szumski, Kulesza, Kański i inni starali się go pocieszyć uspakajali go, mówiąc, iż pójdą do ojca i przedstawią mu cały stan rzeczy.

Potrząsał tylko głową, odpowiadając krótko:

— To się stać musi...

Spokojnie napozór udał się do domu, a wieczorem zgłosił się do Jurka, odnosząc mu książkę, wziętą do przeczytania.

Zapraszał go Jurek, aby posiedział trochę, wciągał go do rozmowy, lecz Mruk podał mu rękę, uścisnął ją gorąco i rzekł mu:

— Żegnajcie!... — wybiegł szybko.

A następnego dnia rano wpadła matka jego, z płaczem i lamentem, dopytując się, czy go niema w gimnazjum, czy go który z kolegów nie widział.

Struchleli wszyscy, słysząc to jej pytanie, a Lisicki przypomniał sobie to, co mówił mu Zieliński... Pobladły, pełen najstraszniejszych przypuszczeń pobiegł do profesora Kopernickiego i opowiedział mu wszystko szczegółowo. Zmarszczył brew profesor, zamyślił się, poczem rzekł krótko:

— Tak... mogła go do tego doprowadzić złość nauczycieli i bezwzględność ojca...

— Lecz co robić, panie profesorze, co robić?... — pytał gorączkowo Lisicki...

— Trzeba szukać... szukać na wszystkie strony... Może to, czego się wszyscy obawiamy, nie stało się jeszcze...

I z całą energją, pomimo lat sędziwych, czcigodny profesor stanął na czele poszukujących Zielińskiego. Porozumiał się przedewszystkiem z matką zrozpaczoną, polecając się dowiedzieć o niego u znajomych i rodziny, sam zaś z najbliższymi przyjaciółmi zaginionego, biegał po szpitalach i cyrkułach policyjnych, dopytując się o niego.

Napróżno jednak. Cichy, milczący Zieliński zginął zupełnie, wpadł jak kamień w wodę, bez najmniejszego śladu...

Próżno nawet ogłaszano w pismach o nim, nikt nie dawał najmniejszej wiadomości...

I oto Mruk stał się bohaterem dnia w gimnazjum. Mówiono tylko o nim, rozwodzono się nad nim, robiono z niego męczennika...

Zrozpaczony ojciec jego biegał wraz ze wszystkimi po mieście, szukając go, a gdy zjawił się u prof. Kopernickiego, wybladły, z oczyma błędnemi i zaczerwienionemi od płaczu, zdjęła nad nim litość zacnego profesora, który rzekł:

— Widzi pan, panie drogi, jak to źle być surowym. Biciem z dziecka nic się nie zrobi, tylko takich można doczekać się rezultatów...

— O... panie profesorze — jęczał zbolały ojciec — wszystko bym mu oddał, byle tylko wrócił... Nie tknął bym się

palcem tego złotego chłopaka, bylem tylko miał znów go przy sobie...

— Tak — bąkał gniewnie profesor — teraz to złoty, a przedtem to baty zastępowały mu pieszczotę ojcowską... Trzeba było wcześniej pomyśleć o tem...

W poszukiwaniach Zielińskiego czynny udział wzęili i profesorowie Dudin i Pazuchin, którym, być może, sumienie czyniło wyrzuty z racji ich okrutnego prześladowania nieszczęsnego chłopca...

Złagodnieli dziwnie, stali się nadzwyczaj dobrzy w stosunku do uczni, jakby chcąc zatrzeć w ich opinii swoje postępowanie z Zielińskim...

Mimo to jednak w niejednem spojrzeniu czytali niemy wyrzut, a nieraz, z gromady skupionych uczni biegły do nich strasznem oskarżeniem wyrazy, nie wiadomo przez kogo rzucone:

— Kaci!... Dręczyciele!...

I biegali sami do władz, by skłonić je do gorliwych poszukiwań, przeznaczyli nawet nagrody za odszukanie zaginionego żywym lub umarłym...

Napróżno to jednak...

Aż wreszcie po trzech tygodniach takich gorliwych poszukiwań Zieliński się znalazł...

Znalazł się na brzegu Wisły, wyrzucony przez fale...

W roku tym ciepło zrobiło się wcześnie i już w początkach stycznia lody puściły, a spienionem korytem rzeki gęsto płynęła kra...

Jeden z rybaków na Bielanach poszedł zarzucić sieci, by spróbować szczęścia w połowie, i na drugi dzień o świtaniu wyciągnął je, obciążone bardzo...

Lecz próżną była radość jego z obfitego połowu... W sieci zamiast spodziewanych ryb, znalazł zwłoki chłopca, w mundurku gimnazjalnym... Złożył je na brzegu i pospieszył zawiadomić o tem władze...

Nie było przy chłopcu żadnych dowodów, żadnych papierów, tylko z numeru gimnazjum na klamrze paska, można się było domyśleć czegoś...

Pomimo ferji świątecznych dano znać do gimnazjum i na brzeg Wisły podążyli natychmiast dyrektor i inspektor Dudin.

W zepsutych już przez długie leżenie w wodzie zwłokach, poznali Zielińskiego.

A więc w ten sposób zakończył on porachunki z życiem.

Wieść o znalezieniu zwłok rozeszła się po mieście lotem strzały i wkrótce przy nich zebrała się gromada ciekawych. Przybiegli i rodzice Zielińskiego i w głuchej rozpaczy rzucili się na zwłoki syna. Matka jego wprost wyła z bólu, tuląc do piersi mokre, zimne ciało...

Rozglądała się w rozpaczy wokoło, aż wreszcie wzrok jej padł na stojącego nieopodal pana Dudina... Porwała się z miejsca, jak lwica rozjuszona, i rzucając się do niego, wołać jakby w szale zaczęła:

— Precz stąd... morderco... nie kalaj zwłok jego... precz.... zabójco... niech Bóg was ciężko skaże za mego Kazia... Zczeźnijcie wszyscy, przeklęci, dręczyciele... kaci...

I w szalonej rozpaczy rzucała się na zwłoki, tuląc je do siebie, przyzywając najsłodszemi imionami, odpychając wszystkich, co ją od nich odciągnąć chcieli...

Pan Dudin z dyrektorem przezornie wycofali się, zwłaszcza, że na skutek słów zrozpaczonej matki, zebrani wokoło ludzie coraz głośniej na nich spoglądać zaczęli...

Zwłoki nieszczęsnego samobójcy złożono w trumnie i przewieziono do Warszawy, celem pogrzebania...

Tłumy ludzi brały udział w pogrzebie, a uczniowie gimnazjum stawili się wszyscy, tak samo, jak i nauczycielowie. Tylko ani pan Dudin, ani pan Pazuchin nie znajdowali się w orszaku pogrzebowym...

XIV.

W OGNIU PRZEŚLADOWAŃ.

Rok minął dla naszych młodzieńców niespostrzeżenie. Rok pracy wytężonej, rok bólu i cierpień, oraz nadziei złudnych...

Ciężkim ciosem dla nich była śmierć samobójcza Zielińskiego, która wogóle jakieś dziwnie przygnębiające wrażenie wywarła na wszystkich...

Przyniosła ona, coprawda, tą korzyść wszystkim w gimnazjum, iż, jakby przerażeni nią, profesorowie zaprzestali gnębienia i znęcania się nad słabszymi i uboższymi uczniami, złagodnieli jakoś, stali się wyrozumialszymi.

Złagodniały też i rewizje po mieszkaniach, tylko jedne prześladowania języka polskiego pozostały bez zmiany...

Drugim ciosem, znacznie cięższym dla ogółu uczniowskiego, była śmierć zacnego profesora Kopernickiego...

Sędziwy pedagog, z punktualnością zegara przychodzący na lekcje, pewnego dnia majowego nie zjawił się. Po gimnazjum rozeszła się wieść, że jest chory, i tegoż samego jeszcze dnia Kulesza i Lisicki, należący do ulubionych uczniów jego, wybrali się z odwiedzinami, by przekonać się o stanie zdrowia jego.

Do mieszkania wpuściła ich stara służąca, na której twarzy wyczytali troskę jakąś i zmartwienie straszliwe...

Spytali ją cicho o zdrowie profesora, na co im odrzekła:

— Chory jest... bardzo chory... Dziś rano upadł, gdy chciał wstać, by iść do gimnazjum. Z trudem przeniosłam go na łóżko... Leży w gorączce i nie chce zgodzić się na wezwanie doktora...

Zmartwieni szczerze, chcieli już odejść, gdy z pokoju profesora dobiegło ciche wołanie.

Wzywał służącej.

Pobiegła tam, a po chwili wróciła, mówiąc, iż profesor woła ich do siebie...

Weszli pocichu, by hałasem nie mącić spokoju, potrzebnego choremu i ujrzeli w pokoju, zastawionym szafami z książkami, spoczywającego na łóżku profesora...

— Jak się macie, chłopcy — przywitał ich wesoło — cóż, przyszliście przekonać się, jak prędko chory wróci do klasy, by nękać was extemporaliami...

Chłopcom na te słowa łzy zakręciły się w oczach...

— Panie profesorze — zaczął Lisicki.

Lecz profesor roześmiał się i rzekł:

— No, no... nie bierzcie tak tego do serca... Zażartowałem sobie... Wiem, że z was dobrzy chłopcy, że kochacie mnie tak, jak i ja was kocham... Ha, widzicie, leżę i ruszać się nie mogę, choć serce wyrywa się tam do was, do moich kochanych chłopaków... Cóż, starość nie radość... Czas już staremu wybierać się na tamten świat... Czuję to, i nie to mnie boli, tylko to, że miejsce moje zajmie obcy, który was gnębić będzie, a naukę używać jako środek wynaradawiający...

Zmęczony długiem mówieniem, zakasłał się profesor, lecz odpocząwszy, ciągnął dalej:

— Niewielu nas jest... niedobitków... ostatnich mohikanów, co jeszcze dawnej tradycji się trzymamy, co w obcej nawet szkole, w ogniu ucisku staramy się podtrzymać w was, pomimo zakazów, polskiego ducha... To też wrogowie nasi czekają tylko na chwilę śmierci naszej, by zająć placówki nasze... I nas coraz mniej, coraz mniej, a oni mnożą się z dniem każdym, silni przemocą, by prowadzić dalej swą pracę niszczycielską, by wynaradawiać młodzież i do odstępstwa ją nakłaniać...

Odetchnął głęboko profesor, a po chwili ciągnął dalej:

— Myśmy stawili im opór... broniliśmy was przed ich

zakusami, lecz co się stanie, gdy my ustąpimy, gdy zejdziemy z placu, a oni nasze miejsca zajmą?...

Troska mnie przejmuje i rozpacz, gdyż widzę coraz głębszą przepaść, roztwierającą się przed narodem naszym... Czy młodzież nasza potrafi się oprzeć zakusom wrogów, czy powstrzyma się na skraju przepaści, do której ciągną ją wrogowie?... Boże... Boże... — cichym jękiem wybiegło z ust zbolałego starca.

Lisicki i Kulesza słuchali go z uwagą i z bólem serdecznym. Serca im się krajały na widok tej męki dusznej, jaką przeżywał zacny profesor...

I oto Lisickiemu dobry duch jego podszepnął myśl pewną, która miała być balsamem ulgi dla zbolałej duszy chorego... Podsunął się do zgorączkowanego pedagoga i cicho, lecz dobitnie mówić zaczął:

— Panie profesorze... niech pan się nie martwi... Nie zdołają moskale nas wynarodowić, nie udadzą się im zamachy na dusze młodzieży polskiej... Mimo wszystko polską ona pozostanie... I im bardziej oni nas prześladują, tem gorętsza praca kipi w podziemiach... Tam też jest nadzieja Polski, tam jej życie całe... I wpływ tych podziemi, wpływ domu broni dusze nasze od zatraty, do której ciągną nas moskale... I przyjdzie czas, że złe ustąpić będzie musiało, że przemoc pokonaną zostanie, a wtedy z podziemi bujne a piękne zakwitnie życie...

Słuchał go profesor, zda się nie wierząc uszom swoim, uśmiech jakby szczęścia zakwitł na ustach jego, poczem spytał:

— Jakto?... więc wy?...

— My pracujemy w tajemnicy nad sobą, ażeby tylko nie dać moskalom znieprawić dusz naszych; w ukryciu pielęgnujemy święte przykazania dziadów naszych, i uprawiamy grunt, na którym, da Bóg, wzejdzie obfity plon narodowy...

I cicho, szeptem, jakby zwierzając choremu największą tajemnicę, opowiadać mu zaczął o sprzysiężeniu pięciu, o pra-

cach, jakie ono prowadziło, o nauce biednych dzieci i samokształceniu...

Słuchał go starzec, a w miarę opowieści oczy jego coraz żywszem płonąć zaczęły ogniem, coraz promienniejszy uśmiech wykwitał na ustach jego... Słuchał go, chłonąc każde niemal słowo, a gdy skończył, rzekł starzec:

— Boże, dziękiż ci... Niezaginie Polska, gdy takich ma synów... Imię jej nie będzie wymazane z karty świata a przetrwa na wieki... W ogniu niewoli zahartuje się i skrzepnie na nowe próby i doświadczenia, po których, być może, słońce wolności dla narodu zajaśnieje... Błogosławię was na tą pracę... Rozszerzajcie ją jaknajbardziej, gdyż dobrą ona jest i świętą...

Skończył mówić profesor i odpoczął chwilę, poczem rzekł znów:

— Idźcie już, chłopcy... idźcie... niech was Bóg prowadzi... a pamiętajcie o starym... zachodźcie od czasu do czasu, a gdy mnie nie stanie, pomnijcie, iżbyście szli dalej drogą, którą teraz kroczycie, bądźcie wytrwali na niej i nie cofajcie się przedwcześnie...

Pożegnali go i wybiegli wzruszeni.

Czuli, że coś ściska im gardła i łzy z oczu wyciska na myśl, że mogą utracić go, że śmierć może go zabrać...

I od tego dnia na zmianę codziennie odwiedzali starego profesora, dowiadując się o jego zdrowie, spędzając przy nim po parę godzin, opowiadając wszystko, co działo się w gimnazjum, czem się gorąco interesował.

Opowiadali też mu szczegółowo wszystko, o swoich uczniach, do czego który z nich miał zdolności, zasięgali rady i wskazówek jego w niektórych sprawach, dotyczących samokształcenia.

Gawędził z nimi wesoło profesor, żartował nieraz, udzielał rad, zdawało się, że w takich chwilach czuje się zdrowszym, odzyskuje siły... Lecz to było tylko złudzenie... Choroba czyniła coraz większe postępy, pożerając wycieńczony

Na progu ukazał się p. Dudin a za nim policja.

starczy organizm, aż wreszcie pewnego dnia, gdy Jurek przyszedł do niego z Kuleszą i Kańskim, zatrzymała ich w przedpokoju zapłakana służąca, mówiąc szeptem:

— Proszę zaczekać... Ksiądz jest u pana... czuje się bardzo źle...

Zatrzymali się pobladli, drżąc ze wzruszenia, przejęci tem, co się działo tam, za drzwiami...

Czekali długo, aż wreszcie drzwi się otworzyły i ukazał się w nich stary ksiądz prefekt, wzruszony, z oczyma zaczerwienionemi od łez. Dojrzał skupionych w kącie przedpokoju chłopców i rzekł do nich:

— Ach, to wy, chłopcy... Idźcie... idźcie, pożegnać się ze starym waszym profesorem...

Wzruszeni weszli do pokoju i podeszli do łóżka chorego. Pogodnem spojrzeniem przywitał ich, uśmiechnął się słabo, poczem rzekł:

— Dobrzy chłopcy... No cóż, przyszedł już czas... wołają już starego... Pamiętajcie o nim i czyńcie dalej służbę swoją... Niech was Bóg błogosławi...

Tłumiąc wydzierające się gwałtem z piersi łkania, podeszli do niego, by ucałować ręce jego, a on błogosławił ich na dalszą drogę żywota...

Wyszli, by nie mącić spokoju jego, a dopiero w bramie wybuchnęli rzewnym płaczem...

Czuli, że już więcej nie zobaczą zacnego profesora, nie posłyszą słów jego i nauk...

I przeczucie nie omyliło ich...

Następnego dnia zrana stara sługa dała znać do gimnazjum, że profesor Kopernicki w nocy życie zakończył...

Rzesze uczniowskie wiadomość o tem przyjęły z niekłamanym smutkiem... Z niejednych oczu łzy gradem popłynęły, z niejednej piersi wydarł się jęk niekłamanego bólu...

Dnia tego lekcje szły nadzwyczaj kulawo, a po skończeniu ich gromady uczniowskie podążyły do domu profe-

sora, by po raz ostatni spojrzeć na zwłoki jego, by dowiedzieć się o dniu pogrzebu.

A on spoczywał na łożu swojem, otoczony umiłowanemi księgami, pogodny, cichy, z uśmiechem zastygłym na twarzy, trzymając w ręku obrazek z Częstochowską Panienką...

Stara sługa przyodziała go do trumny, lecz nie w granatowy frak mundurowy, z błyszczącymi guzikami, nie w tą liberję, którą musiał nosić w gimnazjum...

O nie...

Ze schowanka jakiegoś wydobyła szaraczkową kapotę, jakby sukmankę, gęsto szamerowaną na piersiach, zniszczoną i wypłowiałą, z dziurami, jakby od kul, jakby od cięć... Do tego wciągnęła mu takież same spodnie, zapuszczone w długie buty, zniszczone tak samo...

A gdy pytano jej ze zdziwieniem, skąd ubranie takie wydostała i profesora w nie przyodziała, odpowiadała krótko:

— Tak mój panisko kazał... W tej czamarce w lasach wojował...

Dopiero wtedy dowiedział się ogół, że profesor Kopernicki brał udział w walkach powstania, że walczył o wolność Ojczyzny...

Szczególnie ubiór ten zdziwił a następnie i zgorszył dyrektora i inspektora, którzy również wraz z innymi zwłoki nawiedzili.

I oni spytali służącej, co znaczy ten ubiór, lecz posłyszawszy krótką a energiczną odpowiedź:

— To panoczek w niej z moskalami wojował... — nie pytali o nic więcej, tylko wyszli ze zgorszonemi minami, rozprawiając o czemś z ożywieniem.

A wynikiem tej ich narady było, że na trumnie profesora nie pojawił się wieniec od gimnazjum, wieniec z rosyjskim napisem na szarfach, wieniec będący profanacją zwłok czcigodnego profesora i gorącego patrjoty...

Za to okryły ją mnogie wieńce od uczni obecnych i dawnych, od różnych instytucji naukowych i od tych, którzy choć w ten sposób wdzięczność swą profesorowi wyrazić chcieli...

A on leżał cichy, uśmiechnięty, na łożu swem ostatniem, okrytem obficie kwieciem polnem, przyniesionem przez uczni.

Gazety zamieściły o nim długie nekrologi, i dopiero wtedy ogół dowiedział się, jakiej to miary mąż i uczony ubył naszemu społeczeństwu... Wyliczano długi szereg dzieł jego naukowych, dzieł poważnych, świadczących o niepospolitem wykształceniu zmarłego. Wyliczano też i cały szereg czynów jego, świadczących o gorącej miłości jego dla uczącej się młodzieży...

Toż prawie całą pensję swoją oddawał on po cichu ubogim a zdolnym uczniom, sam poprzestając na małym...

W testamencie swoim czynił cały szereg zapisów na oświatę, przyczem nie zapomniał o Głuszkiewiczu i Kuleszy, dla których specjalne pozostawił legaty...

Pogrzeb jego odbył się skromnie, prawie ubogo, gdyż taką była wola jego, za to imponował tłumami, biorącymi w nich udział...

Przed trumną szeregami szli uczniowie, a za nią podążał tłum tych, co go znali, co go kochali i czcili... Ginęli w nim profesorowie gimnazjum, koledzy jego, to też rosjanie trzymali się na uboczu, a tylko polacy dążyli tuż za trumną...

A od rogatek rzesza uczniowska porwała trumnę, by na barkach własnych ponieść ją do mogiły. Zmieniali się często, gdyż wszyscy prawie dobijali się o ten zaszczyt...

Złożono ją wreszcie w ziemi, przebrzmiały pienia żałobne księży, nikt nie wygłaszał przemówień pożegnalnych, i wkrótce na cmentarzu wyrosła nowa mogiła...

Zmierzch już zapadał, gdy wszyscy rozchodzić się zaczęli.

Gromadka naszych przyjaciół wracała z cmentarza jedna z ostatnich, z powagą i skupieniem. Na twarzach ich widniały ślady łez nieobeschłych...

Szli w milczeniu i gdy zbliżyli się do mieszkania Jurka, rzekł tenże:

— Chodźcie do mnie... musimy naradzić się nad jedną sprawą...

Zdumieni tym wstępem koledzy, nie rzekli ani słowa, tylko poszli za nim.

W milczeniu zajęli miejsca przy stole, poczem Jurek rzekł:

— Kochani koledzy... Zaprosiłem was dziś, gdyż musimy naradzić się w nader ważnej sprawie... Profesor Kopernicki umarł, i my winniśmy być spadkobiercami działalności jego. Musimy iść w ślady jego i szerzyć jaknajgorliwiej wiedzę, dopomagając do kształcenia się innym. On błogosławił pracę naszą i jakby nakazał rozszerzać ją, rozszerzać jaknajdalej... Musimy zabrać się energicznie do czynu, by nie zawieść nadziei jego...

— Cóż więc mamy zrobić?... — spytał Wiadrowski.

— Wprowadzić jaknajprędzej w czyn projekt Lisickiego przez przyjęcie do naszego grona możebnie największej ilości kolegów, by praca nasza coraz szersze zataczała kręgi...

— Tak, lecz czyż możemy ryzykować tak, przyjmując każdego?... czyż nie znajdą się wśród nich zdrajcy?... — wyraził wątpliwość Kański.

— To też każdego z nowowstępujących musi polecić dwóch z naszego grona. W ten sposób będziemy mieć gwarancję, że nikt niepożądany nie znajdzie się między nami...

— Bardzo dobrze — odrzekł Lisicki — projekt Szumskiego jest bardzo dobry i ja pierwszy zgadzam się na niego... Proponuję zarazem, ażeby już na przyszłe nasze zebranie sprowadzić paru pewnych kolegów... Za pretekst służyć może przygotowywanie się do zbliżających się egzaminów...

— Znakomicie — zawołał Kański — a teraz pomówimy o drugiej sprawie... Dowiedzieliśmy się teraz, że profesor Kopernicki wspierał wielu uczniów... Teraz to ustanie... Pomyślmy nad tem, co zrobić, ażeby go zastąpić choć w części...

— W sposób bardzo prosty — odrzekł mu Wiadrowski — niech każdy z nas w miarę możności, odmawia sobie łakoci i zbytków, daje ile może... z tego utworzy się pewien fundusz, z którego można będzie wspomagać potrzebujących...

I ten projekt przyjęto z uznaniem, poczem wszyscy rozeszli się.

A w parę dni potem zaroiło się w pokoju Jurka od młodzieży... Każdy prawie przyprowadził kolegę, przyczem w oględny sposób wtajemniczył go w cel zebrania...

Lisicki, ku ogólnemu zdziwieniu przyprowadził Bartniaka, a gdy Jurek ze zdumieniem pytał go się, dlaczego to zrobił, odrzekł mu:

— Wszakżeż profesor przykazał nam pracować nad wszystkimi, a czyż nie będzie największem wypełnieniem woli jego, gdy zdołamy wpłynąć na poprawę jego...

I praca wrzała... Powoli od nauk, przechodzonych w klasie, przerzucano się do innych gałęzi wiedzy. Świeżo wprowadzeni z zapałem brali się do pracy, pochłaniając książki, dyskutując nad niemi... Powoli też rósł zakres pracy nad uczeniem biednych dzieci, a zarazem i wzrastał fundusz na pomoc dla potrzebujących jej uczniów...

Wszystko szło składnie bardzo, gdy dnia pewnego nad zgromadzonymi zawisło poważne niebezpieczeństwo...

Siedzieli raz wszyscy w pokoju Jurka, zajęci gorącą dysputą nad świeżo co przeczytanym utworem Słowackiego, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek, a w progu stanęła dziewięcioletnia Jaga, siostra Jurka, i pobladła rzuciła:

— Tam jakiś nauczyciel...

W jednej chwili inkryminowane dzieło znikło... Jurek wybiegł do przedpokoju, by zobaczyć, kto przyszedł i ku

wielkiemu zdumieniu swemu ujrzał pana Dudina we własnej osobie...

Inspektor stał uśmiechnięty i wyciągając ku niemu dłoń na powitanie, rzekł szyderczo:

— Gwarno dziś u pana... Zabawa jakaś, uroczystość?...

— Nie, panie inspektorze — odrzekł mu spokojnie Jurek — tylko zebrało się u mnie kilku kolegów i przygotowujemy się do egzaminów... Pan inspektor pozwoli...

I napozór spokojny, choć serce mocno mu w piersi biło, gdyż od dłuższego czasu inspektor zaprzestał wizytowania uczni, musiało więc być złączone z tem coś ważnego, Jurek otworzył drzwi do swego pokoju...

Dobiegł stamtąd w najczyściejszej mowie rosyjskiej wykład Lisickiego, objaśniającego kolegom jakąś teorję algebraiczną...

Na widok wchodzącego do pokoju pana Dudina, Lisicki zamilkł, a wszyscy zebrani powstali, kłaniając mu się grzecznie.

Przystroiwszy twarz w pełen uprzejmości uśmiech pan Dudin rzekł:

— Jak się macie chłopcy... Jakżeż tam idzie wam praca?...

— Oj, ciężko, panie inspektorze — odrzekł Kański — ta alegebra taka trudna... Nie wiele z niej zrozumieć możemy... Żeby nie Lisicki, który nam wszystko objaśnia, napewno połowa z nas obcięła by się przy egzaminie...

Uśmiechnął się pobłażliwie, choć niedowierzająco pan Dudin, poczem usiadł w kąciku i rzekł:

— Nie przeszkadzam wam... Prowadźcie lekcje dalej, ja tu sobie posiedzę...

I wziąwszy do ręki jedną z leżących na wierzchu książek, przeglądać ją zaczął.

Na szczęście był to zbiór utworów Lermontowa, wziętych z bibljoteki szkolnej...

Jurek struchlał, gdyż na samym spodzie leżał świeżo nadesłany przez Głuszkiewicza z Krakowa transport książek, nie przejrzanych nawet jeszcze...

Gdyby tak pan Dudin sięgnął po nie?...

Lecz nie... Inspektor poprzestał na obejrzeniu leżącej na wierzchu książki, poczem położywszy ją, zaczął się przysłuchiwać prowadzonemu przez Lisickiego wykładowi.

A ten, nie zająknąwszy się nawet przez chwilę, tłomaczył kolegom teorje algebraiczne, kreśląc na arkuszu papieru zadania i objaśniając je z wielką łatwością.

Słuchali go bacznie, coraz któryś zadawał pytanie, na które Lisicki udzielał wyczerpującej odpowiedzi...

Wykład szedł gładko, choć znać było, że chłopcom ciąży obecność inspektora...

Czuł to i on sam, lecz umyślnie przedłużał swą obecność, umyślnie siedział, jakby chcąc złapać ich na czemś podejrzanem...

Nie udawało się jednak... Wstał wreszcie i rzekłszy:

— No, chłopcy, życzę wam powodzenia w pracy, żebyście do wszystkich przedmiotów przygotowali się tak, jak do algebry — wyszedł, odprowadzony przez Jurka do przedpokoju.

Gdy tylko wyszedł, znikły ze stołu zeszyty, a Bartniak zawołał:

— Wiwat!... — znakomicie odegraliśmy tę komedję... Lisicki... nie wiedziałem, że z ciebie taki świetny aktor... masz talent... radzę ci wstąpić do teatru...

— A propos teatru — zauważył Domański, wielki miłośnik tej rozrywki — dziś gra Modrzejewska w „Otellu". Kto idzie na galerję?...

— Ja... ja... — rozległy się głosy.

— A więc wieczorem, po cywilnemu, przy wejściu do teatru — umawiali się — tylko tak, żeby żaden z belfrów nas nie zauważył...

Wizyta pana Dudina zepsuła całe zebranie, a jednocześnie wzbudziła pewne obawy, czy władze gimnazjalne nie podejrzewają czego, nie węszą, i czy nie grozi im jakie niebezpieczeństwo...

Właśnie w tej sprawie naradzał się Jurek z Lisickim i Kuleszą, poczem rzekł:

— Kochani koledzy... Zdaje się, iż opiekunowie nasi coś czują takiego, co wzbudza w nich niepokój... Nie będziemy też mogli tak często zbierać się u mnie, gdyż możemy się z łatwością wsypać. Nie zawsze się tak uda, jak dziś... Ażeby zabezpieczyć się od ewentualnego niebezpieczeństwa, proponuję urządzać zebrania nasze za każdym razem u kogo innego. To nie pozwoli im tak bardzo pilnować nas...

— Znakomicie — zawołał Bartniak — najlepiej będzie u mnie... Mieszkamy prawie na krańcu miasta, w domku z ogródkiem... Djabła zje i Dudin i inni, jeżeli nas nakryją... Będziemy mieli też gdzie gadać, gdyż rodzice oddadzą nam największy pokój...

— A więc bardzo dobrze — zakonkludował Lisicki — przyszłe zebranie urządzimy u Bartniaka, a co do następnych, porozumiemy się...

Rozeszli się, zabierając z sobą do czytania książki, nadesłane przez Głuszkiewicza, a zarazem umawiając się, co do spotkania w teatrze.

Jurek już nie pierwszy raz brał udział w podobnych wyprawach... Przebierał się po cywilnemu, w kapelusz i palto i z gronem kolegów przekradał się na galerję, skąd upajał się czarem poezji odgrywanego dramatu lub tragedji, oraz grą artystów...

Wieczoru tego grano „Otella“ szekspirowskiego z Modrzejewską w przecudnej roli Desmodeny.

Młodzież, przeważnie gimnazjalna, choć po cywilnemu ubrana, gdyż bez pozwolenia dyrektora gimnazjum do teatru chodzić nie było wolno, i to nie udzielano pozwoleń na sztuki

z wielkiego, klasycznego repertuaru, zmięszana ze studentami, stała przy drzwiach, wiodących na galerję, czekając jej otwarcia, by zdobyć sobie najlepsze na niej miejsce przy balustradzie.

Dał się wreszcie słyszeć zgrzyt klucza i stary woźny otworzył drzwi, a cała zebrana gromada, tłocząc i popychając się, runęła na schody, byle tylko dostać się na galerję. Młodzież gimnazjalna i uniwersytecka przodowała w tym wyścigu, przyczem silniejsi torowali drogę słabszym.

Dopadli wreszcie i każdy jaknajspieszniej zajmował miejsce, z którego można było widzieć choć skrawek sceny.

Teraz zaczęło się znów oczekiwanie na rozpoczęcie przedstawienia. Nie dłużyło się ono zbytnio, gdyż coraz padał z czyichś ust dowcip, żart, przyjmowany wesołym śmiechem przez innych...

Powoli zapalać zaczęto światła w teatrze, napełniały się krzesła, loże i wyższe rzędy. Młodzież rozglądała się po teatrze swobodnie, pewna, że nie dojrzy jej tam niczyje argusowe oko, zwłaszcza z dygnitarjatu gimnazjalnego, gdyż nauczyciele rosjanie z zasady do teatru polskiego nie uczęszczali.

Wreszcie rozległ się dzwonek, zgasły światła w teatrze i podniosła się kurtyna.

Młodzież zamieniła się w słuch, chłonąc w siebie czar poezji, zachwycając się wirtuozowską grą Leszczyńskiego i Modrzejewskiej.

Po ukończeniu każdego aktu z galerji zrywał się przepotężny huragan oklasków, a w antraktach wszczynała się ożywiona dysputa o grze artystów, pełna entuzjazmu i zachwytu.

Skończyła się wreszcie tragedja... Kurtyna zapadła po ostatnim akcie, lecz po chwili znów się wzniosła, gdyż z galerji biegły donośne wołania — to wywoływano ulubionych artystów.

Wychodzili i kłaniali się niezmordowanym a rozentuzjazmowanym wielbicielom swoim, aż wreszcie ciemność ogarnęła teatr, który publiczność powoli opuszczać zaczęła.

Młodzież wyszła jedna z ostatnich...

Jeszcze na ulicy prowadziła ożywione rozprawy na temat sztuki... Powoli jednak gromadka jej topniała, aż wreszcie pozostali tylko Jurek z Lisickim, mieszkający w pobliżu siebie.

Szli, zajęci rozmową, gdy naraz na Nowym Świecie, przy jasno oświetlonem wejściu do jednej z największych restauracji natknęli się na wychodzących z niej dyrektora i inspektora... Szli oni niezbyt pewnie, trzymając się pod ręce, w czapkach na bakier, przyczem pan Dudin fałszywym głosem wyśpiewywał jakąś hulaszczą piosenkę rosyjską...

Na ten widok obydwaj chłopcy stanęli, jak wryci. Wzrok obydwóch władców gimnazjalnych przemknął się po ich twarzach, zdawało się nawet, że pan Dudin poznał ich, że na twarzy jego odbiło się zdumienie na widok cywilnej ich odzieży, lecz nim obejrzeć się zdołał i zawołać, obydwaj chłopcy byli już daleko...

— Co to będzie, jeżeli nas poznali?... — spytał z niepokojem Jurek.

— Co ma być — krzepił się Lisicki — obydwaj tak byli ululani, że napewno nas nie poznali... Zresztą wyłżemy się im...

Czuć jednak było w głosie jego pewien niepokój, z niepokojem też czekali rozpoczęcia lekcji w dniu następnym.

Lecz pan Dudin nie mówił nic, tylko w końcu lekcji rzekł, zwracając się do całej klasy:

— Zauważyłem, iż niektórzy z uczniów włóczą się po nocy po cywilnemu... Niech się pilnują, gdyż jeżeli ich złapię, to będzie źle z nimi...

Na tem sprawa cała skończyła się...

Praca w gimnazjum wrzała w całej pełni, gdyż nadeszły egzamina...

Młodzież uczyła się gorączkowo, powtarzając wszystko, co przeszła w ciągu roku, byle zdobyć promocję... Szczególnie zaś uczono się łaciny, gdyż następca prof. Kopernickiego, Iwan Iwanowicz Iwanow, zapowiedział im, że będzie egzaminować bardzo ostro, że oni nic nie umieją, gdyż poprzedni profesor za dużo im pozwalał...

Lecz w niedługim czasie przekonali się, że to czcze były pogróżki, gdyż sam profesor nie wiele więcej od nich umiał, a przy wykładzie posiłkował się przeważnie podręcznikiem...

Dowiedzieli się też później, iż ukończył on seminarjum duchowne w głębi Rosji, gdzie kształcił się na popa, lecz z różnych powodów, a głównie dzięki nadmiernemu zamiłowaniu do alkoholu, musiał wyrzec się karjery duchownej, a natomiast wysłany został jako pedagog do Polski...

Na niego też właśnie wypadł los zastąpienia prof. Kopernickiego.

Nie obdarzony zbyt wielkiemi zdolnościami pedagogicznemi, posiadał za to w wysokim stopniu inne talenty, mianowicie śledzenia innych profesorów i uczniów, czy nie postępują nieprawomyślnie. Z racji też tych zdolności rokowano mu, iż w krótkim czasie otrzyma awans...

Egzamina odbywały się jeden za drugim, a dzięki wytężonej pracy zdających, nieznacznej ilości uczniów groziło pozostanie na rok drugi.

Takie wyniki, zdawało się, że gniewają niektórych z pedagogów, którzy umyślnie podstępnemi pytaniami starali się wprowadzić w błąd egzaminowanych, by pozostawić ich na rok drugi...

Przebrnięto jednak jakoś te wszystkie trudności Scylli i Charybdy, i znaczna większość z promocjami do klasy szóstej, odetchnęła z ulgą, zawczasu rozkoszując się myślą o wakacjach...

Lisickiego, pomimo, iż ogólnie uważany był za pierwszego ucznia, ominęła nagroda. Otrzymał ją Mikołaj Zubkin, bli-

ski krewny dyrektora, syn jednego z dygnitarzy warszawskich, specjalnie popierany i faworyzowany przez cały ogół nauczycieli, choć do liczby orłów nie należał.

Nie zmartwił się bardzo tem Lisicki, i gdy niektórzy z kolegów wyrażali mu współczucie swoje, śmiał się z tego, mówiąc:

— Dzięki Bogu, że mnie to szczęście ominęło... Co ja bym z taką czerwono oprawną książką robił... W pokoju jej położyć nie można, sprzedać nie wypada, chyba bym ją wyrzucił... Niech się Kola nią cieszy...

Gdyż mimo swego rosyjskiego pochodzenia Zubkin cieszył się sympatją kolegów... Wesoły, trochę z zamiłowaniem do hulanek, drwił sobie z urzędowej powagi zarówno ojca, jak i jego kolegów... Chętnie mówił po polsku, gdyż językiem tym władał dobrze, a obdarzony z natury dobrem sercem, starał się możebnie najwięcej przysług wyświadczać kolegom...

Dzięki niemu też wiedzieli o wszystkich zarządzeniach i zmianach, jakie miały zajść w gimnazjum... Zdradzał też im wszystkie tajemnice urzędowe, posłyszane w gabinecie dyrektora.

Uprzedzał też zwykle wszystkie burze, gromadzące się nad głowami uczniów, i o ile możności zapobiegał im... Lekce też sobie traktował niektórych z pośród pedagogów, wyśmiewając ich wady, a przedewszystkiem brak gruntownego wykształcenia...

Te wszystkie zalety jednały mu sympatje kolegów, którzy go chętnie nawet do siebie zapraszali, lecz w bliższej zażyłości, w bliższej przyjaźni z nim nie żyli...

Dobrze on rozumiał powody tego i sam mówił do nich:

— Moi kochani, ja dobrze wiem, że wy przyjaźni dla mnie czuć nie możecie... dzieli nas pochodzenie i dzieli nas nienawiść, stawiająca mur nie do przebycia między nami. Trudno, ja sam jeden zwalić nie zdołam tego, na co składała się

praca dziesiątków lat, lecz proszę was, nie stawiajcie mnie na jednym poziomie z takim Orłowym lub innymi... Jeżeli możecie, polubcie mnie trochę, a wierzcie, że ja zawsze przyjacielem waszym będę...

I lubiano go, lubiano za to, że był inny od wszystkich rosjan, których na drodze życia spotykali...

Otrzymawszy nagrodę, Zubkin wykrzywił się komicznie, i po ukończeniu ceremonji, podszedł do Lisickiego, i podając mu książkę, rzekł:

— Mój kochany, weź to... zdejm z bark moich ten ciężar, włożony na mnie dzięki stanowisku papy i protekcji stryja... Tobie on się naprawdę należy...

— Dziękuję ci, mój kochany — odrzekł ze śmiechem Lisicki — ale nie jestem na tyle altruistą... Dźwigaj sobie ten ciężar i przekaż go testamentem potomkom swoim, jako zaszczytną odznakę ich protoplasty... Mnie wystarcza zadowolenie własne...

Uściskali się serdecznie, przyrzekając spotkać się po wakacjach... Rozbiegła się cała czereda uczniowska, rada z dobrze zasłużonego odpoczynku.

W mieszkaniu Jurka odbyło się ostatnie zebranie przyjaciół, gwarne bardzo, na którem omawiali kwestje wakacyjne, układali plan zajęć, snuli projekty przeróżne.

Wszyscy prawie wyjeżdżali na wieś, kto na letnisko lub do krewnych, kto znów na kondycje... Nawet Kulesza wyjeżdżał aż na Podole, gdzie miał przygotowywać dwóch chłopców do wstępnej i pierwszej klasy.

Jurek wyjeżdżał z rodzicami zagranicę, do Szczawnicy, przyczem przez parę dni miał zatrzymać się w Krakowie, z cego był rad niezmiernie, gdyż miał możność zobaczenia się i nagadania z Głuszkiewiczem.

Pozostawali w Warszawie tylko Kański, Bartniak i dwóch świeżo przyjętych do ich grona kolegów, i oni to obiecywali dalej, choć w mniejszym zakresie, pracę ich prowadzić.

Odbyto jeszcze wspólnie pieszą wycieczkę do Wilanowa, gdzie na swobodzie spędzono cały dzień, a w parę dni później rozproszyła się gromadka cała.

Jurek, mknąc pociągiem pospiesznym, z niecierpliwością wyglądał, czy nie widać już wież Krakowa. Wiedział, że na dworcu oczekiwać będzie na niego Głuszkiewicz, którego listownie o przybyciu swojem zawiadomił...

Pierwszy też wyskoczył z wagonu, gdy tylko pociąg zatrzymał się na stacji, i rzucił się w objęcia oczekującego na peronie przyjaciela...

Udali się razem do hotelu, w którym zamieszkali państwo Szumscy i do późnej nocy gawędzili o różnych rzeczach.

A następnych dni od samego rana biegali po prastarej stolicy, zwiedzając wszystkie miejsca pamiątkowe, wszystkie muzea i galerje, przyczem Głuszkiewicz służył mu za przewodnika...

Czuł Jurek, że odżywa, że spada z niego jakaś łuska, że oddycha jakiemś innem powietrzem, gdy patrzał na te wszystkie pamiątki świetnej przeszłości Polski, gdy słyszał te przecudne melodje i pieśni, tak surowo w Warszawie wzbronione...

A entuzjazm jego doszedł do szczytu, gdy znalazł się w teatrze, na sztuce patrjotycznej, gdy posłyszał padające ze sceny zdania, za które w Warszawie surowe kary groziły...

— Zazdroszczę ci — mówił do Głuszkiewicza — że możesz przebywać w tym kraju wolności, że nie potrzebujesz kryć się z uczuciami swemi, że nie czujesz obawy, że za byle co zostaniesz aresztowany...

— A jednak — odrzekł mu Głuszkiewicz — mimo tą wolność, mimo te swobody, czuję ja nieraz tęsknotę za naszym biednym, uciśnionym krajem, i radbym tam wrócić każdej chwili, i z upragnieniem oczekuję tej chwili, gdy wrócę tam, by pracować dla tych nieszczęśliwych, ciemnych braci moich... Porównanie tych dwóch dzielnic naszej Ojczyzny bó-

lem mnie przejmuje, i jeszcze więcej kocham nasze Królestwo za nędzę jego, za ucisk, jaki znosić musi. I tylko jedna myśl mnie gnębi, jak długo to potrwa?... Kiedy nareszcie okowy nasze padną strzaskane?...

Z żalem rozstawał się Jurek z Krakowem, lecz trudno, rodzice się spieszyli, gdyż pani Szumska przeprowadzić miała kurację, lecz za to przyrzekli mu, iż w powrotnej drodze znów na tydzień zatrzymają się w Krakowie.

Nie wiadomo też kiedy zbiegły wakacje i znów młodzież gromadami napływać zaczęła do Warszawy, by zasiąść na szkolnych ławach, by wesołym gwarem zapełnić puste i głuche gmachy szkolne.

XV.

ZDRADZENI.

Szósta klasa kładzie zwykle na twarze młodzieży piętno jakiejś sztucznej powagi... Nie są to już dzieci, a przynajmniej za takich nie chcą uchodzić, a jednocześnie nie są jeszcze młodzieńcy dojrzewający, z powagą kroczący po ulicach miasta i skubiący z całej mocy wąsiki, ledwie ukazujące się na wardze...

Ot, takie podlotki rodzaju męskiego, podlotki, które dopiero co rzuciły zabawę w lalki, tęsknią do długich sukien i gwałtem pragną przybrać pozę dojrzałych...

Młodzież polska, kształcona w obcej szkole, w ogniu ucisku i prześladowań, wcześnie nabierała tej powagi, brutalna ręka wychowawców jej już od lat dziecinnych ścierała z ich twarzy i dusz wszelkie oznaki młodzieńczości, i chłopcy kilkunastoletni sprawiali wrażenie starców, zgorzkniałych, którym życie nie żałowało żadnych ze swych goryczy i rozczarowań...

O, bo dzieci polskie nie mogły być wesołemi, nie znały radosnych, promiennych chwil w życiu swojem.

To też szóstoklasiści sprawiali wrażenie ludzi dorosłych, którzy wiele już w życiu przecierpieli.

Nie darmo jeden z rosyjskich działaczy powiedział, iż polacy już rodzą się spiskowcami... Nauczyło ich tego życie i ich opiekunowie rosyjscy... Nauczyli ich krycia się z uczuciami, ze wszystkiem, co mieli najświętszego, gdyż sponiewierane to było, splugawione...

Otrzymując naukę w języku obcym, wrogim, ażeby rozszerzyć swe horyzonty wiedzy, ażeby poznać swój język ojczysty i sławną przeszłość narodu, musieli kryć się z tem, musieli wprost spiskować w tajemnicy, gdyż w przeciwnym razie kary im za to groziły, kary surowe i bezwzględne...

Nic dziwnego więc, że każdy z młodzieży polskiej był spiskowcem...

Byli nimi i nasi przyjaciele...

Po powrocie z wakacji zawrzała praca, przyczem grono ich powiększyło się znacznie. Jurek, będąc w Krakowie, umówił się z Głuszkiewiczem o dalsze przesyłanie książek, przyczem największy nacisk położył na naukę dziejów ojczystych...

Studyowano więc gorączkowo, uczono się, przyczem coraz wyraźniej krystalizował się przed nimi cel życia: praca dla dobra ogółu...

Nie zbierano się teraz już tylko wyłącznie u Jurka, gdyż wiedziano dobrze, że po ostatniej wizycie u niego p. Dudina, władze gimnazjalne baczną na niego zwróciły uwagę... Przestrzegł ich co do tego Kola Zubkin, który podsłuchał rozmowę na ten temat dyrektora z inspektorem...

Zbierano się coraz gdzieindziej najczęściej jednak u dwóch braci Sawickich, z których jeden był w szóstej, a drugi w piątej klasie... Mieszkali oni wraz z rodzicami na przedmieściu, przyczem zajmowali spory domek. Na parterze zaj-

mowali go rodzice, im zaś oddali obszerną facjatę, której byli niepodzielnymi panami. Tam też zbierała się swobodnie młodzież, pewna, że nie wykryje jej nikt, że zarówno przedstawicielom władz gimnazjalnych, jak i policyjnych, nie będzie chciało się fatygować aż za rogatki...

Rozwijano też gorączkową pracę, która nie polegała już tylko na samokształceniu się w szczupłem wybranem kółku, na uczeniu dzieci. Zakres jej coraz szersze zataczał kręgi, przyczem wciągnięto do niej i uczniów innych klas, starszych i młodszych, oraz ludzi starszych, robotników i rzemieślników, pragnących się uczyć...

Zwłaszcza młodzież rzemieślnicza garnęła się do tej wiedzy, wzbronionej przez władze rosyjskie, a tak upragnionej... A przytem zachowywała ona jaknajściślejszą tajemnicę co do miejsca wykładów i co do osób swych nauczycieli... Pilnowała bacznie towarzyszów, których sama polecała i strzegła, by nie zdradzili czegokolwiek...

Szła więc też praca ożywiona, szła i rozwijała się pomyślnie, rokując jaknajlepsze skutki na przyszłość, zwłaszcza, iż młodzież brała się do niej z zapałem...

Stowarzyszenie pięciu rozrosło się, rozwinęło, tak, że liczyło dziesięciokrotnie większą ilość członków, niż przedtem.

Radość przejmowała serca Jurka, Kuleszy, Wiadrowskiego i Kańskiego, że ich dzieło początkowe rozwija się tak pomyślnie...

Prowadzono też ożywioną korespondencję z Głuszkiewiczem, transporty książek zwiększały się, a na zakup ich zbierano składki wśród wszystkich uczestników stowarzyszenia i słuchaczy wykładów...

Groszaki to były, groszaki ciężką nieraz zdobyte pracą, lecz tem cenniejsze... Zakupione przez nie książki krążyły z rąk do rąk, podnosząc ducha, niecąc nadzieję i otuchę lepszego jutra...

Podzielono się też pracą, by nie obarczać nią jednych nad siły... U Jurka mieściło się coś w rodzaju zarządu głównego organizacji, tam odbywały się narady nad prowadzeniem celowem pracy, nad rozkładem zajęć, stamtąd szły korespondencje do Krakowa i przychodziły transporty od Głuszkiewicza...

Jurek, pomimo obaw matki, która z tajoną troską patrzała na pracę jego, czując całe jej niebezpieczeństwo, z zapałem zajmował się wszystkiem, odpowiadając na wszystkie jej nalegania:

— Ależ, mamusiu... czyż czynię ja co złego?... przecież nauczanie innych nie jest zbrodnią... Wypełniam tylko obowiązek mój względem braci... Zresztą moskale za to tak surowo chyba nie karzą...

Nie przeczuwał nawet, iż właśnie za szerzenie światła najsurowsze kary wymierzają władze rosyjskie...

Zajęty pracą i interesami ojciec nie wiedział wiele o tem i uważał zajęcia jego raczej za zabawę, niż za rzecz poważną, zabawę o tyle pożyteczną, iż odciągała go od wielu rozrywek niepożądanych, którym się młodzież w jego wieku oddaje...

Dawał mu pieniądze na różne cele, rad, iż czyni z nich Jurek użytek nader godziwy i szlachetny, że wspiera kolegów uboższych i kupuje książki...

Mógł też dzięki temu bezpiecznie prowadzić swą pracę, pewien, że ze strony rodziców żadnej nie spotka przeszkody...

Szczególnie pracowitą była dla naszych chłopaków niedziela... Od samego rana zbierali się u Sawickich na facjatce, gdzie słuchali jakiego wykładu, urządzanego zazwyczaj przez pana Hołownię, który pracę chłopców gorąco popierał, a następnie rozbiegali się po mieście, by odbyć lekcję z młodzieżą rzemieślniczą i robotniczą w różnych, zawczasu umówionych punktach miasta, poczem po obiedzie znów zbierali się w in-

nem miejscu, by pogawędzić trochę, poprowadzić dysputę lub przeczytać wspólnie jaką doniosłą nowość, nadesłaną przez Głuszkiewicza z Krakowa...

Tak pracowicie schodził im tydzień za tygodniem... Radość przejmowała ich, że wszystko tak składnie idzie, że liczba uczniów zwiększa się, gdy naraz stała się katastrofa...

Na wieczorne zebranie do Sawickich wpadł razu pewnego zdyszany jeden z uczniów piątej klasy, Władek Ilakowski, i zdyszanym głosem oświadczył:

— Wiecie?... coś węszą...

— Jakto?... — rozległy się ze wszystkich stron zapytania...

— Gdym szedł tutaj, natknąłem się zaraz za rogatkami na Woskobojnikowa, który się zaczął mnie dopytywać, co robię w tych stronach, po co idę i tak dalej... Wyłgałem mu się jakoś, poczem skręciłem w boczną ulicę i bokami dostałem się tu...

— No, to jeszcze nic strasznego — rzekł Kański.

— Lecz co w tych stronach mógł robić Woskobojnikow, który do najgorszych szpiegów gimnazjalnych należy?...

— Mógł mieć jakiś interes — perswadował Lisicki, lecz w serca młodzieży zakradło się jakieś zwątpienie, jakiś lęk, obawa czegoś nieokreślonego, co zdawało się wisieć nad każdym i groziło, że każdej chwili runie na głowy...

To też zebranie jakoś nie kleiło się, dyskusja nie wiązała się, i wszyscy wcześniej niż zwykle rozeszli się do domów...

I szli ostrożnie, skradając się, pojedyńczo, oglądając się trwożliwie, czy z za węgła którego z domów nie wysunie się szpiegująca ich postać którego z nauczycieli...

Nie spotkali jednak żadnego z nich, tylko Lisickiemu wydało się, że dochodząc już do domu ujrzał w mroku nocnym, jakby pana Dudina, lecz wkrótce sam uważał to za złudzenie...

Obawy te ich rozchwiały się do reszty dni następnych, gdy ze strony profesorów nie nastąpiło żadne zapytanie, gdy nic nie zdradziło, że nawet oni domyślają się cokolwiek...

Tylko jakoś podejrzliwie patrzeli oni na nich, a przytem i rewizje po mieszkaniach stały się częstszymi...

Uspokoiło się wszystko po paru dniach, i zdawało się, że sprawa cała była tylko próżnym alarmem, gdy naraz ze strony Zubkina padło nowe ostrzeżenie:

— Pilnujcie się — rzekł w zaufaniu do Lisickiego — coś tam przeciw wam knują... Będąc u stryja dyrektora wieczorem słyszałem, jak w jakiejś sprawie naradzał się z Dudinem... Słyszałem wasze nazwiska, lecz o co im szło, nie wiem, gdyż rozmawiali szeptem, przy drzwiach zamkniętych...

Mieli się też chłopcy na baczności, nawet na pewien czas zaprzestali swych zebrań, a przynajmniej urządzali je z wielką ostrożnością, gdy jednak ze strony władz gimnazjalnych nie nastąpiły żadne kroki nieprzyjazne, zaprzestali ich, i wszystko wróciło do normalnego trybu...

A tymczasem nad głowami ich zbierała się burza i to groźna...

Do uszu władz nietylko gimnazjalnych, ale i policyjnych doszła wieść o szerzącem się nauczaniu potajemnem, że prowadzą je uczniowie gimnazjum i studenci uniwersytetu, i na skutek nakazu z góry, zabrały się one energicznie do wykrycia winowajców...

Próżno jednak tropili i śledzili, na żaden ślad natrafić nie mogli, nikogo schwytać się im nie udało...

Aż wreszcie spotkanie Ilakowskiego przez pana Woskobojnikowa, powiązane z niektórymi faktami, podsunęło im myśl, czy to właśnie uczniowie ich gimnazjum nie prowadzą tej występnej w ich oczach działalności...

I odtąd codziennie szli na zwiady potajemnie pp. Slepcow, Woskobojnikow, Iwanow i nawet sam Dudin, by schwytać winowajców...

Ukryci w cieniu obserwowali ich przy rogatkach, notując nazwiska zauważonych, śledzili gdzie idą, i to zaprowadziło ich do mieszkania Sawickich, lecz nie mieli jeszcze nic pewnego, na czem mogliby oprzeć oskarżenie... Przeczuwali, iż chłopcy zebrania te muszą urządzać z wielką ostrożnością, i że zawczasu by zniszczyli wszystkie kompromitujące dowody, gdyby dowiedzieli się o ich wizycie...

Zresztą pan Dudin miał już przykład tego, z czasów wizyty swojej u Jurka Szumskiego...

Pomimo wszelkich pozorów przygotowywania się do egzaminów, coraz bardziej nabierał przekonania, iż odbywało się tam coś nielegalnego i tem większy zdejmował go gniew, iż jego, starego wróbla, wyćwiczonego w śledzeniu nieprawomyślnych, wyprowadzono w pole...

Z tym większym zapałem zabrał się teraz do śledzenia.

Tym razem postanowił działać napewno i przedewszystkiem mieć wszystkie dowody winy, przyczem po naradzie z dyrektorem zdecydował się nawet uciec do pomocy policji, by tem większa spadła na nich chwała, za przerwanie działalności rewolucyjnej w Polsce...

Długo rozmyślał pan Dudin nad obraniem sposobu działania, aż wreszcie zdecydował się na jeden...

Z otrzymanych doniesień od śledzących uczniów pedagogów, wiedział, iż w zebraniach tych bierze udział właśnie ów Hałkowski, który raz już zaalarmował kolegów ukazaniem się Woskobojnikowa...

Był to chłopiec o charakterze słabym, chwiejnym, przyczem okropnie bał się ojca, karzącego go za byle co. Wiedział o tem dobrze pan Dudin i dlatego jego postanowił użyć za narzędzie zdrady.

Pewnego popołudnia, po skończonych lekcjach, przywołał go do swego gabinetu i zamknąwszy drzwi na klucz, zwrócił się do wystraszonego tem wszystkiem chłopca z ostrem zapytaniem:

— Co to za zebrania odbywają się u Sawickich, Szumskiego i innych?...

To ostatnie dodał na chybił trafił...

Struchlał Ilakowski, posłyszawszy to zapytanie i zrazu nie wiedział, co ma odpowiedzieć, gdy pan Dudin dodał:

— Mów tylko prawdę, gdyż w razie kłamstwa, wypędzimy cię z gimnazjum... Nie wiem, co wtedy powie na to twój ojciec...

I zmierzył go złemi, błyszczącemi nienawiścią i tryumfem oczyma, pewien, że otrzyma pożądaną odpowiedź, że Ilakowski nie wytrzyma, że przerazi się tej groźby i ulegnie...

Biedny chłopiec wił się wprost pod tem spojrzeniem, nie wiedząc co czynić... W duszy jego rozgrywała się straszliwa walka, między przyrzeczeniem, danem kolegom, iż nie zdradzi, a obawą kary ze strony ojca...

— Kiedy ja nic nie wiem — bełkotał pobladłemi ustami — jak ojca kocham, panie inspektorze, nic nie wiem...

— Łżesz — huknął na niego z góry pan Dudin — wiesz dobrze, tylko nie chcesz nic powiedzieć...

I zasiadłszy przy biurku, zaczął pisać spiesznie list jakiś, poczem włożywszy go w kopertę, zakleił ją i podając Ilakowskiemu, rzekł:

— Masz... Oddaj to ojcu... możesz już do gimnazjum nie przychodzić... Zawiadamiam go, że zostałeś wypędzony bez prawa wstąpienia do innego gimnazjum...

Machinalnie wziął Ilakowski tą kopertę, i trzymając ją w ręku, stał nieruchomy, z głową opuszczoną na piersi, niepewny, co ma czynić...

Obserwował go inspektor z pod oka, jakby rozkoszując się walką, toczącą się w duszy jego, poczem z uśmiechem pełnym dobroci, podszedł do niego, i kładąc mu rękę na ramieniu, pełnym słodyczy głosem przemawiać zaczął:

— Widzisz, mój kochany, jak to źle być upartym... Cóż ja od ciebie wymagam?... żebyś mi powiedział prawdę, aże-

byś wyznał zło, do którego należysz... Przecież nikt o tem wiedzieć nie będzie... Daję ci słowo inspektora, że nikomu nie powiem, żeś ty mi to wyznał... A tak, pomyśl, co będzie, gdy będziesz dalej trwać w głupim oporze twoim... Przedewszystkiem zwichniesz przyszłość swoją... Wypędzony z gimnazjum, bez prawa wstąpienia do innego, pójdziesz do terminu, i czem będziesz?... Rzemieślnikiem, robotnikiem... podczas gdy tak mógłbyś być urzędnikiem... A co ojciec twój na to powie?... nie wiem, nie chcę sądzić, ale, zdaje się, nie będzie on z tego bardzo zadowolony... O ile wiem, trzyma on cię bardzo ostro... Jeszcze cię z domu wypędzić gotów... I pomyśl, to wszystko z powodu oporu twego...

I pod wpływem tych słodkich, pełnych dobroci słów inspektora, miękła dusza w Ilakowskim, kruszył się upór jego, wreszcie wybuchnął głośnym, wcale nie męzkim płaczem...

Uśmiech tryumfu wykrzywił usta inspektora... Czuł, że połowa dzieła zrobiona, że teraz już dopnie swego...

— Nie płacz — rzekł — nic ci to już nie pomoże... kara ze strony ojca cię nie minie... Możesz już iść...

I otworzywszy drzwi, wziął go za ramię, popychając lekko ku wyjściu...

To zdecydowało wszystko... Ilakowski, widząc, że niema innego wyjścia, że musi się zaraz decydować, wyjąknął:

— Ja... ja... panie inspektorze... powiem już wszystko...

— Mów — rzekł krótko inspektor, i zasiadłszy przy biurku, rozłożył przed sobą papier i wziął pióro celem zapisywania zeznań jego...

I mówił mu je cichym głosem Ilakowski, opowiadając wszystko szczegółowo, wymieniając nazwiska uczestników tych zebrań, cel ich, nawet to, co mówiono na nich...

Z coraz większym uśmiechem tryumfu zapisywał je pan Dudin, a zadowolenie jego rosło z każdą chwilą... Toż on się przyczynił do wykrycia tak szkodliwego dla państwa rosyjskiego sprzysiężenia, jemu będzie ono zawdzięczać ocalenie

od grożącej mu zguby wobec spisku tych młodocianych przestępców...

I już obmyślał, w jakiej formie przeprowadzi on tą sprawę, ażeby nadać jej możebnie największy rozgłos, i jakie za to otrzyma nagrody... Roiło mu się już dyrektorstwo gimnazjum, order, nagroda pieniężna za gorliwość...

Nie myślał nawet o tem, że to wszystko okupione zostanie zwichnięciem życia kilkunastu młodych chłopców...

Skończył zapisywać zeznania Ilakowskiego, i wyjmując mu z ręki ową kopertę z listem, rzekł:

— Możesz już iść... Bądź spokojny, szczerem wyznaniem okupiłeś prawo pozostania w gimnazjum... Tylko pamiętaj, ażebyś nikomu o tem nie mówił, gdyż inaczej byś na siebie znów ściągnął niebezpieczeństwo...

Wyszedł Ilakowski, chwiejący się na nogach, z kancelarji i udał się do domu...

Próżno starał się doprowadzić do porządku rozproszone myśli... Przedewszystkiem zaś bał się spotkać którego ze zdradzonych kolegów...

Znalazłszy się w Saskim ogrodzie, usiadł na ławce i pogrążył się w myślach... Dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę z czynu swojego, z czynu, którego hańbę niejasno sobie przedstawiał...

Zdradził kolegów, wydał ich na pastwę nieprzyjaciół, a wszystko przez podłe, nikczemne tchórzostwo...

Co czynić teraz?... Biedził się nad tem pytaniem, nie znajdując odpowiedzi... Nie wiedział sam, co przedsięwziąć... Z jednej strony, w razie, gdyby ostrzegł kolegów, groziło mu wypędzenie z gimnazjum, surowa kara ojca, z drugiej zaś... Tu zastanowił się... Wszakżeż inspektor przyrzekł mu, że go nie wyda... Cóż więc za niebezpieczeństwo grozić mu może?...

Pocieszony tem, udał się do domu... Tegoż jeszcze wieczoru dostał silnej gorączki, miotał się w niej noc całą, wy-

krzykując różne słowa bez związku, zrywając się do ucieczki... A wezwany rano dnia następnego lekarz zaopiniował, że jest to silne zapalenie mózgu...

A tymczasem pan Dudin, posiadłszy tak upragnione wiadomości, zajął się energicznie wprowadzeniem w czyn planów swoich. Odbył długą naradę z dyrektorem, a wynikiem jej była wizyta, złożona przez niego władzom policyjnym i żandarmeryjnym...

Uspokojeni pewną ciszą chłopcy wznowili znów zebrania swoje, przyczem zachowywali pewną ostrożność...

Pewnego dnia na facjatce Sawickich zebrali się Kulesza, Lisicki, Wiadrowski i jeden z braci Sawickich, oczekując na nadejście pozostałych, gdy na schodach dały się słyszeć czyjeś głośne stąpania, odgłos licznych kroków, a gdy ze zdumieniem spojrzeli na drzwi, otwerzyły się one, i na progu stanął pan Dudin, a za nim widniały mundury policyjne...

— Nie ruszać się — zakomenderował głośno oficer żandarmerji, towarzyszący inspektorowi.

Przerażonych chłopców otoczyli policjanci i żandarmi, poczem przystąpiono do rewizji...

Dała ona wyniki nadspodziewanie obfite, gdyż znaleziono znaczną ilość książek i broszur, tak surowo wzbronionych przez władze rosyjskie, gdyż siały one myśli o wolności, budziły ducha, gnębionego systematycznie przez wrogów... Znaleziono i papiery, kompromitujące młodocianych spiskowców...

— To wy tak się uczycie... tak przygotowujecie do egzaminów — syczał z zadowoleniem pan Dudin, przeglądając plon rewizji — buntownicy, nihiliści... bunty tu układacie, o zamachach na władzę swoją rozprawiacie... Do więzienia was wszystkich... na Sybir...

Patrzeli na niego z pogardą i spokojem aresztowani chłopcy, a z ust Lisickiego wybiegło głośne i dobitne, chłoszczące, jak policzek:

— Szpieg!...

Tymczasem żandarmi urządzili zasadzkę... Otoczywszy wszystkich w domu strażą, ażeby nikt nie mógł wyjść i zawiadomić o tem, co zaszło, mających nadejść chłopców, czekali na nich w ukryciu...

Jeden z pierwszych przyszedł Jurek, którego, ku wielkiemu zdumieniu jego aresztowano i przyłączono do kolegów, a za nim nadciągnęli inni... Czekano do późnego wieczora, poczem, pomimo próśb pp. Sawickich, wsadzono wszystkich do sprowadzonych umyślnie karetek więziennych i powieziono do aresztu.

Pan Dudin z zadowolenia zacierał aż ręce... Plon był nadspodziewanie obfity, gdyż ujęto kilkunastu chłopców... Czuł już na piersiach order, i z dumą przybierał pozy dyrektora gimnazjum...

Chłopców aresztowanych przewieziono do ratusza i osadzono tymczasem w jednej z cel przepełnionych i tak już aresztowanymi poprzednio.

Oszołomieni byli tem wszystkiem, co zaszło, i narazie nie mogli zdać sobie sprawy z tego, co mogło być przyczyną tego...

Rozumieli, że ktoś musiał ich zdradzić, lecz kto?...

Zrazu podejrzenie ich padało na Zubkina, który domyślał się czegoś, lecz rozchwiały się one wobec ostrzeżeń, jakie od niego słyszeli...

Przypomnieli też sobie spotykanych od czasu do czasu poza rogatkami pedagogów i to utrwaliło ich w przekonaniu, że ci ich wyśledzili...

O Ilakowskim nie pomyślał żaden... Nieobecność jego nie zdziwiła nikogo, gdyż wiedziano, że był bardzo chory...

Skupieni w kącie aresztu szeptem dzielili się myślami swemi, wrażeniami, przyczem największym był niepokój ich o rodziców...

Noc, pełna męki, gdyż z powodu ciasnoty w areszcie, nie było nawet gdzie usiąść, nie mówiąc już o spaniu, upływała strasznie powoli... Areszt wrzał życiem, pomimo nocy, gdyż coraz w korytarzu rozlegały się czyjeś ciężkie stąpania, krzyki, trzask zamykanych drzwi, brzęk kluczy, przekleństwa i wymysły...

Świtać już zaczęło, gdy wzywać ich zaczęto do śledztwa... Jednym z pierwszych był Jurek...

Śmiało udał się za żandarmem do pokoju, w którym przy stolikach, pomimo nocy, siedziało paru pisarzy cywilnych, oraz kręciło się wielu żandarmów i cywilnych...

— Pan zaczeka tu trochę — rzekł towarzyszący mu żandarm, wskazując ławkę: — pułkownik teraz zajęty...

Usiadł Jurek i ciekawie przyglądał się życiu tego przedpiekla, o którem tyle słyszał... Czekał długo, nareszcie żandarm dał mu znak i wprowadził do wytwornie urządzonego gabinetu, w którym przy biurku, zasłanym papierami, siedział otyły mężczyzna w mundurze pułkownika żandarmów...

Przez długą chwilę przyglądał się on bacznie Jurkowi, poczem zadawać zaczął mu pytania o lata jego, wiek, wyznanie, miejsce zamieszkania... Odpowiedzi jego zapisywał siedzący pod ścianą, przy małym stoliczku, jakiś mężczyzna o nieokreślonym wieku...

Skończywszy te zapytania, pułkownik znów czekał przez dłuższą chwilę, poczem raptem zapytał:

— Pan był organizatorem i przewodniczącym tego zbrodniczego stowarzyszenia?...

Stropił się Jurek zrazu, lecz po chwili odzyskał równowagę, i odrzekł spokojnie:

— Nie... nie należałem do żadnego stowarzyszenia i nic nie organizowałem...

— Niech pan się nie zapiera — łagodnie przerwał mu pułkownik — pański kolega powiedział wszystko...

— Który?... — spokojnie spytał Jurek.

Pytanie to zmięszało pułkownika; zawahał się przez chwilę, jakby nie wiedząc, co na nie odpowiedzieć, wreszcie rzekł:

— To nie należy do rzeczy... Wiemy napewno, więc niech pan wypieraniem się nie pogarsza swojej sytuacji...

— Nie mam się czego zapierać — odrzekł spokojnie Jurek — gdyż nie popełniłem żadnej zbrodni... Nie poczuwam się do żadnej winy i proszę pana o uwolnienie mnie...

— Żadnej zbrodni pan nie popełniłeś?... — z ironją zauważył pułkownik — a zorganizowanie tego tajnego stowarzyszenia, na którego czele pan stałeś, a które miało na celu odczytywanie książek o zbrodniczej, przeciwpaństwowej treści... a rozszerzanie rewolucyjnych wiadomości wśród robotników, to wszystko zabawka... Nie jest pan już dzieckiem i jasno sobie zdaje z tego sprawę, że to jest działalność występna, zbrodnicza... Niech pan lepiej przyzna się szczerze, i powie, kto był z nim razem, kto go do tego namówił?... Kto więcej prócz aresztowanych z nim, do tej zbrodniczej działalności należał...

— Nic nie wiem, nic nie powiem — brzmiała lakoniczna odpowiedź Jurka na ten potok wymowy pułkownika...

Wobec takiego uporu, zmienił też on taktykę. Z uprzejmego i słodkiego stał się złym i gniewnym... z oczu błysnęły mu płomienie, a głos zadźwięczał złowrogo, jak stal:

— A jednak musisz mówić — zawołał — ja cię potrafię zmusić do tego... wyśpiewasz mi wszystko, ty jeszcze nie znasz naszych sposobów...

Lecz Jurek, śmiało patrząc mu w oczy, odrzekł:

— Niczem mnie pan nie zmusi... nawet śmiercią...

Odezwała się w nim krew przodków, zahartowana jeszcze czytaniem dzieł, krzepiących ducha, umacniających w miłości Ojczyzny i wytrwaniu...

— Odprowadzić go — rzucił rozkaz pułkownik, i Jurek w asystencji żandarma udał się do aresztu, lecz już nie do tego, w którym przebywali koledzy jego, a do zupełnie oddzielnej celi, gdzie zamknięty samotnie czekał, aż przewieziony zostanie do innego więzienia...

Przewieziono ich w południe dopiero, każdego oddzielnie, do więzienia przy Pawiej ulicy, gdzie rozdzielono ich po różnych celach, tak jednak, że nie mogli się komunikować ze sobą...

Rozpoczęły teraz pracę śledczą władze policyjne i żandarmeryjne, pracę wytężoną, ażeby nadać sprawie całej rozmiary olbrzymie, ażeby rozdąć ją do niebywałych granic, a dzięki temu zarobić na ordery i nagrody...

Chłopców codziennie prowadzono do śledztwa, budzono w nocy, aż wreszcie mniej wytrwali powiedzieli wszystko, co wiedzieli, znaczną część winy zwalając na innych...

Lament wielki zapanował wśród rodziców, gdy rozeszła się wieść o aresztowaniu ich synów... Tłumnie oblegali oni biura policyjne, ażeby dowiedzieć się o przyczynach tych aresztowań, ażeby ratować synów swoich od więzienia...

Lecz na wszystkie zapytania słyszeli jednaką odpowiedź:

— Śledztwo jeszcze nie skończone...

Pan Szumski zabiegał gorączkowo o uwolnienie Jurka, ofiarowywał wysoką kaucję, czynił starania u różnych dygnitarzy, napróżno jednak... Z początku wymawiano się tem, że śledztwo nie zostało jeszcze ukończone, następnie znów ważnością sprawy, aż wreszcie odmówiono kategorycznie...

Podobny skutek odniosły zabiegi innych ojców, starających się o uwolnienie synów...

W gimnazjum też odczuć się dawał dziwny nastrój... Puste miejsca w klasach, które niegdyś zajmowali aresztowani, świadczyły wciąż o nich... Koledzy szeptem prowadzili

o nich rozmowy, a na pana Dudina patrzeli strasznie krzywo. I co najważniejsza, najwięksi nygusi najgoręcej przyjmowali stronę aresztowanych, nie szczędząc oznak niechęci inspektorowi... Nieraz też, gdy przechodził podwórzem, biegło do niego z jakiegokolwiek niebądź kąta rzucone głośno:

— Szpieg!... Żandarm!...

A nawet krążyły dość głośne po całem gimnazjum opowieści o tem, jak pewnego wieczoru, wracającego późno do domu inspektora, otoczyło przy bramie kilku wyrostków i bardzo namacalnie dało mu do zrozumienia swe niezadowolenie z czynu jego...

Prawdopodobieństwo tej pogłoski potwierdził wygląd pana Dudina następnego dnia, oraz szczególna badawczość, z jaką przyglądał się niektórym uczniom...

Nie na tem jednak kończyły się nieprzyjemności pana Dudina, związane z jego bohaterskim czynem...

Przedewszystkiem wszyscy uczciwsi koledzy patrzeć poczęli na niego pogardliwie, a ksiądz prefekt i niektórzy z odważniejszych nauczycieli polaków wprost ostentacyjnie unikali podawania mu rąk przy powitaniu...

Lecz on traktował to dość obojętnie, gdyż jak sam mówił:

— Naplewat' na to wszystko, a gdy będę chciał, to im takie buty uszyję, że mnie długo popamiętają...

Czuł za sobą potężną protekcję dyrektora, a przedewszystkiem kuratora, który zaraz po dokonanym fakcie, zawezwał go do siebie i wysłuchawszy szczegółowej relacji o zaszłym fakcie, rzekł:

— Dziękuję panu, Anatolu Siergiejewiczu... Zasłużyłeś się pan naszej rosyjskiej ojczyźnie, odnajdując gniazdo rewolucji... Zaraz o panu złożę raport ministrowi, możesz być pewien nagrody...

Wracał od niego pan Dudin uradowany, jakby mu

skrzydła u ramion wyrosły... Czuł już na piersiach order, czuł podwyższenie w randze, a przedewszystkiem pełny portfel...

Z pogardą też patrzał na przechodzących obok niego przechodniów, a gdy spotkał przypadkiem którego z ojców uczniów, i spostrzegł, iż tenże odwraca się od niego skwapliwie, uśmiechał się lekceważąco... Bo cóż go mógł obchodzić jakiś tam „polaczyszka", jego, który z ust kuratora posłyszał dopiero co pochwałę, o którym szedł raport pochwalny do ministra, z przedstawieniem do wysokiej nagrody, jego, który się tak zasłużył rosyjskiej ojczyźnie swojej...

Lecz i uczciwsi rosjanie nie pochwalali jakoś tego bohaterskiego czynu jego... Wyrażali się oni, że pan Dudin przesolił cokolwiek, że niepotrzebnie wplątał w całą tą aferę policję i żandarmerję, gdy można było ją załatwić w sposób spokojny, bez marnowania żyć tylu chłopców, dzieci prawie...

Wyraz temu dał Zubkin, który będąc u stryja dyrektora, w obecności inspektora rzekł mu śmiało w oczy, że coś podobnego mogli uczynić tylko łotrzy i nikczemnicy...

Lecz nie na tem był koniec utrapień pana Dudina...

Nieszczęśliwy Ilakowski, dzięki usilnym zabiegom lekarzy, powoli wracał do zdrowia... Odzyskiwał siły, zaczynał chodzić, a jednak z twarzy jego nie schodził wyraz smętnej zadumy... Rozmyślał nad czemś, i coraz pytał ojca, co słychać w gimnazjum...

Ukrywano przed nim prawdę z nakazu lekarzy, ażeby nie drażnić wyczerpanego mózgu. Wreszcie jednak dowiedział się o wszystkiem... Wybuchnął wtedy głośnym płaczem, a gdy go uspakajano, wpadł w jakąś dziwną apatję, tylko dopytywał się lekarzy, jak prędko będzie mógł wrócić do gimnazjum...

Aż wreszcie uznali lekarze, iż jest zdrów zupełnie i pozwolili udać się na lekcje... Blady, poważny, poszedł do gim-

nazjum Ilakowski, i przywitany hałaśliwie przez kolegów, w milczeniu zajął swe miejsce...

Siedział milczący, nie odpowiadając prawie zupełnie na pytania kolegów, aż wreszcie w czasie pauzy, dopytywać się zaczął najbliższych kolegów o losy aresztowanych...

Nie wiele się dowiedział, oprócz tego, że siedzą w więzieniu, nie wiele więcej wiedziano... Opowiedziano mu natomiast wszystkie przygody pana Dudina, na niego składając całą winę aresztowania. Słuchał tego Ilakowski z zaciśniętemi zębami, a gdy skończył, syknął tylko:

— I ja mu zapłacę... i ja mam z nim porachunki...

Dnia tego pan Dudin nie miał lekcji, nie widział go też przez cały dzień Ilakowski, za to następnego dnia w czasie wielkiej pauzy, spotkał się z nim na korytarzu...

Pobladł jak trup Ilakowski na widok inspektora i stał z zaciśniętemi pięściami, gdy pan Dudin zbliżył się do niego z miłym uśmiechem i rzekł:

— A, Ilakowski... jak się masz?... zdrów już jesteś?...

Cofnął się o krok od niego Ilakowski, i z płonącymi oczyma, drżąc cały, wykrzyknął:

— Masz, łotrze, za zdradę, do której mnie zmusiłeś...

I zanim zebrani wokoło uczniowie opamiętać się zdołali, rozległo się w korytarzu głośne klaśnięcie policzka i na twarzy pana Dudina ukazał się czerwony odcisk pięciu palcy Ilakowskiego...

Ten niespodziewany policzek oszołomił do tego stopnia inspektora, że wśród uroczystej ciszy stłoczonych chłopców, stał nieruchomo, a przez ten czas Ilakowski zarzucił na siebie szynel, i pozostawiając w ławce książki, wyszedł z gimnazjum, niezatrzymywany przez nikogo...

Otrząsnął się wreszcie ze zdumienia pan Dudin i trzęsąc się z hamowanego gniewu, pobiegł czemprędzej do kancelarji. A za nim rozbrzmiał głośny wybuch śmiechu uradowanych z tego zajścia uczni...

Na dworcu kolejowym zegnali go koledzy.

Ilakowski, z gołą głową, wzburzony, trzęsący się ze wzburzenia, wpadł do domu, i dopiero tam wybuchnął głośnym płaczem...

Zaczęto go dopytywać się o powód jego, a on wśród łkań oświadczył:

— Niech mnie ojciec zabije... niech mnie do terminu odda, a ja już do gimnazjum nie wrócę...

I dopiero teraz opowiedział ojcu wszystko szczegółowo.

Pomimo wielkiej surowości, zrozumiał go pan Ilakowski, odczuł szczegółowo tragedję, jaka się w dziecięcej jego duszy rozegrać musiała i szczery przejął go żal nad tą niedolą syna... Pogłaskał go po głowie i rzekł:

— Uspokój się... Nie pójdziesz już tam więcej...

Czekał tylko na rezultat postępku syna, lecz przez parę dni trwało milczenie... Tylko koledzy odnieśli mu książki, mówiąc, iż pan Dudin zachorował i nie pokazuje się w gimnazjum...

Wreszcie po paru dniach przyszedł papier, zawiadamiający o wydaleniu z gimnazjum ucznia Ilakowskiego, za złe sprawowanie...

Nic więcej...

Takim był wynik burzliwej rady pedagogicznej w gimnazjum, na której większość profesorów głosowała za tą formą kary, ażeby sprawy nie rozmazywać dalej, ażeby nie nadawać jej rozgłosu, który by mógł zaszkodzić powadze instytucji...

A pan Dudin chorował... Przez cały szereg dni nie pokazywał się w gimnazjum, lekcje zamiast niego, prowadził zastępca...

Choroba ta spowodowała konieczność udzielenia mu dłuższego urlopu, aż wreszcie rozeszła się wieść, iż przeniesiony został na stanowisko dyrektora do jednego z miast prowincjonalnych w Królestwie...

Oczekiwany jednak order ominął go...

XV.

SKAZANI.

Czas płynął... Osadzonym w więzieniu uczniom wydawał się on wiekiem całym... Śledztwo prowadzono nader wolno, gromadzono materjały obwiniające, z których dopiero prokurator zbudować miał nader misterny gmach oskarżenia...

Młodzież, przywykła do ruchu, do normalnego odżywiania, więdła i marniała, zamknięta w murach więziennych. Brakło jej wielu rzeczy, a surowe władze żandarmskie nie tylko, że nie pozwalały na widzenie się z rodzicami, ale na dostarczanie im tego, co niezbędne było...

Rozpacz ogarniała wszystkich rodziców na myśl o czekającym ich dzieci losie... Biegali też wszędzie, poruszając wszystkie sprężyny, docierając do najwybitniejszych osób, do najpierwszych adwokatów, którzy również gorąco zajęli się tą sprawą...

Dla wielu rodziców wypadek ten był prawdziwym a niespodziewanym ciosem, różnie go też przyjęli... Jedni z głośną rozpaczą, drudzy w milczeniu, pozornie obojętnie, lecz z niemniejszem cierpieniem...

Pani Kańska wieść o aresztowaniu syna przyjęła z głuchą rezygnacją... Pobladła, załamała ręce, szepcąc:

— I on... i on... Boże, czyż i ta ofiara jeszcze potrzebna...

Lecz odzyskawszy zaraz dawną energję i zebrawszy co miała pieniędzy, udała się do jednego z najpierwszych prawników z prośbą, by zechciał zająć się tą sprawą... Wysłuchał zacny mecenas zrozpaczonej matki, poczem rzekł:

— Nie będę ukrywać przed panią, iż sprawa jest poważna, zwłaszcza, iż władze czynić będą wszystko, co tylko będzie w ich mocy, ażeby rozdąć ją do olbrzymich rozmiarów, ażeby uczynić z niej sprawę, zagrażającą całości państwa, aże-

by w ten sposób zdobyć ordery i nagrody... Walka będzie ciężka, i o tem, aby uwolnić zupełnie oskarżonych, niema nawet i co marzyć... Lecz czynić będę wszystko, co tylko w mej mocy będzie, ażeby karę złagodzić...

A gdy pani Kańska wspomniała o honorarjum, ujął ją za rękę i rzekł:

— Moja pani, czyż ja bym mógł brać pieniądze za to, co jest moim obowiązkiem?... Szlachetna młodzież ta pełniła służbę obywatelską, nieopatrznie, być może, lecz z porywem zaszczyt jej przynoszącym... My, starzy, czoła przed nimi chylić winniśmy i za święty obowiązek swój uważam bronić ich i szczęśliwym będę, gdy uda mi się choć trochę wpłynąć na złagodzenie grożącej im kary...

I zajął się rzeczywiście gorliwie tą sprawą zacny mecenas, docierając do najwyższych instancji, starając się przedewszystkiem o złagodzenie ciężkiej ich doli, i dopiął tego, że pozwolono na umieszczenie ich w lazarecie więziennym i na dostarczanie żywności z miasta...

Złączeni wspólną dolą rodzice, zjednoczyli się razem celem przyniesienia ulgi swym dzieciom... Znikły różnice majątkowe, bogaci wspierali uboższych, a wszyscy z niecierpliwością oczekiwali dnia sądu, który o losie chłopców miał rozstrzygać...

Czcigodny mecenas, dobrawszy sobie paru pomocników z pośród najzdolniejszych prawników, z przejęciem szykował się do obrony, przeglądając akta, odwiedzając codziennie niemal oskarżonych, dopytując się ich, szukając punktów, na których chciał oprzeć całą obronę swoją...

Nie była to rzecz łatwa, wobec zupełnie jawnych dowodów z punktu widzenia sądownictwa rosyjskiego...

Służył on też za jedyny łącznik między uwięzionymi a rodzinami ich, przynosząc wiadomości o zdrowiu ich, pocieszając rodziny, krzepiąc je, dodając otuchy...

Aż wreszcie nadszedł dzień sądu...

Sprawa, ze względu na polityczny charakter swój, toczyć się miała przy drzwiach zamkniętych, bez udziału publiczności...

Mimo to jednak wielka sala Izby sądowej w pałacu niegdyś Krasińskich, po brzegi wypełniła się rodzinami oskarżonych...

Zasiedli tam wszyscy przy sobie, zjednoczeni wspólnym bólem i cierpieniem, jedni przy drugich, i ubogi szewc Kulesza, obok bogatych państwa Szumskich, a przy nich pani Kańska, państwo Lisiccy i wielu, wielu innych...

Resztę sali zajęli tłumnie przedstawiciele palestry, zaciekawieni niezwykłością sprawy, oraz oczekujący przemówień znakomitych kolegów swoich.

Zjawili się również licznie i przedstawiciele władz i świadkowie, do których należeli prawie wszyscy nauczyciele rosjanie z dyrektorem i inspektorem na czele.

Czuli się oni jakoś dziwnie nieswojo, gdyż wszędzie ścigały ich pełne pogardy spojrzenia rodziców uczni i adwokatów...

Szczególnie zaś pogarda ogólna spotykała pana Dudina, który starał się nadrabiać miną, to rozmawiając z dyrektorem i niektórymi nauczycielami, to z pułkownikiem żandarmów i przedstawicielami władz...

Zjawili się i obrońcy, którzy zająwszy swe miejsca, jeszcze raz pospiesznie przeglądali akta, czyniąc notatki, uzupełniając przygotowaną obronę...

Wreszcie pod eskortą zbrojnych żandarmów, wprowadzono i oskarżonych...

Kilkunastu młodych chłopców, dzieci niemal, na postaciach których znać było długie miesiące więzienne, szło krokiem pewnym, śmiało rozglądając się wokoło...

Na ich widok, a zwłaszcza na widok pobladłych, wy-

nędzniałych twarzy ich, z niejednej piersi matczynej wyrwał się głuchy płacz, dławione łkanie, powstrzymane natychmiast, by nie dać wrogom widoku bólu i cierpienia, widoku, który był tryumfem dla nich...

Rwały się do nich i serca i ręce, by objąć, przytulić do piersi, ukoić po tak długich cierpieniach, lecz i to trzymać trzeba było na wodzy, gdyż straż przy ławie oskarżonych, oprócz obrońców, nie dopuszczała nikogo...

Mówiły tylko oczy... mówiły to, czego usta wypowiedzieć nie mogły, i biegły z ławy oskarżonych na salę i naodwrot spojrzenia i uśmiechy, tak wymówne, tak dużo... dużo mowiące...

Czekano tylko na ukazanie się sądu...

Wreszcie zjawił się i on...

Wokoło stołu, suknem zielonym zasłanego, zasiedli sędziowie, ludzie starzy, poważni, o głowach siwizną przypruszonych, i po załatwieniu zwykłych formalności, przewodniczący rozpoczął odczytywanie aktu oskarżenia...

Długi on był bardzo i zarzucał garści młodzieży utworzenie tajnego stowarzyszenia, mającego cele rewolucyjne za zadanie i dążącego do podkopania władzy rosyjskiej w kraju...

Słuchano go z uwagą, i w niejednem sercu rodzicielskiem, wobec misternie powiązanych i ułożonych argumentów, zrodziła się wątpliwość, czy uda się obrońcom zwalić ten las zarzutów, czy zdołają oni dowieść niewinności i uwolnić oskarżonych...

Po odczytaniu aktu, rozpoczęło się badanie winowajców — dzieciaków...

Wszyscy, jak jeden mąż, zaprzeczyli udziału w tajnem stowarzyszeiu... Przyznali się, że zbierali się razem celem wzajemnego kształcenia się, uzupełniania swej wiedzy, oraz uczenia innych... Nie wiedzieli jednak, że to jest przeciwne prawu, i wcale nie godzili w całość i powagą władzy rosyjskiej...

Niektórzy z nich złożyli dodatkowe oświadczenia, że przyznanie się ich do winy, oraz niektóre z obciążających zeznań, wymuszone zostały w sposób podstępny, wprost znęcaniem się w więzieniu i przy śledztwie.

Głuchy jęk i szmer oburzenia rozległ się w sali przy tych strasznych opisach, tak, że przewodniczący nakazać musiał ciszę, a obrońcy ze swej strony prosili o wpisanie tych wszystkich szczegółów do protokułu...

Przystąpiono następnie do badań świadków...

Jeden za drugim zjawiali się przed sądem świadkowie— nauczyciele... Z dumnie podniesionemi głowami odpowiadali na zapytania przewodniczącego sądu, jakby szczycąc się działalnością swoją. Sytuacja jednak zmieniła się znacznie, gdy pytania zadawać zaczęli obrońcy, a zwłaszcza najpoważniejszy z nich, przewodniczący całemu gronu obrończemu.

Mięszali się oni przy ciętych a trafnych zapytaniach, nie wiedzieli, co na nie odpowiadać, a właśnie on z odpowiedzi tych wydobywał na jaw całą ich nicość, całą nikczemność ich zdeprawowanych natur i chwilami wydawało się, iż to on jest prokuratorem, wyciągającym na jaw ich występki, a oni winowajcami, mającymi zasiąść na ławie oskarżonych...

Do późnego wieczora trwały te badania, aż wreszcie przewodniczący odroczył je do dnia następnego.

Na dzień ten pozostał jeszcze do zbadania jako najważniejszy świadek pan Dudin, oraz paru pomniejszych.

Inspektor wkroczył z miną uroczystą, i stopniowo opisywać zaczął swój czyn bohaterski i patrjotyczny, jak wykrył zbrodnicze stowarzyszenie młodzieży, która zbierała się w celach występnych, a co najważniejsza uczyła i siebie ,i innych, zabronionego języka polskiego...

A w miarę zeznań jego na twarzach słuchających odbijała się coraz większa pogarda, której nawet niektórzy z sędziów ukryć nie mogli...

Mecenas przysłuchiwał się spokojnie zeznaniom jego, robiąc od czasu do czasu notatki, aż wreszcie, gdy skończył, spytał się, czy może mu zadać parę pytań...

— I owszem, proszę bardzo — rzekł przewodniczący.,.

— Więc, może świadek zechce powiedzieć nam przyczyny, dla których został wydalony z pułku — spytał mecenas.

Pytanie to zaskoczyło niespodziewanie pana Dudina. Poczerwieniał, nie odpowiadając, zwrócił błagalne spojrzenie na przewodniczącego, jakby prosząc go o ratunek. Zrozumiał go tenże i rzekł:

— To nie należy do rzeczy...

— Przepraszam bardzo — rzekł mecenas — ale to ma związek ze sprawą... I proszę świadka, by odpowiedział na pytanie moje...

Lecz pan Dudin nie chciał udzielić odpowiedzi, a wtedy mecenas wydobył z teki papier, głoszący, iż kapitan Anatol Siergiejewicz Dudin, wydalony został z takiego to i takiego pułku za przegranie w karty i roztrwonienie znacznych sum pułkowych...

— Dokument ten wręczam sądowi — rzekł mecenas — i proszę o dołączenie go do akt sprawy...

Stracił wnet butną minę pan Dudin, i przygnębiony tem odkryciem wrócił na miejsce swoje...

Prędko już poszło badanie pozostałych świadków, poczem, po krótkiej przerwie, wystąpił z przemową oskarżającą prokurator...

A była to nader misterna budowla, przedstawiająca czyny młodzieży, jako zbrodnię olbrzymią, zbrodnię, wymierzoną przeciw całości państwa, czyniącą zamach na podwaliny jego, burzącą je... W przemówieniu jego gromadka chłopców wystawiona była jako olbrzymie zebranie niebezpiecznych spiskowców, groźnych dla olbrzymiej imperji rosyjskiej... Kładł na-

cisk też na wymierzenie możebnie najsurowszej kary, ażeby unieszkodliwić ich, ażeby przykładem odstraszyć innych od ich naśladowania...

Upajał się prokurator własnemi słowami, gestykulując przytem żywo i coraz wskazując na skupioną na ławach młodzież...

Nierozumiejący mowy rosyjskiej rodzice, a zwłaszcza matki, truchleli z przerażenia, słysząc podniesiony głos jego.

Skończył wreszcie efektownym zwrotem do sędziów, ażeby nie dając się powodować uczuciom litości, wymierzyli najsurowszą karę dla dobra rosyjskiej ojczyzny...

Po prokuratorze zabrali głos obrońcy...

Pierwszy przemawiał czcigodny mecenas... Głos jego spokojny, równy, zupełnie inne wywierał wrażenie od pełnych przesady frazesów prokuratora. Zdanie za zdaniem zbijał wywody jego logicznemi dowodzeniami, opartemi na faktach... Roztrząsał szczegółowo wszystkie zeznania świadków, przyczem stawiał pod pręgierz cały system szkoły, wszystkich nauczycieli z dyrektorem i inspektorem na czele...

— Czyż — wołał — może młodzieży naszej dać moralne i etyczne przykłady taki pan Dudin, który wydalony z pułku za nadużycia kryminalne, dzięki protekcji zostaje inspektorem, zaprowadza w zakładach naukowych deprawujący system szpiegowski i sam uprawia go z powodzeniem...

I odwoływał się do ojcowskich uczuć sędziów, czy zupełnie spokojnie, bez obaw, powierzyli by dzieci swoje podobnemu wychowawcy pedagogicznemu...

I budził sumienia ich, wołając, czy można się dziwić tym dzieciom, które czując niedostateczność wykształcenia szkolnego, uzupełniali je nauką w domu, nauką, prowadzoną, coprawda, w tajemnicy, lecz nie zawierającą nic przeciwpaństwowego... Czy można poczytać im za zbrodnię, to, iż świa-

tłem wiedzy swojej dzielili się z mniej oświeconymi, bo czyż nie jest to interesem państwa, by było w niem jaknajmniej ciemnych...

Zakończył zaś wspaniałym zwrotem:

— Panowie sędziowie... Prokurator odwoływał się do was, jako do patrjotów rosyjskich, ja zaś odwołuję się do was, jako do sędziów sprawiedliwych, stojących wyżej ponad wszelkie kwestje inne, poza prawem, jako do ludzi, którym monarcha powierzył wymiar sprawiedliwości w tym kraju, i pewien jestem, iż czyniąc zadość głosowi sumienia swego i sprawiedliwości, wydacie wyrok uniewinniający te dzieci...

Przemawiali następnie i pozostali obrońcy, a każdy z nich dorzucał po cegiełce do olbrzymiego gmachu zarzutów przeciw szkole rosyjskiej, wzniesionego przez głównego obrońcę...

Mów tych słuchali rodzice z zapartym w piersi oddechem. Zrywały im one zasłony z twarzy, usuwały łuskę z oczu, w całej nagości ukazywały ohydne stosunki, w jakich dzieci ich uczyć się w obcej szkole musiały...

I rozgrzeszali dzieci swoje z wielu przewinień rzekomych, zrozumiawszy, przez jaką gehennę cierpień i mąk ich biedne duszyczki przejść musiały...

Inną zgoła była rola profesorów gimnazjalnych; chłostani bezlitosną satyrą, obnażani ze wszystkich wad swoich, wystawieni na pełne pogardy spojrzenia zebranych, zda się, sami stanowili ławę oskarżonych, a nie ta garść uczniów ich, dzieci nieomal...

Bezsilni, nie mogąc niczem odeprzeć stawianych im zarzutów, spoglądali na wszystkie strony pełnym nienawiści wzrokiem.

Skończono wreszcie rozprawy, gdy naraz wstał z miejsca Kulesza i głosem równym, spokojnym, jakby stał w klasie przed profesorem, poprosił o głos...

Udzielił mu go przewodniczący, a on rzekł mocno:

— W sprawie tej jedynym winowajcą jestem ja... Ja poddałem kolegom tą myśl, ażeby zbierać się razem dla nauki, ja ich namówiłem do uczenia biednych dzieci... Proszę też was, panowie sędziowie, ukarzcie mnie tylko, a ich wszystkich uwolnijcie...

Słowa jego wywarły pewne wrażenie, choć wiedziano dobrze, iż pozostaną bez wpływu na wyrok sędziów...

Wyszli oni na naradę...

Zaczęły się długie, męczące chwile oczekiwania, chwile, które napełniały serca nadzieją, że ci ukochani uwolnieni zostaną, a zarazem rzucały je w otchłań głuchej rozpaczy, że ogłoszony wyrok skarze ich na ciężkie kary...

Z niepokojem spoglądano na zamknięte drzwi komnaty, w której rozstrzygały się losy pobladłej gromadki chłopców...

Co z niej wyniesie grono sędziowskie: wolność czy potępienie?...

I choć wzajemnie pocieszano się, choć dodawano sobie otuchy, zwątpienie jakieś wkradało się do znękanych serc rodzicielskich...

Zmrok już zapadł; służba zapaliła światła, migotliwymi płomykami rozjaśniające wielką salę, gdy wreszcie rozległ się głos komisarza sądowego:

— Proszę wstać...

Wstali wszyscy, a na podniesieniu zjawili się sędziowie, niosący wyrok...

Zajęli swe miejsca, a przewodniczący głosem znużonym, obojętnym, jakby drewnianym, odczytywać zaczął wyrok.

Po zwykłych formułach, twardo, jak głuchy brzęk żelaza, zabrzmiały słowa:

„Paweł Kulesza, winien zorganizowania tajnego stowarzyszenia o celach zbrodniczych na rok więzienia, a następnie

na osiedlenie w mniej oddalonych miejscowościach Syberji, na lat pięć...

Jerzy Szumski, Michał Kański, Stanisław Wiadrowski na rok więzienia...

Pozostali winowajcy na różne kary od trzech do dziewięciu miesięcy więzienia...

Grobowe milczenie zapanowało w sali, gdy odczytywano ten akt przemocy, ten wyrok okrutny...

A gdy ucichł głos przewodniczącego, rozległy się z różnych stron głuche łkania, przechodzące powoli w płacz spazmatyczny.

Tłoczących się do oskarżonych rodziców odpychali żandarmi...

Chłopcy wyrok ten przyjęli z pewną obojętnością, ani jedna łza nie popłynęła im z oczu... Lekkie tylko drżenie ust, oraz bladość twarzy wskazywały na tajone wzburzenie wewnętrzne...

Otoczeni przez straż opuścili salę i gmach sądowy, by udać się do więzienia...

Powoli opustoszał pałac Krasińskich, a jedni z pierwszych opuścili go pedagodzy — świadkowie... Przemykali się bokami, ostrożnie, jakby obawiając się spotkania z kimś, ktoby chciał tę mękę dzieci pomścić, a na ustach ich wił się niedostrzegalny uśmieszek tryumfu...

ZAKOŃCZENIE.

Rok przeminął lotem strzały. Skazani w głośnym procesie dzieci — uczniowie stopniowo opuszczali mury więzień... lecz bramy gimnazjalne w całem imperjum rosyjskiem stały przed nimi zamknięte na zawsze...

Otrzymali tak zwane „wilcze bilety“, tamujące im prawo do dalszego kształcenia się dzięki wspaniałomyślności i sprawiedliwości rządu rosyjskiego...

Lecz nie było danem, ażeby zginęli ci dzielni i zacni chłopcy... Losem ich zajęło się gorąco grono osób z czcigodnem mecenasem na czele... Zebrano fundusze potrzebne i wyprawiono ich zagranicę do Krakowa, by tam dalej się kształcili, by wyrośli na chlubę i pociechę Ojczyzny...

Opuścili wreszcie więzienie i najsurowiej skazani, pozostał w niem tylko Kulesza, którego wysłać miano na Sybir...

W ponury dzień jesienny na dworcu kolejowym żegnali go przyjaciele, gdy wsiadać miał do wagonu aresztanckiego pod eskortą zbrojnych żołnierzy...

Krótkiem było to pożegnanie, gdyż nie pozwolili na dłuższe żandarmi...

Wracali smutni do miasta, a w oczach ich brzmiał ostatni, pożegnalny okrzyk Kuleszy:

— Do widzenia... Wytrwania, a wrócę jeszcze do wspólnej z wami pracy...

W prastarym uniwersytecie krakowskim skupiła się znów przy pracy gromadka naszej młodzieży...

Na czoło jej wysunęli się Jurek Szumski, Kański i Lisicki, rokujący jaknajświetniejsze nadzieje na przyszłość...

A ze zdobytą wiedzą wrócili do Ojczyzny, wrócili, by pracować dla niej. ..

W parę lat potem przyłączył się do nich i Kulesza, który po odbyciu zesłania uzyskał pozwolenie na powrót do kraju.

I doczekali się tej radosnej chwili, gdy runął znienawidzony przez naród cały Apuchtin, który nie doczekał się tej wymarzonej chwili, by polskie dziecko do matki po rosyjsku przemawiało...

Runął, a imię jego nietylko w Polsce, ale w całym świecie kulturalnym pogardą okryte zostało...

Runęły też wkrótce pod przemożną wolą młodzieży i szkoły rosyjskie, będące ohydnem narzędziem polityki wynaradawiającej w naszym kraju...

Potężny duch narodu polskiego oparł się wszelkim zakusom wrogów, zyskał na mocy i sile, i rozwinął się, zahartowany w ogniu cierpień, wspaniale i imponująco...

Aż doprowadził naród cały do upragnionej wolności...

KONIEC.

Skończyłem w dniu ogłoszenia
Niepodległości Narodu Polskiego.
dnia 5 listopada 1916 roku.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

W TUNDRACH SYBIRU

martyrologjum zesłańców polskich. Powieść przez **E. Jezierskiego**, z ilustracjami **Grottgera**. W ozd. kartonie rb. 2.—, w opr. płóc. 2.60.

WZORY WYCINANEK

Serja I.

6 ODMIAN po 25 kop.

CHARAKTERYSTYKI LITERACKIE

WIEK XIX.

opracow. J. Maciejowskiego

№ 1. Zygm. Krasiński 30 k.
№ 2. Ad. Mickiewicz 35 „
№ 3. Juljusz Słowacki 35 „
№ 4. Byron i Shelley 25 „

Pamiątki polskie

Każdy zeszyt ozdobiony ilustracją kosztuje 15 kop.

№ 1. 29 listopad 1830 r.
№ 2. Styczeń 1863 r.
№ 3. Bitwa pod Grochowem.
№ 4. Insurekcja Kościuszki. Racławice.
№ 5. Krwawa Rezurekcja. Kiliński.
№ 6. Konstytucja 3 Maja 1791 r.

Królowie polscy

Obraz wielkości 74×100 cm. Portrety królów polskich rysunku Matejki, wykonane w kolorach na tle emblematów narodowych. Cena rb. 3.

KOLEDZY

Powieść dla młodzieży z życia szkolnego

napisał **H. Mojkowski.**

Cena w ozd. kart. rb. 1.50.

PIEŚNI LUDOWE. Zbiór utworów na fortepian lub do śpiewu. Zeszyt I i II po . . . . . rb. 1.—

WIŚNIAKOWSKI A. J. Najkrótsza i najłatwiejsza stenografja polska dla samouków . . . . . —.45